WYTCHNIENIE NA DŁUGI WEEKEND

W krainie siatkarzy ▪ Celebryci geopolityki ▪ Wakacje na chłodno
Brytania testuje premiera ▪ Maryja z krwi i kości ▪ O czym marzył Lennon

Kraków 14–20 sierpnia 2024 nr 33 (3919) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

LECH JANERKA

Pięknie jest, gdy nic nie musisz

STRONY SPECJALNE
NAGRODA POLIN 2024

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

TYGODNIK POWSZECHNY

NOWOŚĆ!

Wygodna subskrypcja odnawialna Tygodnika.

7 dni za darmo, później **o połowę taniej**.

Nagradzane dziennikarstwo,
wydanie cyfrowe z płatnością cykliczną co miesiąc.

Nasze treści to:

- głębokie analizy wydarzeń
- wsparcie w odnajdywaniu sensu
- przewodnik po zawiłym świecie
- redukcja informacyjnego chaosu
- nadzieja

Szukaj na www.TygodnikPowszechny.pl/Kup

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KS. ADAM

Boniecki: *Co tu robi Matka Boska*

Zaraz będzie Wniebowzięcie, więc się zastanawiam, co i skąd my właściwie o Maryi wiemy. Na przykład skąd wiemy o zwiastowaniu? Oczywiście – powiecie – z Ewangelii. Skąd – pytamy dalej – wiedzieli autorzy Ewangelii o wydarzeniach, których świadkiem mógł być tylko Pan Bóg i Maryja? Można odpowiedzieć, że przecież chodzi o objawienie, ale wielu z nas to nie zadowoli. Jest jednak odpowiedź dla krytycznego umysłu łatwiejsza do przyjęcia: wszystko to wiadomo z jej własnych opowieści. Ewangelie zapisały, co ona sama opowiedziała.

Ale ten jej dialog z archaniołem Gabrielem... nie, to nie mogło wyglądać tak, jak na licznych obrazach przedstawiających zwiastowanie, nie mogło wyglądać nawet tak, jak czytamy. Myślę, że Bóg w jakiś sposób jej objawił swój zamiar i że jej odpowiedzi Bogu w istocie były takie, jak zapisano w Ewangelii, ale przecież nie dosłownie. Zapisano tak, jak sobie to wyobrażali wtedy ludzie pobożni. Przeżycie wewnętrzne, dialog z Bogiem (bo przecież był to dialog z Bogiem, nie tylko z aniołem) jest trudny do opowiedzenia, więc – jakoś – go opowiedziano.

Albo opis narodzenia Jezusa... Pomijając kłopoty z datą spisu ludności i sposobem jego organizowania, pełen jest opowieści, o których śpiewamy w kolędach, ale nie traktujemy poważnie. Nie ma rady, tak się wtedy pisało. Bez tekstów pieśni chórów anielskich ich opis byłby niepełny i niewiarygodny. Te fragmenty Ewangelii są niewątpliwie upiększone przez autorów zgodnie z panującym wtedy gustem i stylem.

Zresztą, Matka Jezusa początkowo nie była obiektem szczególnej uwagi. Tym cenniejsze są wzmianki o Niej w Ewangeliach, niejako marginalne i uboczne. W dalszym ciągu Ewangelii, gdzie mowa o dorosłym życiu Jezusa, zjawia się rzadko i opisy przychodzącej z zaniepokojonymi krewnymi czy stojącej pod krzyżem w godzinach męki i – potem – obecnej w wieczerniku nie przysparzają problemów. Niepokoi raczej jej nieobecność w serii spotkań po Zmartwychwstaniu, lecz ten brak tylko przemawia za rzetelnością relacji.

Chociaż kult Matki Jezusa jest tak stary jak chrześcijaństwo, to chrześcijanie byli z tym ostrożni. Łatwo było o przesadę czy wypaczenia, o czym pisali już w IV wieku, a pewnie zresztą i wcześniej, autorzy strzegący ortodoksyjnej wiary. Rozwijana zaś w naszych czasach mariologia mnóstwo powiedziała o Matce Chrystusa. To wszystko jest ważne i godne uwagi. W oddawaniu Jej czci łatwo jednak sprowadzić to, co jest tajemnicą wiary, do wymiaru czysto ludzkiego. Tymczasem cała nauka o Jej wolności od grzechu pierworodnego, o szczególnym wybraństwie, rzutowanie na Jej postać wszystkich marzeń o idealnych matkach, prowadzi do pobożności bardziej na naszą miarę, wzorowanej na naszych doświadczeniach, pragnieniach i nierzadko zamykającej nas na tajemnicę. Matka Boska jest Matką Boską, my jesteśmy nami i swoją świętość każdy buduje na własnym doświadczeniu.

Jest też maryjna religijność. Mam wrażenie, że jest ona – odruchowo – bardziej pokorna od teologii i pseudoteologii. W pobożności maryjnej po prostu, jak w starożytnej modlitwie „Pod Twoją obronę", uciekamy się do Matki Jezusa także w sprawach niekoniecznie pierwszej wagi, jak gospodarze w Kanie Galilejskiej, którym wina zabrakło. Czyli po prostu prosimy, żeby coś dla nas zrobiła. Ona zaś rozumie to i wstawia się za nami. Takie jest moje doświadczenie, którym się tu nieśmiało dzielę. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem-seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA"

Menopauza *to nie jest przekwitanie – dla mnie to jest ponowne rozkwitanie. Na innych zasadach, do innych celów i zadań – bo już nie do macierzyństwa – rozkwitanie do pełni siebie* – mówi jedna z bohaterek reportażu Eweliny Burdy.

Zapraszamy do lektury o faktach, mitach i stereotypach wokół tego okresu życia kobiety.

W „Tygodniku" także: ■ Wszystkie kłamstwa deweloperów ■ Sukienki jako forma sztuki

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Nie będę ukrywał: pomysł na to wprowadzenie do numeru zmieniał się w miarę, jak z upływem kolejnych dni wypełniała się redakcyjna tablica. Najpierw myślałem, że polecę Państwu tekst **ZUZANNY RADZIK** o cielesności Maryi i o tym, czy przedstawiana tak, jak robią to tradycyjna kościelna teologia i ikonografia, może być dziś wzorem dla świeckich i seksualnie aktywnych kobiet. To przecież kolejny z artykułów tej autorki, które z mojej perspektywy mogłyby już złożyć się na książkę do postawienia na półce między jej „Kościołem kobiet" i „Oswobodzeniem silnej kobiety" Clarissy Pinkoli Estés (tak, tej od „Biegnącej z wilkami").

Okazało się jednak, że swój wstępniak na Wniebowzięcie pisze **KS. ADAM BONIECKI**, a przecież redaktorowi seniorowi nie wypada wchodzić w paradę. W dodatku kończą się **IGRZYSKA** w Paryżu, a my towarzyszymy im piórem Marceliny Szumer-Brysz (pamiętają Państwo tureckiego strzelca?), Bartka Dobrocha (wiedzą Państwo, kto to „Złota Ola"?), a przede wszystkim **DARIUSZA KOSIŃSKIEGO**, który o fenomenie społecznym i kulturowym polskiej siatkówki potrafi pisać jak mało kto.

Myślałem więc, że skupię się na igrzyskach, ale pod koniec tygodnia pojawiły się dwa teksty, które najlepiej chyba pokazują misję „TP" w klimacie nieustającej inby.

Ich autorzy są świadomi tego, co dzieje się wokół. **JAKUB DYMEK** pisze o potrzebie oddzielenia faktów od szumu, odnalezienia niezmiennych reguł i systemowych zależności w otaczającym nas chaosie. Analizując fenomen popularności **DOMOROSŁYCH „GEOPOLITYKÓW"** cytuje Helen Lewis, która zauważa, że w świecie postreligijnym, osieroceni przez śmierć wielkich narracji i przytłoczeni natłokiem wiedzy – potrzebujemy przewodników i jesteśmy w stanie tym przewodnikom zapłacić naprawdę sporo.

Jednym z takich przewodników jest **JERZY JARNIEWICZ**, najwybitniejszy u nas specjalista od kontrkultury, tłumaczący, co naprawdę wyobrażał sobie **JOHN LENNON** – a najlepsze jest to, że za możliwość czytania go w „TP" doprawdy nie trzeba płacić sporo.

Aha, przeczytajcie Państwo opowieść **MARCINA WÓJCIKA** o odosobnieniu w lesie. A potem może spróbujcie pójść jego śladem w długi weekend. Nie mówię, że aż przez cztery dni – trochę czasu trzeba zostawić sobie przecież na lekturę. ©℗

MICHAŁ OKOŃSKI
REDAKTOR PROWADZĄCY

Redaktor wydań specjalnych „TP", autor książek o futbolu, laureat nagrody Grand Press w kategorii publicystyka i Nagrody im. Mariusza Waltera w kategorii Sport w mediach.

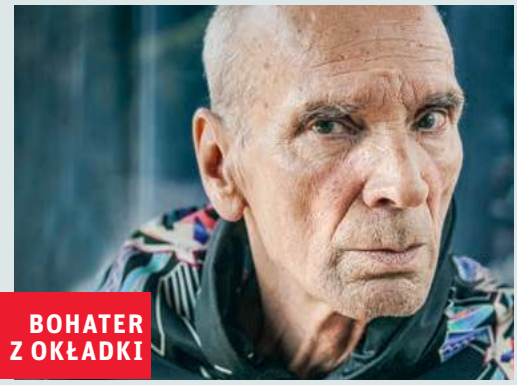

BOHATER Z OKŁADKI

30 Moja mała fortuna
ROZMOWA Z LECHEM JANERKĄ:
Nadchodzi moment, żeby dać spokój z tym ciągłym pastwieniem się nad sobą. Pora, by pocieszyć się samym życiem.

36 Matka Boża z krwi i kości
ZUZANNA RADZIK
Czy Maryja wymodelowana na zakonnicę może być wzorem i modelem dla seksualnie aktywnych, świeckich kobiet?

72 Co sobie wyobrażał
JERZY JARNIEWICZ
John Lennon nie był prorokiem kontrkultury, ale jej błaznem. Nie był rewolucjonistą, ale dywersantem.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // GRAŻYNA MAKARA // MONKPRESS / EAST NEWS // PENNY TWEEDIE / CORBIS / GETTY IMAGES

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Trump i Musk łamią zasady
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

20 Weźmy to na chłodno
MAREK RABIJ: *Czy katastrofa klimatyczna rzeczywiście zmieniła sposób, w jaki Polacy spędzają wakacje?*

25 Kobiety Tuska
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Ludzie znający premiera mówią, że uważa je za bardziej lojalne. Poza tym boi się wyhodować własnego „Brutusa”*

28 Złota Ola
BARTEK DOBROCH: *Mamy nowy sport narodowy, wspinanie na czas*

■ ■ Z ODECHEM

30 Moja mała fortuna
ROZMOWA Z LECHEM JANERKĄ

■ ■ WIARA

36 Maryja z krwi i kości
ZUZANNA RADZIK

40 Czy ci wstyd już
ESTERA BAKSIK-MAJNUSZ: *Co nam mówią pieśni maryjne*

41 Spotkanie ze sobą
MARCIN WÓJCIK: *Na czym polega Vision Quest? Czy podczas czterodniowego odosobnienia w lesie przychodzą wizje?*

■ ■ ŚWIAT

46 Gorące lato sir Keira
PATRYCJA BUKALSKA: *Zamieszki w brytyjskich miastach są nieoczekiwanym testem dla nowego premiera*

TEMAT TYGODNIKA

PIYAPAT / STOCK.ADOBE.COM

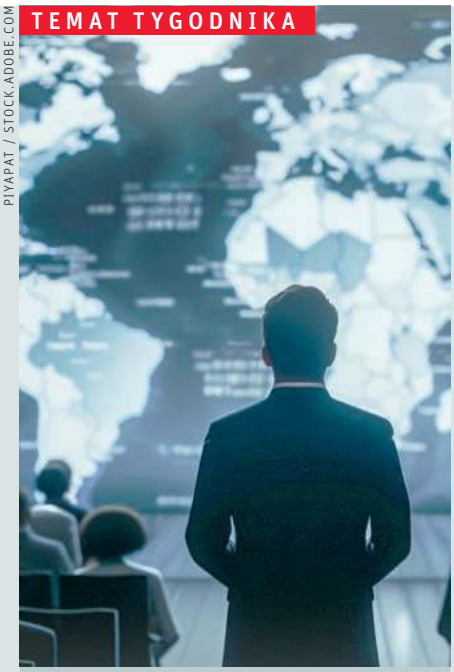

12 Nowi władcy umysłów
JAKUB DYMEK
Dzisiejsze masowe zainteresowanie geopolityką to wołanie o klucz do chaosu. Kto nam go daje?

■ STRONY SPECJALNE ■

55 NAGRODA POLIN 2024

64 CENTRUM ARCHIWISTYKI POLSKIEJ

■ FELIETONY ■

45 ZUZANNA RADZIK **70** ELIZA KĄCKA
84 OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
90 TOMASZ STAWISZYŃSKI
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: LECH JANERKA, CZERWIEC 2019 R.
FOT.: JACEK POREMBA

49 Szeregowiec Rajana
ANTONINA PALARCZYK: *Nosi hidżab, jest operatorką dronów. Przeczy stereotypom o islamskich kobietach*

51 Zwycięzcy serc
MARCELINA SZUMER-BRYSZ: *Turecki strzelec zdobył sympatię fanów z całego świata*

52 Koreański Che Guevara
ROZMOWA Z BRADLEYEM HOPE'EM: *Ten kraj jest przekleństwem każdej amerykańskiej administracji*

■ ■ HISTORIA

60 Rosyjskie zagrożenie nas jednoczy
ROZMOWA Z ALVYDASEM NIKŽENTAITISEM: *Kiedyś, za młodu, byłem polonofobem*

■ ■ NAUKA

66 Czekając na zniebazstąpienie
WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Firma SpaceX podpisała umowę na sprowadzenie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej z orbity*

■ ■ KULTURA

72 Co on sobie wyobrażał
JERZY JARNIEWICZ

76 Śpiewaj powietrzem
JAN BŁASZCZAK: *Podróże Antoniny Nowackiej owocują wspaniałą muzyką*

78 Ten Obcy
MICHAŁ WALKIEWICZ: *Jak w kosmosie – i w Hollywood – zagnieździł się strach*

82 Karawaną przez piekło
ANITA PIOTROWSKA o *„Ja, kapitan” Matteo Garrone*

83 Tajemnice Herzoga
LEKTOR o *„Nowelach filmowych” Wernera Herzoga*

■ ■ ZMYSŁY

86 Mit się rodzi
DARIUSZ KOSIŃSKI: *Kibicując polskim siatkarzom, oklaskujemy też siebie samych – odnajdujemy siebie w ich wielkości*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Wybierz swoją prenumeratę... ... na stronie 71

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

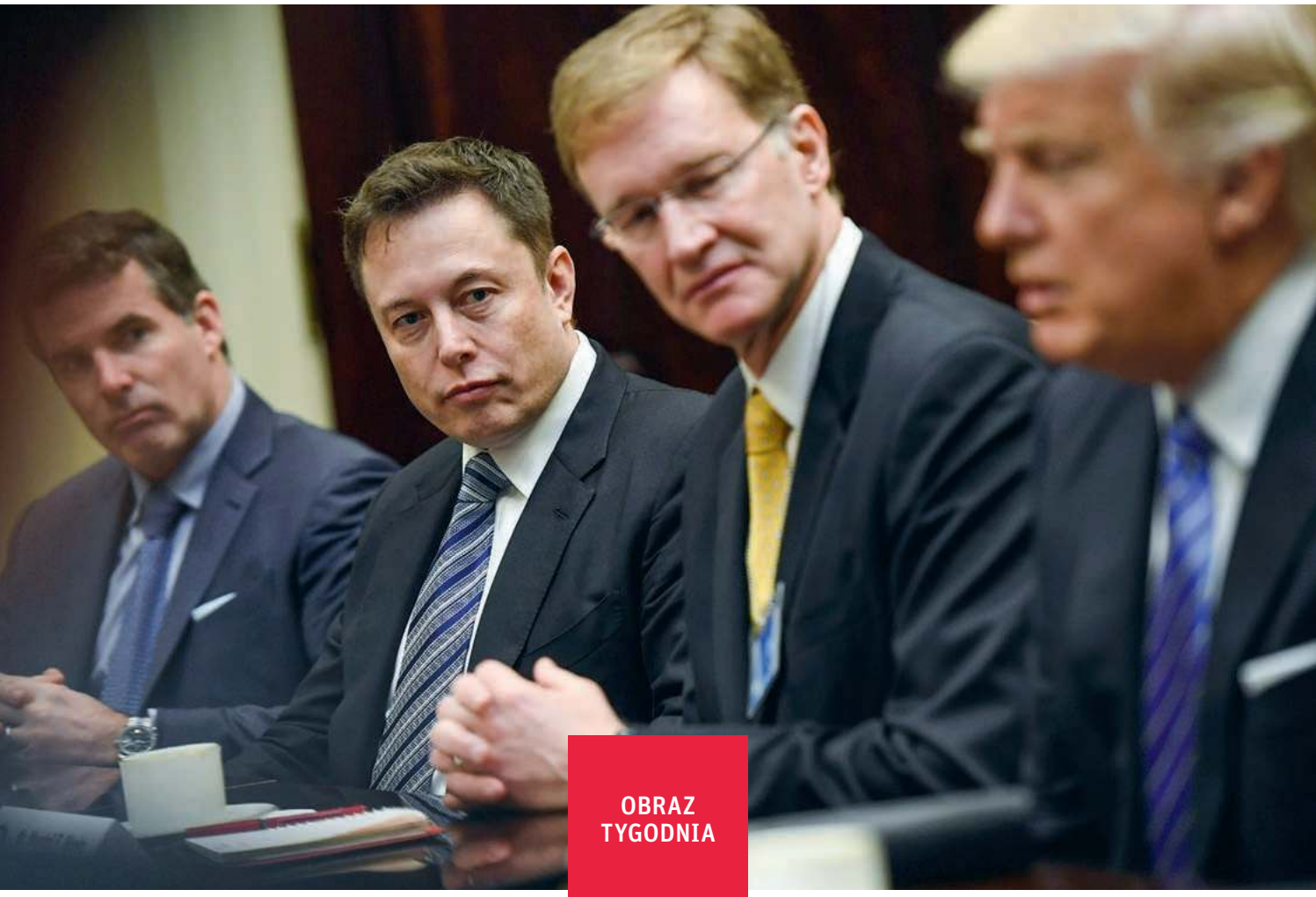

OBRAZ TYGODNIA

TRUMP I MUSK ŁAMIĄ ZASADY

Miliarder mieniący się „absolutystą wolności słowa", który niedawno deklarował, że „woli się trzymać z dala od polityki", ogranicza zasięgi Kamali Harris i publikuje *deepfake* na jej temat? To nie szaleństwo, to biznes.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że amerykański bogacz wspiera finansowo kandydata na prezydenta – to część pejzażu politycznego USA. Sojusz Donalda Trumpa i Elona Muska wykracza jednak poza takie ramy. Nie tylko dlatego, że miliarder jest właścicielem X, dawniej Twittera, jednej z największych platform społecznościowych świata, a te – choć na kampaniach zarabiają krocie – dotąd deklarowały polityczną bezstronność. Wykracza przede wszystkim dlatego, że Trump i Musk nie wykazują przywiązania do prawdy i znani są z łamania zasad.

DO CZEGO SIĘ POSUNĄ? Wskazówką może być to, co działo się ostatnio na X. Po tym, jak Joe Biden wycofał się z wyścigu o prezydenturę, a jego miejsce zajęła Kamala Harris, pojawiły się informacje, że widoczność jej konta została ograniczona, a część użytkowników nie mogła zacząć go obserwować. Wkrótce zbierające fundusze dla kandydatki Demokratów konto @dudes4harris zostało zablokowane, a później oznaczone jako spam. W tym czasie Grok, chatbot sztucznej inteligencji X, powielał fałszywą informację, że Harris nie może startować w wyborach w niektórych stanach, bo minął tam termin zgłaszania kandydatów.

Musk opublikował natomiast *deepfake* mający ośmieszać Harris, w którym podszywający się pod nią głos mówi, że dostała pracę „wyłącznie dzięki polityce zatrudniania czarnoskórych i kobiet", a ten, kto ją krytykuje, jest seksistą i rasistą. „Mam cztery lata doświadczenia w pracy dla największej marionetki rządu cieni, wspaniałego mentora, Joe Bidena" – twierdził głos imitujący polityczkę. Gdy Muskowi zarzucono, że złamał zasady własnego serwisu

POWYŻEJ:
Spotkanie Donalda Trumpa z liderami biznesu, Elon Musk drugi z lewej. Waszyngton, 23 stycznia 2017 r.

zakazujące publikowania treści fałszywych i wprowadzających w błąd, odpowiedział: „jak mnie upewnił światowej sławy autorytet, profesor Suggon Deeznuts, satyra w Ameryce jest legalna". Taki profesor nie istnieje, rzekome imię i nazwisko to gra słów, a przyjmując mniej wulgarny jej sens, „deez nuts" to zwrot, którego używa się, by okazać brak szacunku dla toczącej się dyskusji.

MINĘŁY CZASY, gdy miliony ludzi z uwagą słuchały, jak Musk opowiada o przyszłości ludzkości na Marsie czy zagrożeniach związanych ze sztuczną inteligencją. Magazyn „The Rolling Stone", który dokładnie przeanalizował jego wpisy, twierdzi, że choć „miliarder zawsze miał problem z mówieniem prawdy, teraz ma całą sieć społecznościową zbudowaną na kłamstwach". Bo tym właśnie stał się X pod jego rządami.

Zamiast obiecanej „absolutnej wolności słowa" w ciągu dwóch lat Twitter pod nową nazwą stał się rajem dla rasistów, homofobów, zwolenników teorii spiskowych i ponurych inceli, bo Musk zwolnił setki pracowników, w tym tych odpowiedzialnych za zwalczanie nienawistnych wpisów i dezinformacji. Zresztą, takie treści publikuje też on sam. Np. o tym, że Biały Dom promuje nielegalną migrację, by wpłynąć na wynik wyborów, George Soros „chce zniszczyć tkankę cywilizacji", Żydzi wysyłają „hordy mniejszości" na Zachód, by doprowadzić do zniszczenia białej rasy, czy że Secret Service celowo dopuściło się zaniedbań, by umożliwić zamach na Trumpa.

Gdy reklamodawcy zaczęli się wycofywać z X, nie chcąc, by ich marki pokazywały się wśród kontrowersyjnych treści, Musk – mieniący się „absolutystą wolności słowa" – nakazał zbanowanie dziennikarzy, którzy o tym pisali, a reklamodawców pozwał.

Mogłoby się wydawać, że miliarder, który jeszcze kilka lat temu wysyłał tweety z tęczą i deklarował, że „woli się trzymać z dala od polityki", oszalał. Tyle że to nie szaleństwo. To biznes. I to niemający nic wspólnego z deklarowanymi przez Muska wartościami. Świadczą o tym choćby przykłady z Turcji, gdzie X cenzurował treści przed wyborami, z Indii, gdzie zablokowano informacje o dokumencie BBC na temat premiera Narendy Modiego, albo z Chin, gdzie Musk opublikował artykuł w magazynie wydawanym przez... urząd cenzurujący internet. Czy to wygórowana cena za przychylność tamtejszych rządów i możliwość wejścia na rynki innych firm Muska?

GRA O WYSOKĄ STAWKĘ toczy się też w USA. Jeśli Trump wygra, Musk może zarobić krocie, bo nowa administracja mogłaby mu przyznać korzystne kontrakty na technologie kosmiczne albo rozwinąć rządowy program wsparcia elektrycznych samochodów z korzyścią dla Tesli (choć były prezydent wcześniej twierdził, że zwolennicy elektryków powinni „gnić w piekle", na początku sierpnia zmienił śpiewkę i ogłosił, że jest za samochodami elektrycznymi: „muszę być, ponieważ Elon bardzo mocno mnie poparł").

Do czego Musk i Trump mogą być zdolni, by ich wspólne cele się ziściły? Krótka reklama zachęca widzów do zarejestrowania się, by mogli zagłosować w jesiennych wyborach. Wystarczy kliknąć link lub zeskanować kod do strony America PAC. Tam należy podać maila i kod pocztowy. Tyle że po podaniu kodu ze stanu uważanego za *swing state*, gdzie wynik może rozstrzygnąć o wyborze prezydenta, użytkownik, zamiast trafić na stronę rejestracji wyborców w swoim stanie, proszony jest o wypełnienie szczegółowego formularza z informacjami osobistymi. Po ich podaniu, zamiast możliwości rejestracji, wyświetla się podziękowanie. Władze Michigan i Karoliny Północnej rozpoczęły właśnie dochodzenia mające wyjaśnić, czy doszło do złamania prawa: wprowadzenia w błąd wyborców i wyłudzenia ich danych w celu nielegalnego wykorzystania w kampanii.

America PAC wspiera kampanię Donalda Trumpa. Jej założycielem jest Elon Musk. ©

MATT MCCLAIN / THE WASHINGTON POST / GETTY IMAGES

Specoperacja w Rosji

WOJCIECH KONOŃCZUK

DZIAŁANIA SIŁ UKRAIŃSKICH W OBWODZIE KURSKIM w Rosji trwają od 6 sierpnia. Coś, co początkowo wyglądało na krótkotrwały rajd, szybko okazało się ambitną, starannie zaplanowaną i dobrze prowadzoną operacją specjalną. Co najmniej dwa tysiące żołnierzy ukraińskich zajęło i okupuje kilkaset kilometrów terytorium Rosji, w tym miasteczko Sudża, gdzie znajduje się strategicznie ważna przepompownia gazu. Ukraińcy weszli na głębokość ponad 30 km, nie napotykając większego oporu. Około 80 tys. cywilnych mieszkańców zostało ewakuowanych.

Po upływie niemal tygodnia od rozpoczęcia działań nie przestaje dziwić niezdolność Rosjan do wyparcia Ukraińców. Z politycznego punktu widzenia Kreml traktuje sprawę bardzo poważnie. Interwencja ukraińska stała się dla niego rosnącym problemem. Władimir Putin zorganizował nadzwyczajnie posiedzenie Rady Bezpieczeństwa, temat jest jednym z czołowych w mediach propagandowych.

Brak skutecznej odpowiedzi należy odczytywać jako kolejny przejaw słabości Rosji. Można odnieść wręcz wrażenie, co prawda przy innej skali, że to powtórka paraliżu decyzyjnego Kremla z okresu tzw. puczu Prigożyna w czerwcu 2023 r. Nawet ogłupieni przez propagandę Rosjanie zaczynają zadawać pytania, jak to możliwe, że pogardzana armia ukraińska jest w stanie zająć i utrzymywać się na terytorium Rosji. Problem wizerunkowy dla Moskwy jest coraz większy.

Kluczowym celem operacji ukraińskiej jest zmuszenie Rosjan do wycofania części swoich sił z tych odcinków frontu, gdzie sytuacja Ukraińców jest najtrudniejsza.

Kijów liczy również, że uda mu wywołać kryzys polityczny i podkopać poparcie dla reżimu Putina w elitach i społeczeństwie. To ostatnie będzie uzależnione od tego, jak długo Ukraińcy zdołają się utrzymać w obwodzie kurskim (próbują też przenosić operację do sąsiedniego obwodu biełgorodzkiego).

Wreszcie adresatem operacji ukraińskiej jest Zachód, który przeciera oczy ze zdumienia. Ukraina pokazała, że potrafi zaskoczyć i błędem byłoby przekreślanie możliwości jej zwycięstwa. Niezależnie od tego, kiedy i jak zakończą się ukraińskie działania w Rosji, Kijów już odniósł wielki sukces, a zarazem potwierdził, że ta wojna od początku jest daleka od czarno-białych schematów. ©

Szkoła oldbojów

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Sierpień 2023 roku. „Mamy normalny ruch kadrowy” – mówi minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek, informując, że w polskich szkołach jest ponad 21 tysięcy nauczycielskich wakatów. Używa też porównania z dziedziny piłki nożnej – sierpniowe braki mają być częścią zwyczajowego „ruchu transferowego”. Sierpień 2024 roku, studio TVN24. „Dziś jest tzw. okienko transferowe” – mówi ministra edukacji Barbara Nowacka, bagatelizując w ten sposób pojawienie się 22 tys. wakatów i zapowiadając, że we wrześniu skala braków się zmniejszy.

Co zmieniło się między sierpniem ubiegłego roku a tym obecnym, poza oświatową władzą? Niewiele. Skala kadrowych braków pozostała na podobnym poziomie. Podobnie jak rok temu problem dotyczy głównie miast, tak samo jak wówczas brakuje psychologów, anglistów, matematyków. I zapewne podobnie jak przed rokiem na początku września będzie tych wakatów mniej. Sosnowiecki nauczyciel Robert Górniak, założyciel serwisu „Dealerzy Wiedzy”, który podaje dane dotyczące szkolnych braków, wieszczy, że ok. 7-9 tysięcy.

Jeśli więc w polskich szkołach odbywa się jakiś „ruch transferowy”, to z pewnością nie jest on „normalny”. Żadne okienko transferowe – trzymając się świata sportu – nie kończy się zdziesiątkowaniem połowy drużyn, które muszą przez miesiąc albo dwa grać w dziewięciu zamiast jedenastu. Ewentualnie dowoływać oldbojów-emerytów – jak robią to co roku szefowie szkolnych placówek. „Jeśli rok temu dyrektorzy tylko cudem (w postaci półtoraetatowców, multi-szkołowców i emerytów) dopięli we wrześniu arkusze organizacyjne, a w tym roku jest tylko odrobinę lepiej, to wszystko się dopnie, jeśli ci cudotwórcy nadal będą wypruwać sobie żyły na drugim etacie, w trzech szkołach i na emeryturze” – komentuje na swoim profilu Górniak.

By zatrzymać nauczycieli – zwłaszcza tych dobrych, mających poza szkołami inne opcje dobrze płatnej pracy – nie wystarczy jedna, faktycznie znaczna, 30-procentowa podwyżka, jaka wydarzyła się na początku roku. Potrzebny jest stały mechanizm waloryzacji nauczycielskiej pensji (obywatelski projekt ustawy gwarantującej taki mechanizm utknął w Sejmie) i budowane latami przekonanie, że warto szukać w szkole pracy. Może nie tak dobrze płatnej jak na piłkarskim boisku, ale za to bezpiecznej i stabilnej. ©℗

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Barbara Nowacka podczas spotkania z młodzieżą szkół ponadpodstawowych województwa podlaskiego. Białystok, 22 czerwca 2024 r.

Katecheci protestują

IGNACY DUDKIEWICZ

Świeccy katecheci protestują przeciw faktowi i trybowi ograniczania liczby lekcji religii w szkołach. 21 sierpnia zbiorą się na placu Zamkowym w Warszawie. Trudno im się dziwić, bo kolejny raz są traktowani przedmiotowo: i przez władze, i przez... Kościół.

Nauczanie religii w szkołach nigdy nie było w Polsce przedmiotem realnej debaty. Wprowadzono je raczej jako wyraz (wątpliwej) „dziejowej sprawiedliwości” niż w wyniku pogłębionej refleksji.

Biskupi przekonywali – ustami prymasa Glempa – że „Kościół nie chce ani złotówki z budżetu państwa za nauczanie religii w szkołach publicznych”, ale wystarczyło pięć lat, by załatwić opłacanie pensji katechetów z pieniędzy publicznych. W książce „Pastwisko” bp Szymon Stułkowski opowiadał mi, jak przekonywał abp. Jerzego Strobę, że trzeba było mówić o tym otwarcie. Usłyszał: „Politykę się robi, a ludzi się informuje”.

Do szkół poszli księża, siostry zakonne, a także świeccy. Wydawało się, że to bezpieczna ścieżka zawodowa. Gdy jednak przychodził niż demograficzny, to właśnie świeccy katecheci tracili pracę pierwsi, bo etatów musiało wystarczyć dla księży. Dziś widmo bezrobocia znów zagląda im w oczy – w wyniku polityki, ale też sekularyzacji i demografii. Znaczna część katechetów była też latami wyzyskiwana. Monika Białkowska zapytała ich, czy mają inne obowiązki przy parafii i czy dostają za nie wynagrodzenie. „Standardową odpowiedzią było »tak« na pierwsze i »nie« na drugie pytanie. Najbardziej jednak zapamiętałam odpowiedź kobiety (...) z ponaddwudziestoletnim doświadczeniem pracy. Napisała, że (...) kiedy proboszcz poleca jej zrobić jakieś zakupy, może sobie zatrzymać resztę” – pisze w „Pressjach”.

Dziś katecheci znów stają się przedmiotem rozgrywki, więc protestami walczą o podmiotowość. Ewentualne zmiany powinny być stopniowe i zakładać okresy ochronne. Ale czy ktokolwiek w Polsce zmienia cokolwiek w systemie edukacji stopniowo (by wspomnieć likwidację gimnazjów z roku na rok)? Kościół zaś powinien nie tylko wydawać stanowiska, ale też powiedzieć katechetom, czy wobec znikania godzin, a może kiedyś religii ze szkół w ogóle, będzie miał im coś do zaoferowania: umowy o pracę i pensje za lekcje przy parafiach. Ale czy będzie miał?

Zapewne nadzieje to płonne. Najprawdopodobniej świeccy katecheci kolejny raz więc się rozczarują: i jako obywatele, i jako członkowie Kościoła. ©

NA PUNKTY

PREMIER I PRZESZŁOŚĆ
Donald Tusk poinformował o „skoordynowaniu pracy wewnątrz rządu", mającej na celu rozliczanie nadużyć poprzedniej władzy. Powiedział, że po pół roku działań, śledztw i audytów zarzuty postawiono już 62 osobom, a podejrzana kwota wydatków publicznych za czasów PiS to 100 miliardów zł.

IGRZYSKA I CHLEB
Nie wiemy na razie, czy wśród tych pieniędzy są kwoty przeznaczone na finansowanie związków sportowych, ale wśród populistycznych wypowiedzi polityków z ostatnich dni nie brakuje wezwań do sprawdzenia także tych sum, a to w związku z niesatysfakcjonującą rodaków liczbą medali na igrzyskach w Paryżu.

PATRIOTYZM I GIMNASTYKA
Ministra edukacji Barbara Nowacka poinformowała, że nie planuje wprowadzenia do szkół przedmiotu wychowanie patriotyczne, o którym mówił niedawno wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz. W 2025 r. w programach pojawi się za to edukacja obywatelska, która ma zastąpić osławioną historię i teraźniejszość. O poprawie jakości wychowania fizycznego cicho. ©℗

Noblista techniczny

MAREK RABIJ

Muhammad Yunus, laureat Pokojowej Nagrody Nobla, objął funkcję przejściowego premiera Bangladeszu. Był jedynym kandydatem, na którego zgadzały się wszystkie strony konfliktu, który doprowadził na początku sierpnia do ucieczki z kraju wieloletniej premierki Szejk Hasiny.

Kandydaturę Yunusa zgłosili studenci, którzy od początku lipca protestowali przeciwko przywróceniu przepisów gwarantujących de facto dziedziczenie etatów w służbie publicznej przez potomków bojowników o niepodległość kraju. W zamieszkach, jakie wybuchły z tego powodu, zginęło co najmniej 400 osób. Gdy Szejk Hasina zbiegła z kraju, organizacje studenckie nie zgodziły się na premiera desygnowanego przez armię.

HABIBUL HAQUE / DRIK / GETTY IMAGES

Muhammad Yunus, profesor ekonomii na uniwersytecie w Ćottogramie, był optymalnym przejściowym kandydatem także dla kontrolujących sytuację generałów. W 1976 r. Yunus założył Grameen Bank (Bank Wiejski), który oferował najuboższym mikropożyczki na rozkręcenie działalności gospodarczej. Ofertę skierowano głównie do kobiet, które z pożyczki miały finansować zakup maszyny do szycia i zarabiać jako szwaczki w raczkującym wówczas przemyśle odzieżowym Bangladeszu (dziś to najważniejsza dziedzina gospodarki tego kraju, wytwarzająca jedną trzecią jego PKB). Do zaciągnięcia kredytu nie wymagano umowy na piśmie z racji wysokiego wskaźnika analfabetyzmu wśród najbiedniejszych. Wysłannicy banku badali jedynie opinię, jaką potencjalny kredytobiorca cieszył się wśród sąsiadów. Dodatkowym warunkiem było też odkładanie co miesiąc 300 taka (aktualnie ok. 2,5 dolara) na rachunku prowadzonym przez Grameen Bank.

Za program mikropożyczek Yunus otrzymał w 2006 r. Pokojową Nagrodę Nobla. Środowiska związane z Ligą Ludową, rządzącą partią Szejk Hasiny, nazywały go jednak krwiopijcą i krytykowały za akty przemocy, jakich wobec nierzetelnych pożyczkobiorców dopuszczali się brutalni poborcy Grameen Banku. Kredyty oferowane przez Yunusa były rzeczywiście nawet dwukrotnie droższe od niedostępnych najbiedniejszym produktów innych banków. ©℗

Nie przeocz. Rewolucja. Kulturalna

PIOTR KOSIEWSKI

Przed kilkoma dniami Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zapowiedziało konkursy na dyrektorów trzynastu muzeów i innych państwowych instytucji kultury. W ostatnich miesiącach wybrano już m.in. szefów Starego Teatru w Krakowie, Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej i Polskiej Opery Królewskiej. Trwają konkursy na dyrektorów Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku czy warszawskiej Zachęty.

Ta zapowiedź jest bardzo ważna. Na liście planowanych konkursów znalazły się instytucje, których szefów, nominowanych przez Piotra Glińskiego i często potem źle ocenianych, odwołała nowa ekipa w MKiDN: Muzeum Narodowe w Warszawie, Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku czy Instytut Myśli Politycznej im. Gabriela Narutowicza (d. Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Dmowskiego i Paderewskiego). Jest też powstały zaledwie przed kilkoma miesiącami Instytut Różnorodności Językowej Rzeczypospolitej. Jednak w większości instytucji kończą się kadencje obecnych dyrektorów. Dotyczy to m.in. Muzeów Narodowych w Krakowie i we Wrocławiu, Pałacu w Wilanowie, Zamku Królewskiego na Wawelu czy Państwowego Muzeum na Majdanku. Są to jedne z najważniejszych instytucji – dlatego tak ważna jest dobra obsada ich szefów. Jednak kolejni ministrowie kultury w III RP powoływali dyrektorów bez wcześniejszej organizacji konkursów. Teraz po raz pierwszy zostaną one przeprowadzone jak należy.

Ta decyzja może być początkiem istotnej zmiany w zarządzaniu kulturą i odejścia władzy od uznaniowości w nominacji dyrektorów jej instytucji. Muszą zostać jednak spełnione dwa warunki. Po pierwsze, dobre i transparentne przeprowadzenie samych konkursów, by nie było wątpliwości co do ich wyników. Po drugie, zaakceptowanie wybranych w ten sposób osób przez ministerstwo – w przeszłości różnie z tym bywało. ©

Czas na szczepienia przeciw HPV

MEDYCYNA ▪ Od 1 września program powszechnych szczepień przeciw HPV obejmie dziewięciolatki. Będą realizowane również w szkołach. Rodzice nie powinni jednak się obawiać, że ktoś zaszczepi dziecko wbrew ich woli czy pod ich nieobecność. Szkoły będą mogły organizować „dzień szczepienia" np. w sobotę; dla rodziców to alternatywa dla wizyty w poradni POZ. To korzystne rozwiązanie zwłaszcza poza większymi ośrodkami, gdzie dotarcie do przychodni bywa wyzwaniem.

Wirus brodawczaka ludzkiego jest odpowiedzialny za raka szyjki macicy i szereg innych nowotworów, w tym szyi i głowy: dlatego tak ważne jest, by szczepieni byli również chłopcy (jeden z najbardziej szkodliwych mitów mówi, że to szczepienie „tylko dla dziewcząt"). Zmiany w programie są konieczne: trwa już ponad rok, a skorzystało z niego niespełna 20 proc. uprawnionej populacji. W Narodowej Strategii Onkologicznej wyznaczono 60-proc. poziom zaszczepienia nastolatków jako cel na 2028 r.

Przyczyn, dla których polscy rodzice nie decydują się na szczepienie dzieci (czyli: na zagwarantowanie im ochrony przed groźnymi nowotworami), jest wiele. Poprzednia ekipa rządząca zrobiła sporo, by program nie mógł się powieść. Przed lekarzami POZ postawiono duże wymogi biurokratyczne przy niskim wynagrodzeniu, więc przez długi czas szczepienia prowadziło kilkanaście procent poradni. Kupiono dwie szczepionki – jedną, dużo tańszą i skutecznie chroniącą przed nowotworami oraz drugą, droższą i bardziej pożądaną. Zainteresowanie rozkładało się mniej więcej jeden do dziewięciu, więc trudno się dziwić, że drogiego, bardziej pożądanego preparatu zaczęło brakować.

Ale najważniejszy grzech popełnił rząd PiS na polu edukacji i komunikacji. Bardzo się starano, żeby temat nie kłuł w oczy – choć sam program startował w blasku fleszy, a minister zdrowia ogłaszał, że Polska dołącza do „elity" (zapomniawszy dodać, że w tej elicie przed nami znalazło się ponad sto krajów). Wielkim hamulcowym był minister edukacji Przemysław Czarnek, który nie zgodził się na wprowadzenie do szkół nie tylko kampanii promującej szczepienia, ale nawet informacji o programie. Powód? Niepożądane słowo na „s", czyli seks. Choć szczepienie przeciw HPV nie ma z aktywnością seksualną nic wspólnego, od dekad przez środowiska konserwatywne jest traktowane w kategoriach zachęty do aktywności seksualnej. W tym duchu w ostatnim czasie już zdążył zabrać głos m.in. „Nasz Dziennik".

Zmiany organizacyjne są bardzo ważne, ale nie przyniosą efektów, jeśli wspólnym wysiłkiem rządu, ekspertów, mediów itp. nie uda się zbudować przekonania, że zaszczepienie dziecka przeciw HPV to dowód miłości i odpowiedzialności. Naukowcy pracują nad szczepionkami przeciw nowotworom i te prace budzą ogromne nadzieje. Pierwsza szczepionka przeciwnowotworowa już jest, tylko Polacy po nią nie sięgają.

© MAŁGORZATA SOLECKA

EAST NEWS

Slalomem wśród taryf

ENERGIA ▪ Już 24 sierpnia będziemy mogli skorzystać z tzw. taryf dynamicznych za prąd. W tej formule konsument płaci za energię dokładnie tyle, ile jej wytworzenie i dostarczenie kosztowało w momencie, w którym ją zużył. Obecnie niejako umawiamy się ze sprzedawcą na uśrednioną cenę i płacimy tyle samo bez względu na to, kiedy korzystamy z prądu. Gdy jest tańszy od naszej stawki, po prostu przepłacamy. Kiedy prąd na giełdzie towarowej drożeje – oszczędzamy. Korzystanie z taryfy dynamicznej może więc znacząco obniżyć koszty zużycia energii, ale wymagać będzie od wszystkich domowników dyscypliny i zmiany przyzwyczajeń, bez których oszczędności mogą zmienić się w straty.

Chodzi o to, by najbardziej energochłonne zadania domowe przeprowadzać w momencie, gdy prąd jest najtańszy, czyli zwykle w nocy i w godzinach przedpołudniowych. Potencjalny użytkownik taryfy dynamicznej będzie musiał ciągle sprawdzać bieżącą cenę prądu na giełdzie. Pomocne będzie także zaopatrzenie się w sterowniki, które pozwolą włączyć pralkę lub zmywarkę zdalnie. Taryfy dynamiczne nie będą optymalnym rozwiązaniem dla każdego, warto więc podkreślić, że nie ma obowiązku zmiany zasad rozliczania.

Piszę te słowa w poniedziałek, słonecznym przedpołudniem, kiedy w całej Polsce panele fotowoltaiczne produkują więcej energii elektrycznej niż konwencjonalne elektrownie węglowe i gazowe. Na Warszawskiej Giełdzie Energii megawatogodzina (MWh) kosztuje aktualnie 389,11 zł (indeks TGeBase). Dzień wcześniej, w niedzielę, większość zakładów nie pracowała, pogoda też dopisywała, w efekcie energia kosztowała tylko 182,29 zł za MWh. 18 lipca za tę samą megawatogodzinę zapłaciłbym natomiast 642,03 zł, bo był to czwartek, w dodatku deszczowy na sporym obszarze Polski, co wpłynęło na produkcję taniej energii ze źródeł odnawialnych (OZE).

Dzięki rozwojowi OZE w polskim systemie energetycznym zdarzają się momenty, kiedy prąd ma cenę ujemną, bo jest go w sieci tak dużo, że jego producenci gotowi są płacić odbiorcom za zużycie. Gdy pogoda wyklucza z gry fotowoltaikę i farmy wiatrowe, nasza energetyka stoi jednak siłowniami węglowymi, które muszą płacić krocie za zezwolenia na emisję CO_2 i przez to produkują koszmarnie drogą energię.

©℗ MAREK RABIJ

Pięć minut Carlesa Puigdemonta

MANAURE QUINTERO / AFP / EAST NEWS

Separatystyczny przywódca Katalonii Carles Puigdemont na wiecu zwolenników. Barcelona, 8 sierpnia 2024 r.

KATALONIA ▪ Wielki powrót i ponowne, brawurowe zniknięcie Carlesa Puigdemonta to jedno z bardziej groteskowych wydarzeń w najnowszej historii Królestwa Hiszpanii. Były premier Katalonii, od siedmiu lat mieszkający w belgijskim Waterloo, gdzie utworzył „rząd na uchodźstwie", ogłosił swój powrót do ojczyzny – postanowił pojawić się w parlamencie na głosowaniu wotum zaufania dla nowego rządu autonomii. A jako że w 2017 r. sąd wydał nakaz jego aresztowania (za zorganizowanie nielegalnego referendum niepodległościowego), na nogi została postawiona katalońska policja. Zamknięto barceloński park Ciutadella, w którym znajduje się siedziba parlamentu, przeszukano piwnice budynku i kanały, zabarykadowano drzwi łączące parlament z ogrodem zoologicznym.

W czwartek rano Puigdemont, w obstawie współpracowników, pojawił się pod pobliskim Łukiem Triumfalnym, gdzie z flagami niepodległej Katalonii czekał na niego kilkutysięczny tłum zwolenników. W pięciominutowym przemówieniu nawiązał do słynnych słów „Już tu jestem", wypowiedzianych przez legendarnego premiera Katalonii Josepa Tarradellasa po powrocie z trwającego 38 lat wygnania. „Niech żyje wolna Katalonia!" – zakończył Puigdemont, po czym wzięty pod ramię przez swojego adwokata zniknął za przepierzeniem z białego kartonu.

Katalońska policja obstawiła drogi wyjazdowe z miasta, policja hiszpańska – granicę z Francją, ustalono numery rejestracyjne dwóch samochodów, którymi mógł odjechać Puigdemont, zatrzymano dwóch funkcjonariuszy, którzy mieli mu pomóc w ucieczce. Ale byłego premiera nie odnaleziono – podobno wrócił do Belgii.

Posiedzenie parlamentu odbyło się zgodnie z planem. Wotum zaufania uzyskał nowy premier, Salvador Illa, z rządzącej Hiszpanią Partii Socjalistycznej, przeciwnik niepodległości regionu. Jego mniejszościowy rząd powstał po trzech miesiącach negocjacji, dzięki poparciu partii ERC – niepodległościowej, ale konkurencyjnej wobec ugrupowania Puigdemonta.

Według lipcowego badania katalońskiego instytutu opinii publicznej za niepodległością opowiada się 40 proc. Katalończyków, a przeciw jest aż 53 proc. – najwięcej, odkąd w 2015 r. zaczęto prowadzić sondaż.

© KALINA BŁAŻEJOWSKA

O pożytkach z czytania. Nie tylko dla księży

TIZIANA FABI / AFP / EAST NEWS

Papież Franciszek z książką o afgańskich kobietach na pokładzie samolotu do Budapesztu. 12 września 2021 r.

LITERATURA ▪ Papieskie wakacje były owocne. List o pożytkach z czytania (ulubionego zajęcia Franciszka podczas spędzanego w domu urlopu) nosi ślad nie tylko dawnych doświadczeń (papież, będąc młodym księdzem, uczył literatury w jezuickim liceum), ale też świeżej lektury.

Pisząc o roli książek w osobistym rozwoju każdego człowieka, papież ma na myśli nie tzw. lekturę duchową, ale powieści i poezję, które mówią o tym, co dla człowieka najważniejsze: o miłości, namiętności, pracy, cierpieniu, śmierci. Literatura piękna, która „wchodzi w intymną relację z egzystencją człowieka, jej napięciami, pragnieniami i znaczeniami", nie dzieli się na religijną i świecką. Franciszek odcina się od „fundamentalistycznego solipsyzmu" – poglądu, że tylko język religii może ukazać głębię Boga. „Boże objawienie jest polifoniczne" – podkreśla – a kontakt z literaturą, także tą, którą uważamy za niereligijną, a nawet wrogą religii, pozwala nam tego doświadczyć.

List jest adresowany do wszystkich, choć Franciszek pisał go z myślą o księżach (tytuł zmienił w ostatniej chwili). Podał w nim wiele powodów, dla których powieści i wiersze powinny być obecne w ich formacji: dzięki książkom zobaczą świat, którego nie mieli szans poznać, usłyszą opowieści o życiu innym niż ich własne, staną przed pytaniami, trudnymi i niewygodnymi, których sami sobie nie zadają. Literatura wprowadzi ich w sferę nieznanych emocji, nauczy uważności, słuchania i samodzielnego myślenia, otworzy „drogę do własnej prawdy", choćby za cenę niepokojów i kryzysów. Stanie się „bramą, która pomaga duszpasterzowi wejść w owocny dialog z kulturą jego czasów".

Na razie odbywające się w śladowych ilościach zajęcia z literatury w seminariach duchownych służą wyrównywaniu poziomu wiedzy ogólnej kandydatów. Ale przecież nie o samą reformę programu chodzi („nie ma nic bardziej szkodliwego niż czytanie z obowiązku" – zauważa papież). Bardziej o „modę na czytanie". Nie tylko wśród kleryków i księży.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

TEMAT TYGODNIKA

NOWI WŁADCY UMYSŁÓW

Chcemy odnaleźć niezmienne reguły i skryte zależności rządzące światem. Dzisiejsze masowe zainteresowanie geopolityką to wołanie o klucz do chaosu. Kto nam go daje?

JAKUB DYMEK

PIYAPAT / STOCK.ADOBE.COM

Dlaczego internetowi analitycy i blogerzy zajmujący się „geopolityką" stali się dziś wręcz celebrytami?

Dlaczego książki o tematyce ładu międzynarodowego, doktryn i teorii polityki czy rywalizacji kontynentalnych bloków są bestsellerami, a spotkania z udziałem ich autorów wypełniają sale w całej Polsce?

Czemu wykłady o programie atomowym Pakistanu, znaczeniu portów czarnomorskich i amerykańskim realizmie tryumfalnie podbijają platformy cyfrowe?

Czyżbyśmy zainteresowali się wreszcie światem poza naszymi granicami?

Zanim jednak opowiem, co się stało, wytłumaczę, dlaczego używam „geopolityki" w cudzysłowie. Nie kieruje mną poczucie wyższości: chcę raczej zaznaczyć, że nie mam na myśli nurtu myślenia, perspektywy badawczej czy ideologii. Chodzi mi o „geopolitykę", która zeszła pod strzechy i trafiła do naszych głów – być może pod postacią, której nie rozpoznaliby ani jej historyczni twórcy, ani dzisiejsi praktycy.

„Geopolityka" jako zjawisko medialne, internetowy fenomen czy wręcz pewna męska subkultura jest dalece popularniejsza niż jako subdyscyplina czy perspektywa naukowa, której raczej się w Polsce nie wykłada i niekoniecznie darzy w łonie akademii szacunkiem. Dziś, kiedy chcą o niej rozmawiać mój fryzjer i taksówkarz, jest ona także żartobliwym (i – przyznaję – nieprecyzyjnym) kluczem do nowego typu konsumenta mediów. Bo coraz częściej w potocznym użyciu tego słowa „interesować się geopolityką" znaczy „interesować się wszystkim, czego nie ma w mediach głównego nurtu" – od militariów i rewizjonistycznych albo obrazoburczych wizji historii, przez niuanse amerykańskiej prawicowej polityki i teorii realizmu, po tematy globalnych rynków surowcowych, systemu walutowego, hegemonii dolara i roli kryptowa-

lut, po chińską inicjatywę Pasa i Szlaku oraz „śmierć Europy", wojnę płci i kryzys demograficzny.

Krótka historia zakazanego owocu

Powołanie do życia geopolityki przypisuje się Halfordowi Mackinderowi i jego rozmyślaniom z początku XX stulecia. Brytyjski autor uważał, że podział na mocarstwa lądowe i morskie jest kluczowym zagadnieniem stosunków międzynarodowych, a ich konflikt – „morskiej" Wielkiej Brytanii i Rosji – zdominuje kolejne dekady. Pomimo całego rozwoju techniki, sztuki wojskowej i więzi handlowych – geografii oszukać się nie da, przekonywał. A imperia morza i lądu będą rywalizować o kontrolę nad terytoriami kluczowymi dla kontroli nad światem.

Dwie wojny z Niemcami jeszcze za życia Mackindera zadały – zdaniem krytyków – kłam jego teoriom, ale początek zimnej wojny odnowił geopolityczne proroctwo. Świat podzielił się na dwa bloki, a naprzeciwko siebie stanęły projekty atlantycki i sowiecki. Nowy globalny hegemon, czyli USA, był potęgą *par excellence* morską, jego radziecki konkurent dysponował największym lądowym imperium w historii. Geopolityka została uratowana od zapomnienia – choć inni jej europejscy praojcowie, Niemcy Karl Haushofer czy Friedrich Ratzel, zostali okryci niesławą. Równolegle Amerykanie nigdy nie porzucili podobnych rozważań, nawet jeśli nie nazywali ich wizjami geopolityki, a np. „wielkiej strategii", albo kładli większy nacisk na kluczową rolę handlu ponad ekspansję terytorialną.

Przyglądając się idei geopolityki po II wojnie światowej Charles Clover, autor książki o rosyjskim nacjonalizmie, „Black Wind, White Snow", zauważył także ciekawy paradoks jej recepcji w Rosji. Stwierdził, że to, co angielscy czy amerykańscy autorzy traktowali jako ostrzeżenie, rosyjscy intelektualiści i politycy ↦

wzięli za obiektywny opis rzeczywistości i instrukcję działania. Wyciągnęli z nich wniosek o nieuchronności konfliktu z zachodem, wielkim geograficznym powołaniu Rosji do panowania nad Eurazją (na wzór USA rozpostartego na kontynencie amerykańskim) i jej wrażliwości na atak ze strony morskich potęg. Tak geopolityka stała się w ostatnich latach ZSRR najpierw nieoficjalną, a po rozpadzie już coraz bardziej oficjalną ideologią władzy – siostrą bliźniaczką rosyjskiego nacjonalizmu.

Nacjonalizm służył do rozpalania ducha mas, geopolityka – do teoretycznego i intelektualnego uzasadnienia nacjonalizmu dla elit. Z tego też powodu anegdota mówi, że władze ZSRR pozwalały wykładać geopolitykę na własnych uczelniach, ale zabraniały w zależnych od siebie demoludach. Do tajemniczej i złowrogiej legendy o geopolityce z pewnością dołożył się fakt, że jej czołowym promotorem był w pewnym momencie Aleksandr Dugin – współtwórca ruchu narodowych bolszewików i płodny autor, rzekomy doradca Putina, a później także popularna osobowość internetowa.

Niezależnie od tego, ile prawdy tkwi w legendach, niewątpliwie te dwa skojarzenia – z Rosją, i z pewną wiedzą tajemną, dostępną wyłącznie ludziom władzy i nielicznemu gronu zaufanych – do dziś wiszą nad słowem „geopolityka". Krytycy słyszą w nim przede wszystkim echa teorii popularnych w ZSRR i Rosji – groźnych i antyzachodnich. Do fanów dużo bardziej przemawia druga część mitu: geopolityka jako klucz do poznania rzeczywistości, który trzyma się z dala od mas.

W nieco przewrotny sposób legenda o wpływie geopolityki na rosyjskie elity zdeterminowała jej odbiór w Polsce. Nad Wisłą „geopolityka" nie oznacza po prostu kolejnej akademickiej teorii stosunków międzynarodowych – jest wśród nich zakazanym owocem. Co z pewnością wyjaśnia przynajmniej część fenomenu, jaki towarzyszy jej zasięgom w sieci.

Strategie i przyszłość wyświetleń i lajków

Bo jeśli mówimy o miejscu „geopolityki" w dzisiejszej polskiej debacie, trzeba porzucić świat bibliotek i seminariów, a spojrzeć na to, co ogląda się w serwisie YouTube.

Dla wielu słowo „geopolityka" jest tożsame z nazwiskiem Jacka Bartosiaka. Ten prawnik z wykształcenia, który przez chwilę pełnił funkcję prezesa spółki CPK, kojarzony jest powszechnie jako autor niezwykle popularnych wykładów i rozmów, analiz i książek o polityce międzynarodowej. Oprócz indywidualnego i komercyjnego sukcesu udało mu się zbudować środowisko analityków wokół założonego przez siebie think-tanku Strategy&Future. Bartosiak z powodzeniem wykorzystał mechanizmy sieciowego finansowania, bo jego projekt należy do jednych z najchętniej wspieranych w serwisie Patronite, a pierwszą książkę wydał własnym nakładem.

We współczesnej ekonomii uwagi wszystko to jednak – analizy, książki, konferencje – blednie w zestawieniu z jedną miarą sukcesu: generowaniem wyświetleń, lajków i kliknięć. A w tej dziedzinie Bartosiak jest marką sam w sobie. Dość powiedzieć, że na kanale Strategy&Future materiały poświęcone tak, wydawałoby się, niszowej tematyce jak „Polska a proliferacja broni nuklearnej", „protokół proporcjonalności", „kierunek polskiej polityki kosmicznej" oraz „globalny system monetarny i rola dolara" generują dziesiątki, a nawet setki tysięcy wyświetleń. Dziesięciogodzinna (!) prezentacja „Armii Nowego Wzoru", którą zespół Bartosiaka przygotował w grudniu 2021 r., zebrała do dziś ponad 730 tys. wyświetleń.

I choć Bartosiak oraz Strategy&Future wypracowali sobie pozycję – proszę wybaczyć geopolityczny żart – hegemoniczną, to nie są sami. Kanał Piotra Zychowicza „Historia Realna", który często porusza podobną tematykę, choć w bardziej tabloidowym tonie, cieszy się liczbą blisko 650 tys. subskrypcji na YouTubie. Wykładowca i ekspert od Bliskiego Wschodu dr Wojciech Szewko ma ich ponad 140 tys., a jego nagrywane z imponującą częstotliwością (kilka w tygodniu) programy z łatwością zbierają między 100-300 tys. wyświetleń. Ostatni na tej liście dr Leszek Sykulski i jego „Podcast Geopolityczny" ma tych subskrypcji 109 tys.

Sykulski domaga się w tym gronie wyjątkowej uwagi. Nie tylko bowiem najbardziej jednoznacznie bierze „geopolityczną" tożsamość za swoją własną (napisał książkę pod tym tytułem, o geopolityce prowadzi szkolenia i działa w zakresie doradztwa dla firm). Jest także jedynym otwarcie krytycznym wobec USA, Zachodu i Ukrainy oraz promującym normalizację stosunków z Rosją i Białorusią. Utrzymuje kontakty z rosyjskimi badaczami, Rosję odwiedza i w wielu wymiarach popiera. Z tego powodu jako chyba jedyny popularny internetowy komentator polityki międzynarodowej ściągnął na siebie uwagę rządu – publicznie jego narrację „niebezpieczną" dla Polski nazwał w 2023 r. pełnomocnik ds. bezpieczeństwa przestrzeni informacyjnej RP.

Inni popularni analitycy mogliby się oczywiście obrazić za fakt postawienia w jednym szeregu z Sykulskim. Łączą ich jednak nie poglądy, a społeczne i oddolne metody finansowania działalności

OGŁOSZNEIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 254/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Wojciechu Sawickim, zmarłym w dniu 29 kwietnia 2017 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającym w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Kościerzynie toczy się postępowanie z wniosku Jolanty Opińskiej w sprawie sygn. akt I Ns 118/24 o zmianę postanowienia o stwierdzeniu nabycia spadku po Barbarze Zaorskiej-Bielawa, zmarłej dnia 16 maja 2023 r. w Kościerzynie, ostatnio stale zamieszkałej w Kościerzynie.

Wzywa się wszystkich spadkobierców Barbary Zaorskiej-Bielawa, aby w terminie 6 miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i wykazali swe prawo do spadku po nich pod rygorem rozpoznania sprawy bez ich udziału i pominięcia ich w dziedziczeniu.

publicystycznej, skupienie na youtube'owej formie wykładu czy komentarza, własny rozpoznawalny żargon i wierna społeczność słuchaczy. Przede wszystkim zaś to, że mówią coś, co w istotnym wymiarze odbiega od narracji głównego nurtu. Czy chodzi o Izrael (Szewko), USA, NATO i polityczny realizm (Bartosiak i Strategy&Future), czy sympatię do Rosji (Sykulski). Istotą zjawiska „geopolityki" w Polsce jest bowiem jej odrębność od dotychczas obowiązujących narracji. A ta stała się, również w czysto finansowym sensie, sposobem na życie.

Zatruwanie i odtrutka

Ale z tego też powodu temat geopolityki jest wściekle polaryzujący. Choć odbiorca mediów głównego nurtu na co dzień z tezami internetowych analityków się raczej nie styka, jedno jest pewne: o „geopolityce" usłyszy przy okazji jakiegoś skandalu. W jego świecie zjawisko budzi zainteresowanie, gdy kogoś podejrzewa się o współpracę z Rosją, gdy dojdzie do pyskówki w mediach społecznościowych, gdy ktoś wyciągnie komuś stare pretensje czy długi. Albo gdy – jak ostatnio w przypadku Jacka Bartosiaka – padnie zarzut plagiatu, który na całe miesiące zelektryzował zarówno jego fanów, jak i przede wszystkim krytyków w serwisie X (w czerwcu 2024 Rada Naukowa ISP PAN podjęła uchwałę o unieważnieniu doktoratu Bartosiaka, który zapowiedział odwołanie i „prawniczą batalię" w obronie swojego dorobku).

Powiedzieć, że polemika między światem geopolityki a ekspertów związanych z akademią i tradycyjnymi instytucjami jest ostra – to nic nie powiedzieć. Zorganizowana przed kilkoma laty debata Bartosiaka z dr. Michałem Lubiną, specjalistą od Azji oraz autorem książki o zbliżeniu Rosji i Chin, w ogóle nie przypominała debaty. Były to raczej nieprzecinające się monologi dwójki pogniewanych na siebie ludzi. Nie inaczej wyglądały wymiany zdań (póki jeszcze do nich dochodziło) między Bartosiakiem a Witoldem Jurasz, niegdyś dyplomatą, a dziś autorem popularnego podkastu „Raport Międzynarodowy". Zarzuty braku wiedzy, kultury i doświadczenia należały do łagodniejszych.

Z tym, że Jurasz o całym nurcie geopolitycznym ma jak najgorsze zdanie i nie ukrywał go od dawna. „Moda na geopolitykę współgra z melodią do tej pory graną przez Kreml" – pisał w swojej krytycznej analizie na stronach Onetu jeszcze w 2018 r. I dodawał, że polscy geopolitycy nie mają wiele do zaoferowania poza powtarzaniem cudzych teorii. A podważając znaczenie NATO, USA i sojuszników z UE dla polskiej obronności i pozycji, „zamiast wzbogacać debatę, zatruwają ją". Swój tekst kończył wnioskiem, że „geopolityka jest na rozdrożu i albo stanie się synonimem fermentu intelektualnego, albo synonimem szarlatanerii i agentury". Można zgadywać – choć nie będzie to zagadka trudna – co dziś sądzi o drodze, jaką poszła geopolityka od czasu jego pierwszych sporów z jej polskimi popularyzatorami.

PIYAPAT / STOCK.ADOBE.COM

Kiedy platformy cyfrowe wygrywały walkę o uwagę ludzi na całym świecie, polskie media obcinały budżety na działy zagraniczne i spychały tematykę międzynarodową do pozycji ciekawostki i marginesu. **Ktoś musiał tę niszę wypełnić**.

Zdanie Jurasza podziela też dr hab. Łukasz Fyderek z Instytut Bliskiego i Dalekiego Wschodu UJ. „Geopolityka uprawiana na YouTubie sprawia wrażenie szumu złożonego z kakofonii bon motów, kontradykcji, neologizmów i romantycznych metafor" – pisał jesienią 2022 r. w miesięczniku „Znak". I przypomniał czytelnikom, że teorie geopolityczne „stanowią jeden z koncepcyjnych filarów rosyjskiego imperializmu ery Władimira Putina". Gdyby spór ten był nie dość ostry, wiosną 2024 r. okazało się, że część naukowców krytykujących publicznie geopolitykę zostało powołanych jako eksperci w postępowaniu PAN mającym rozstrzygnąć kwestię doktoratu Bartosiaka.

Tam jednak, gdzie eksperci widzą rękę Kremla albo szarlatanerię, setki tysięcy widzów znajdują coś innego: odtrutkę na nudę, zblazowanie i wsobność tych samych ekspertów. Nawet bowiem zażarci krytycy „geopolitycznej bańki" niechętnie przyznają, że jeśli chodzi o talent do popularyzatorstwa, korzystania z nowych mediów i komunikowania swoich idei, geopolitycy wyprzedzili instytucjonalną debatę o całe lata.

Ten konflikt wynika jednak z czegoś jeszcze innego niż personalne animozje i był w pewnym sensie nieunikniony.

Hierarchia w świecie bez hierarchii

Przyczyną kontrowersji wokół geopolityki jest zderzenie się dwóch niemożliwych do pogodzenia zjawisk. Pierwsze to mechanizm tworzenia dystynkcji i hierarchii, który umożliwia istnienie debaty eksperckiej i naukowej. Eksperci muszą zazdrośnie strzec granic swojego terytorium i nie wpuszczać byle kogo. Temu służą tytuły, konferencje, punkty, dyplomy, znajomości – oraz zachłanna obrona swojej specjalizacji przed laikami. Bo jeśli każdy będzie mógł wypowiedzieć się na temat finansów publicznych, budowy lotniska albo polityki zagranicznej USA – to może dojść do inflacji wiedzy eksperckiej. A wówczas wszystkie żmudnie zdobywane elementy prestiżu stracą na wartości.

„Specjaliści wszystkich dziedzin czują się zmotywowani, by przedstawiać je ↦

↦ jako trudniejsze, niż są w rzeczywistości, bo tym mogą uzasadnić pobieranie wysokich opłat za swoje usługi", jak pisał Ha-Joon Chang o ekonomistach (sam również ekonomista). Ale jego złośliwa obserwacja może równie dobrze dotyczyć innych obszarów wiedzy. Przy czym w Polsce specjaliści od polityki zagranicznej i tak raczej – w odróżnieniu od, powiedzmy, lekarzy czy informatyków – nie mogą liczyć na wielkie wynagrodzenie.

Co gorsza, miejsce panelistów na prestiżowych konferencjach, honoraria za dyskusje i czas antenowy w mediach są ograniczonym dobrem, o które trwa zażarta rywalizacja. Nie po to eksperci budują latami wiarygodność, uczestniczą w towarzyskich grach i intrygach, znoszą upokarzająco niskie pensje i trud badania niszowych zagadnień, aby z dnia na dzień wygryzł ich youtuber, prawda? Tak przynajmniej wygląda problem z punktu widzenia samej klasy dyskutującej. Lubi ona pewną przewidywalność, a ponad wszystko podejrzliwie patrzy na nuworyszy i ludzi znikąd. Spauperyzowana i zmuszana do uprawiania coraz bardziej wyjałowionej ziemi „debaty publicznej" ma uzasadnione powody, żeby przyglądać się zachodzącym zmianom z niepokojem.

Bo drugim zjawiskiem, o którym tu mowa, jest oczywiście radykalna demokratyzacja produkcji wiedzy i rozszczelnienie debaty publicznej przez platformy cyfrowe. Jak na ironię: dzisiejszy internetowy oligopol wielkich platform sam zakończył i ośmieszył wcześniejszy i dużo dłuższy monopol „tradycyjnych" mediów: telewizji, radia i prasy. To truizm, ale fakt, że można docierać do setek tysięcy ludzi (w Polsce) czy setek milionów (globalnie) bez pośrednictwa redakcji i wydawnictw, naprawdę zrewolucjonizował kulturę. Jedno z najwyżej wycenianych nazwisk całej anglojęzycznej przestrzeni medialnej, Joe Rogan, zanim założył swój podkast, był komikiem, komentatorem sportów walki i prowadził *reality shows*. Dziś na platformie Spotify, która kupiła wyłączne prawa do emisji jego programu za ćwierć miliarda (!) dolarów, ma więcej słuchaczy (ponad 16 mln subskrypcji), niż „New York Times" czytelników. Z punktu widzenia dotychczas obowiązującej hierarchii wygląda to tak, że błazen naprawdę został królem.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

JACEK BARTOSIAK, prawnik, twórca think-tanku Strategy&Future (216 tys. subskrybentów na YouTubie) i autor książek o współczesnej polityce międzynarodowej, niedawno stracił doktorat z powodu zarzutu o plagiat.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

PIOTR ZYCHOWICZ, publicysta i autor książek historycznych kreślących alternatywne scenariusze dziejów Polski, prowadzi na YouTubie kanał „Historia realna" (648 tys. subskrybentów).

FORUM

WOJCIECH SZEWKO, były wiceminister nauki i wykładowca akademicki. Jego kanał „Szewko, czyli na wschód od Bliskiego Wschodu" ma na YouTubie 142 tys. subskrybentów.

GRZEGORZ SKOWRONEK // AGENCJA WYBORCZA.PL

LESZEK SYKULSKI, politolog, dawny współpracownik Kancelarii Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, dziś krytykowany za prorosyjską postawę. Jego „Podkast geopolityczny" ma 109 tys. subskrybentów na YouTubie.

Kariera geopolityki jest ciekawa i sporo o nas mówi (do czego jeszcze wrócę). Gdy jednak spojrzeć na rewolucję komunikacyjną ostatniej dekady, wydaje się wręcz banalna. Geopolitycy nie są wyjątkiem, przeciwnie: są wręcz podręcznikową ilustracją reguły, którą doskonale wyłożyli apostołowie internetu 2.0 i misjonarze nowej ery contentu.

Tysiąc wiernych fanów

W 2008 r. Kevin Kelly, założyciel magazynu „The Wired", postawił pewną diagnozę na temat położenia twórców w nowej cyfrowej ekonomii.

„Potrzebujesz tylko tysiąca wiernych fanów" – pisał w eseju o tym samym tytule. Jeśli zbudujesz bazę sympatyków, która kupi każdą twoją książkę, obejrzy film, zapłaci za spotkanie z tobą i pomoże w ciemno sfinansować kolejne projekty – to wystarczy tysiąc (nie milion czy setki tysięcy) fanów, by utrzymać się z pracy twórczej. Im bardziej ograniczymy rolę pośredników – wydawców, mediów, agentów, wytwórni płytowych – tym bardziej bezpośrednia relacja z fanami będzie opłacać się twórcom. Tworzenie dla niszowej widowni przestanie być nieopłacalne. Przeciwnie: ci, którzy trafią do swoich nisz, będą zwycięzcami w nowym rozdaniu.

Kevin Kelly opisywał mechanizmy, które dziś znamy jako *crowdfunding* – nie był w tym pierwszy, ale w 2008 r., gdy ledwie co pojawił się serwis Facebook i pierwszy iPhone, była to idea wciąż nowatorska. Wielkie światowe marki crowdfundingowe pojawiły się nieco później – IndieGoGo w 2008, Kickstarter w 2009, Patreon w 2013, polski Patronite w 2015 r.

Dziś logika, którą opisał Kelly, stała się elementem codzienności. W tym sensie również popularni w internecie dziennikarze, analitycy, komentatorzy czy blogerzy – wrzucani do jednego worka „geopolityków" – są tylko elementem większej przemiany, która zaszła w mediach i kulturze. Całkiem zasadne jest jednak pytanie, dlaczego akurat tematyka stała się w Polsce tak popularna. Czemu „geopolityka"?

Po pierwsze dlatego, że okazała się odpowiedzią na debatę o sprawach międzynarodowych w Polsce. A właściwie na jej brak. W tym samym czasie, gdy platformy cyfrowe wygrywały walkę o uwagę ludzi na całym świecie, a obieg

informacji globalizował się bardziej niż kiedykolwiek, polskie media obcinały budżety na działy zagraniczne i spychały tematykę międzynarodową do pozycji ciekawostki i marginesu. O ile nie doszło do naprawdę dramatycznego, bezprecedensowego albo przełomowego wydarzenia – wojny, krachu finansowego czy wyboru nowego amerykańskiego prezydenta – sprawy międzynarodowe pełniły w mediach funkcję przypisu do wielkiej wojny Kaczyńskiego i Tuska.

Na tym tle zdobyć popularność czy dotrzeć do (wcale nie tak płytkiej) niszy słuchaczy lub odbiorców zainteresowanych tematyką międzynarodową było względnie łatwo. Rugowanie z mediów publicznych ciekawych treści o światowej polityce umocniło przekonanie, że zainteresowani tematem odbiorcy po prostu muszą szukać w internecie. Zaś to, z czym można było zapoznać się w głównym nurcie, i tak było boleśnie przewidywalne. Dyskusje o polityce zagranicznej – organizowane przez media, fundacje i think-tanki – były równie spontaniczne i pluralistyczne, co zebranie wojewódzkiego PZPR. Lista dostępnych na tych pogadankach stanowisk dałaby się zapisać na bilecie komunikacji miejskiej: USA ma zawsze rację, Izrael ma prawo się bronić, Rosja jest zła, Europa dobra, Chiny daleko.

Różnice, jeśli były, mogły zaistnieć jedynie jako funkcja polsko-polskiego sporu: jedni sympatyzowali z PO lub lewicą, więc mieli cieplejszy stosunek do Berlina i Brukseli, inni z PiS-em albo narodową prawicą, więc przychylniej patrzyli na Orbána, Trumpa i brexitowców. Ekspertów finansowanych z publicznej i grantowej kasy think-tanków nikt nie nauczył sztuki mówienia w sposób przystępny. A nawet jeśli – często mieli nałożony instytucjonalny kaganiec. Zaś w banalnych radiowych czy telewizyjnych setkach nie mieli szans na przekazanie oryginalnej myśli.

Nieprzypadkowo tak wiele udanych projektów podkastowych („Raport o stanie świata", „Dział Zagraniczny", „Raport Międzynarodowy", a także najmłodszy z tej listy „Na wschód od Bliskiego Wschodu") traktuje właśnie o zagranicy i odniosło sukces dzięki pójściu wbrew obowiązującym konwencjom. Zamiast mówić krótko, lapidarnie i na siłę szukać konsensusu – są raczej dłuższe i na pewno bardziej niż stare medialne formaty nastawione na dyskusję, polemikę i świeżość.

Witajcie w klubie

Kojarzeni z „geopolityką" twórcy szybko mogli zdobyć swoich „tysiąc wiernych fanów".

Nie tylko bowiem prezentowali oryginalne w naszym kraju poglądy, ale ubierali je w nową terminologię – żargon, który budził zaciekawienie i fascynację jednych, a pogardę i rozbawienie drugich. Sukcesem „geopolityków" było sprzedanie własnej opowieści nie jako kolejnej z wielu teorii i perspektyw, ale właśnie pewnej wiedzy tajemnej. Dali swoim widzom i sympatykom nie tylko treści, jak na Polskę nowatorskie i oryginalne, ale także poczucie przynależności do pewnego elitarnego klubu. Klubu ludzi, którzy nie muszą polegać na wielkich mediach i rządowej propagandzie.

Za „geopolityką" stoi więc obietnica otrzymania klucza do rzeczywistości, który pozwoli ją zrozumieć i uporządkować. Oddzielić fakty od szumu, a w chaosie relacji międzynarodowych odnaleźć porządek niezmiennych reguł i systemowych zależności.

Jak zauważyła brytyjska publicystka Helen Lewis w świetnym cyklu dokumentalnych podkastów „The New Gurus", w świecie postreligijnym, osieroceni przez śmierć wielkich narracji i przytłoczeni natłokiem wiedzy – potrzebujemy przewodników i jesteśmy w stanie tym przewodnikom zapłacić naprawdę sporo. To właśnie – zdaniem Lewis: sprzedawanie pewnej wizji rzeczywistości, która pozwoli się zakorzenić i zyskać pewność w niepewnym świecie – jest dziś najważniejszym silnikiem ekonomicznym i kulturowym internetu. Czy może dziwić, że ta obietnica kusi?

Setki tysięcy fanów geopolityki wynagradza ulubionych twórców nie tylko za to, że przekazują wiedzę – ale nawet bardziej, że sprzedają pewną tożsamość.

© JAKUB DYMEK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Trafny wybór

„Rzekł przeto król: Przynieście mi miecz! I przyniesiono miecz przed króla. I rzekł król: Rozetnijcie to dziecię żywe na dwoje, a oddajcie połowę jednej, a połowę drugiej!" (1 Krl 3, 24-25; Cylkow). Czy pamiętają Państwo tę opowieść? Do króla Salomona przychodzą dwie nierządne kobiety z noworodkiem. Zamieszkują w jednym domu i w kilkudniowym odstępie powiły synów. Jedno z dzieci zmarło i teraz każda z nich twierdzi, że jest matką pozostałego przy życiu chłopczyka. Wówczas król zarządza zgodnie z powyższym cytatem. Jedna z kobiet błaga, by nie robić krzywdy dziecku, lecz oddać go tej drugiej. Z kolei druga nie ma nic przeciwko „przepołowieniu". Dzięki temu Salomon wie, która z pań jest matką maleństwa (zob. 1 Krl 3, 16-28).

Kontekst tego wydarzenia, pomijany przez licznych opowiadaczy, wygląda następująco: młodziutki król służy Bogu swego ojca Dawida. Złożywszy liczne ofiary, dostaje we śnie propozycję od Najwyższego: „Wyproś, cobym ci dać miał!" (1 Krl 3,5). Salomon nie stara się o bogactwo ani zaszczyty, lecz odpowiada: „znajduje się sługa Twój w pośród ludu Twojego, któryś wybrał, ludu tak mnogiego, że nie można go zliczyć ani obrachować. Daj tedy słudze Twojemu serce, któreby umiało sądzić lud Twój" (wersy 8-9). Młodziutki władca zostaje obdarzony mądrością i natychmiast ma możliwość się nią posłużyć: stają przed nim nasze kobiety powłóczne.

Kilkaset lat przed Salomonem trud rozsądzania sporów między Izraelitami spoczywa na barkach Mojżesza. Rozpoczyna on swoją pożegnalną mowę od przypomnienia, jak 40 lat wcześniej koniecznością okazał się podział jego jednoosobowej władzy sądowniczej. „Wiekuisty, Bóg wasz, rozmnożył was, a otoście dziś jako gwiazdy nieba w mnóstwie! Jakże mi unieść samemu troskę o was, i brzemię wasze, i spory wasze?" (Pwt 1, 10 i 12). Przywódca prosi lud: „Dostarczcie z pośród siebie mężów mądrych i roztropnych" (wers 13) – oni będą sędziami – „sprawę zaś, któraby za trudną była dla was, odnieście do mnie, a przesłucham ją" (wers 17). Nie całkiem pokrywa się to z wersją odnotowaną w Księdze Wyjścia: tam katalizatorem zmian organizacyjnych był teść Mojżesza Jitro; przywódca sam wybrał sędziów i akcent położono na ich inne przymioty (zob. Wj 18, 13-27). Czy stojącego nad grobem lidera zawodzi już pamięć? ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Obrażalscy

Przez inaugurację paryskiej olimpiady narobiło się zamieszania co niemiara. Jakaś liczba ludzi religijnych, ale i ateistów, poczuła się obrażona. Na szczęście chrześcijanie mają Pawła Apostoła, który mówi: „Uważajcie więc, jak postępujecie: nie jak niemądrzy, ale jako mądrzy. Wykorzystujcie okazję, bo dni są złe. Dlatego nie bądźcie nierozumni, ale starajcie się pojąć, jaka jest wola Pana (...). Odmawiajcie wspólnie psalmy, hymny i natchnione pieśni, śpiewając Panu i uwielbiając Go całym sercem. Zawsze bądźcie za wszystko wdzięczni Bogu i Ojcu w imię naszego Pana, Jezusa Chrystusa".

Ale co dzisiaj jest tą wolą Boga, pytają zgorszeni, i za co mamy mu dziękować? Przecież jesteśmy jawnie i skrycie znieważani, ośmieszani, mordowani; dla prawdziwych chrześcijan nie ma w tym świecie miejsca. Dręczą nas również fałszywi katolicy, „użyteczni idioci". Wciąż prosimy Michała Archanioła: „Ty, Wodzu niebieskich zastępów, szatana i inne duchy złe, które na zgubę dusz ludzkich po tym świecie krążą, mocą Bożą strąć do piekła", ale bezskutecznie. Nie mówimy o tym głośno, żeby nie gorszyć maluczkich, ale mamy już tego dość. Taki jest mniej więcej tok myślenia tych, którzy zgorszywszy się złem tego świata, obrazili się na ludzi i Boga. Taki świat musi zginąć.

Tymczasem Paweł radzi, żeby zamiast obrażać się na rzeczywistość, znaleźć w niej swoje miejsce. Odpowiedzieć sobie na pytanie, co tu i teraz mam robić, żeby umożliwić Bogu zbawianie świata „ode złego"? Żeby Bóg mógł się ukazać jako Ojciec wszystkich i wszystkiego. Paweł Apostoł radzi Kościołowi: „Kiedy twój wróg jest głodny, nakarm go, a gdy jest spragniony, daj mu pić. Czyniąc tak, zgromadzisz nad jego głową rozżarzone węgle. Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło zwyciężaj dobrem".

Wracając do olimpiady, zamiast się obrażać, odprawiać ekspiacyjne nabożeństwa i przepraszać Boga, który się „gniewem nie unosi" i „złego nie pamięta", oraz włóczyć się po sądach, zamiast pokonywać naszych prawdziwych i zmyślonych wrogów, spróbujmy tak ich traktować, by mogli powiedzieć: Popatrzcie, oni jednak nas kochają. Naszą misją nie jest pokonywanie, ale przekonywanie, najlepiej czynem – jak Chrystus. Nie obrażajmy się, bierzmy przykład z Boga, on nie jest obrażalskim. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

Dusza powstała jako odblask Ognia

NOEMA

Kto przejrzał Tajemnice Percepcji, musi zasznurować usta

RUMI

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Logika misji*

Jezus „podążył w okolice Tyru i Sydonu” (Mt 15, 21nn). To jeszcze nie misja ewangelizacyjna; Kananejce, pogance, która prosi Go o uzdrowienie córki, mówi: „Posłany jestem tylko do owiec, które poginęły z domu Izraela”, a gdy ona nie ustępuje, dodaje twardo: „Niedobrze jest zabierać chleb dzieciom, a rzucać szczeniakom”.

Najwyraźniej nie przyszedł tu, by przepowiadać Słowo czy czynić znaki. On nie tyle podejmuje wyprawę w świat pogan, co odsuwa się od świata zamieszkanego przez Lud Boga. W Mateuszowym tekście nie ma słowa „podążył”, lecz raczej „oddalił się”, „wycofał” (gr. *anechoresen*). Jezus chroni się wśród pogan. Dlaczego? Gdyż w świecie Ludu Boga właśnie się zderzył z niewiarą, wrogością i obłudą (zob. Mt 15, 1-20). Przywódców Ludu (faryzeuszy) nazywa „ślepcami” i „roślinami, których nie posadził Jego niebieski Ojciec”. Nie ucieka od swojej misji, ale najwyraźniej chce od niej odpocząć, nabrać sił i entuzjazmu.

Paradoksalnie, w pogańskim świecie spotyka ludzi, którzy zadziwiają Go swoją wiarą. Postawa Kananejki wyrywa z Jego ust pochwałę: „O niewiasto, wielka jest twoja wiara!”. Zaraz potem Jego zachwyt rozszerza się na cały tłum pogan, którzy z cierpliwością, oddaniem i skupieniem „trwają przy Nim”, a widząc znaki, „wychwalają Boga Izraela”. W ten sposób pobyt Jezusa wśród pogan staje się przygotowaniem przyszłej misji, a nawet jej pierwszym etapem.

Wszystko to stanowi ważną lekcję dla nas, którzy żyjemy w świecie coraz bardziej pogańskim – ze świadomością posłania do tego świata przez Jezusa. Od czego musi się ona zacząć? Od zobaczenia w „poganach” postaw i wartości właściwych dla prawdziwej wiary. Ważne, by zanim zaczniemy głosić Chrystusa, zobaczyć dobro w ludziach, zobaczyć w nich działającego Boga. Zanim będziemy „głosić” i „kazać”, dobrze jest posłuchać i popatrzeć.

Papieże podkreślają, że kluczową metodą misji jest dialog. Nie ma go tam, gdzie mówić chce tylko jedna strona, przekonana, że jest „depozytariuszem prawdy” i że od nikogo nie może się niczego dowiedzieć. A przecież kiedy Jezus odkrywa głębię wiary Kananejki, odkrywa tym samym wielkość działania Boga w jej życiu. To nie „ciało i krew” objawiły jej prawdę o Nim (że jest Mesjaszem i Panem), lecz „Ojciec, który jest w niebie” (Mt 16, 17). ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (18 – 25 VIII)

20. niedziela zwykła: Prz 9, 1-6; Ps 34; Ef 5, 15-20; J 6, 51-58;
Poniedziałek: Ez 24, 15-24; Pwt 32; Mt 19, 16-22;
Wtorek: Ez 28, 1-10; Pwt 32; Mt 19, 23-30;
Środa: Ez 34, 1-11; Ps 23; Mt 20, 1-16;
Czwartek: Ez 36, 23-28; Ps 51; Mt 22, 1-14;
Piątek: Ez 37, 1-14; Ps 107; Mt 22, 34-40;
Sobota: Ap 21, 9b-14; Ps 145; J 1, 45-51;
21. niedziela zwykła: Joz 24, 1-2a. 15-17. 18b; Ps 34; Ef 5, 21-32; J 6, 55. 60-69.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ

WEŹMY TO NA CHŁODNO

Czy katastrofa klimatyczna rzeczywiście zmieniła sposób, w jaki Polacy spędzają wakacje? Postanowiłem to sprawdzić.

MAREK RABIJ

Coolcations – połączenie angielskich słów oznaczających chłód i wakacje media w Polsce odmieniają ostatnio przez wszystkie przypadki. Zainteresowanie wypoczynkiem w tych rejonach globu, gdzie zmiany klimatyczne nie sprawiły jeszcze, że lato przypomina całodobowy grill, ma rzekomo rosnąć z roku na rok. W turystyce indywidualnej ten trend zmieniać ma wręcz branżowe reguły gry i stawiać pod znakiem zapytania choćby sens inwestycji w nieruchomości na hiszpańskiej czy chorwackiej riwierze.

TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

Wakacje na Półwyspie Helskim. sierpień 2022 r.

Urlop twardziela

Rozumując na chłodno, nie można takim przewidywaniom odmówić racjonalności. W miesiącach letnich – jak ogłosili w 2022 r. szwedzcy naukowcy na łamach „Journal of Geophysical Research Atmospheres" – rozległe obszary na południu kontynentu europejskiego ocieplają się dwa razy szybciej, niż wynosi średnia wzrostu temperatury dla całego świata. Uboga śródziemnomorska szata roślinna sprawia, że gleba schnie tam błyskawicznie z nastaniem pierwszych wiosennych upałów. Brak parowania oznacza z kolei mniej chmur, które mogłyby chronić przed promieniami słonecznymi. W ten sposób suchy klimat południa Europy staje się jeszcze suchszy, o wiele częściej dochodzi do pożarów, rośnie także temperatura. Prognozy pogody dla południa Hiszpanii, dolnego skrawka włoskiego buta, Peloponezu czy ukochanej przez Polaków Dalmacji coraz częściej pokazują latem wartości z czwórką z przodu. Nawet w nocy temperatura – jak niedawno w Rzymie – wiele dni z rzędu nie spada poniżej 30 stopni.

Funkcjonowanie w takich warunkach staje się ryzykowną grą z promieniami słonecznymi i z granicami wytrzymałości organizmu. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi wypoczynek. Południowy rytm życia może sobie bowiem podlegać świętym regułom sjesty, ale gdy pokonawszy aż półtora tysiąca kilometrów ma się tylko parę godzin na obskoczenie wszystkich atrakcji wspomnianego już Wiecznego Miasta, zwiedzanie zamienia się w jeszcze jedną dyscyplinę sportów ekstremalnych.

„Destynacje są passé"

Wszystkie medialne doniesienia o rzekomym nowym turystycznym fenomenie, które wpadły mi w ręce, miały ten sam feler. Nie zawierały konkretów, które obrazowałyby skalę i dynamikę opisywanego zjawiska. Zapoznając czytelników z trendem *coolcations*, polskie wydanie magazynu „Elle" donosiło np. światowo, że „egzotyczne destynacje są passé", zaś jako dowód przytaczało... publikację bliźniaczego tytułu z grupy wydawniczej Condé Nast (właściciela „Elle"), który to umieścił *coolcations* „wśród największych trendów turystycznych na rok 2024". Aha.

Gdzieniegdzie pojawiały się liczby, które na pierwszy rzut oka świadczyć mogły o tym, że coś jednak jest na rzeczy.

„Rzeczpospolita", także cytując wspomniany artykuł z Condé Nast Traveler, przywoływała dodatkowo dane firmy doradczej Virtuoso, działającej w branży turystyki luksusowej, wedle której aż 82 proc. klientów rozważa wycieczkę do chłodniejszych rejonów globu. Ilu z nich faktycznie przekuło takie rozważania w czyn? Tego już firma doradcza nie ujawniła, co każe przypuszczać, że z kolei jej doradcy od *public relations* w wirtuozerski sposób wykorzystali paskudną tendencję współczesnych mediów do papugowania atrakcyjnie brzmiących informacji, nawet gdy nie mają one związku z rzeczywistością.

W artykule serwisu Wprost Podróże – cytowanym potem przez dziesiątki innych portali i stron o tematyce turystycznej – powołano się z kolei na dane czeskiej wyszukiwarki lotów Kiwi.com, z których wynikało, że w tym roku zauważalnie więcej klientów z Polski poszukuje na lipiec i sierpień biletów do Danii, Irlandii i Holandii. „Rekordowy wzrost pod kątem liczby rezerwacji w 2024 w porównaniu z 2023 rokiem odnotowała Szwajcaria – na poziomie 47 proc." – zauważyła autorka publikacji, po czym postanowiła darować czytelnikom informacji, czy wspomniany wzrost niemal o połowę nie oznaczał np. pięciu rezerwacji więcej.

Służby prasowe czeskiej spółki okazały się równie oszczędne w słowach i odesłały do komunikatu na stronie firmy, z którego wyczytać można z grubsza to samo, co przynosi polski artykuł. No, może nie licząc obserwacji, że za wspomniany wzrost zainteresowania podróżami lotniczymi do Szwajcarii w naszej części Europy odpowiada... spadek cen biletów na tym kierunku o 16,8 proc. rok do roku.

Kończąc wizytę na stronie Kiwi.com, z czysto kronikarskiego obowiązku wpisałem do udostępnionej na niej wyszukiwarki hasło „*coolcations*" w nadziei, że pojawi się przynajmniej w zakładce z rekomendacjami kierunków podróży, obok wakacji na Bali czy omówienia turystycznych zalet Sahelu.

Bez śladu. ↦

Patriotyzm wakacyjny

Dokąd podróżują zatem ci „zmęczeni upałami Polacy", których krajowe media z lubością odsyłają tego lata w okolice koła podbiegunowego? Na podsumowanie tegorocznych wakacji jeszcze za wcześnie. W badaniu „Wyjazdy turystyczne Polaków w 2022 r. i plany na rok 2023" pracownia CBOS podawała jednak, że na wakacje wybiera się 55 proc. populacji Polski, czyli blisko 21 mln mieszkańców. Aż 36 proc. ankietowanych założyło, że wypoczywać będzie wyłącznie w kraju. Wakacje tylko za granicą – lub w wariancie połączonym z pobytem w Polsce – planowało 18 proc. ankietowanych.

Z liczącej blisko 38 mln osób populacji tylko 6,82 mln w kontekście kanikuły myślało zatem o wyjeździe za granicę. Zważywszy na pogodę, która latem nad polskim Bałtykiem przypomina często jesień, czy liczbę deszczowych dni w Tatrach w lipcu, wakacje w Polsce można by więc istotnie podciągnąć pod trend *coolcations*. Rzecz w tym, że proporcje między preferującymi wypoczynek wyłącznie w kraju i tymi, którzy chcą jechać za granicę, od lat nie ulegają większym zmianom. W 2014 r. urlop krajowy planowało 35 proc. respondentów, a zagraniczny – 18 proc. W roku 2018 – gdy na wakacje wybierał się rekordowy odsetek aż 60 proc. Polaków – w kraju chciało zostać 36 proc. ankietowanych, za rubieże Rzeczypospolitej zamierzało natomiast wyruszyć kolejne 24 proc. W latach poprzedzających pandemię, po której uderzyła wysoka inflacja, w danych widać było wręcz rosnące zainteresowanie wypoczynkiem zagranicznym. Tylko pomiędzy 2017 a 2019 r. odsetek Polaków urlopujących na łonie ojczyzny spadł z 35 do 32 proc. przy jednoczesnym wzroście planujących wakacje zagraniczne z 19 do 23 proc.

CBOS prowadzi to badanie nieprzerwanie od 2010 r. Jedno nie ulega więc wątpliwości: w najdłużej trwającej ankiecie dotyczącej polskich preferencji turystycznych nie ma nawet śladu *coolcations*. Dane CBOS niejako przy okazji dostarczają zresztą argumentu, że za popularnością wypoczynku nad polskim morzem czy na Mazurach niekoniecznie muszą stać względy klimatyczne. Łączna przeciętna długość polskich urlopów zmniejsza się bowiem sukcesywnie od 2014 r., a to niemal automatycznie zapewnia przewagę krajowej ofercie turystycznej nad zagraniczną. 10 lat temu w ciągu roku spędzaliśmy na wypoczynku średnio 16,1 dnia. W 2022 r. – tylko 13,3 dnia. Pojedynczy pobyt skrócił się w tym samym czasie z 8,1 do 6,4 dnia.

Rzekomy fenomen *coolcations*, przynajmniej na razie i w odniesieniu do Polski, jest raczej pojęciowym fantomem niż namacalnym zjawiskiem.

Spaleni słońcem

Nie zmieniają się za to najpopularniejsze kierunki naszych zagranicznych podróży wakacyjnych. Na miejscu pierwszym od lat plasują się Włochy. Drugie należy do Hiszpanii, potem mamy zaś Grecję, Turcję i Chorwację. Największy boom przeżywa Turcja, targana kryzysem miejscowej liry, który sprawia, że wakacje w tym kraju są w ostatnich latach dla Polaków relatywnie tanie. Odsetek respondentów CBOS, którzy w ciągu roku odwiedzili ten kraj przynajmniej raz i na dłużej niż dwie doby, w trakcie ostatniej dekady wzrósł z 7 do 12 proc.

Listę państw najrzadziej odwiedzanych przez nas w ramach wypoczynku zamykają natomiast kraje, które można utożsamiać z wakacyjnym globalnym ochłodzeniem. Finlandia, Islandia, Dania, Norwegia czy Litwa to *de facto* białe plamy na turystycznej mapie statystycznego Polaka. Wyjątkiem od tej reguły jest Szwecja, która w ostatnich latach przyciągnęła nieco ruchu zza południowego brzegu Bałtyku, choć także w tym przypadku trudno mówić o masowym zainteresowaniu.

– Bo my kochamy ciepełko – odpowiada Piotr Henicz, wiceprezes biura podróży Itaka, zapytany o przyczyny wyjazdowego konserwatyzmu rodaków. – Bez upału, plaży nagrzanej słońcem i ciepłej wody Polacy nie wyobrażają sobie udanych wakacji. Chłodu mamy tyle przez resztę roku, że nikt nie chce uciekać do niego podczas urlopu.

W ustach wiceprezesa największego polskiego biura podróży, które co roku organizuje wypoczynek milionowi Polaków, takie generalizowanie wydaje się dopuszczalne. Jego słowa dodatkowo zdaje się potwierdzać sama zawartość strony internetowej Itaki. W zakładce *last minute* nie natrafiam na oferty wyjazdów do krajów, które kojarzą się z klimatem co najmniej umiarkowanym – najdalej wysunięta na północ propozycja dotyczyła wypadu na albańską riwierę. Głębiej, na liście państw, do których Itaka wozi swoich gości, doszukuję się jednak m.in. Danii, Norwegii, Finlandii, Litwy, Liechtensteinu, Islandii oraz Niemiec. Jest też Kanada, Nepal oraz Bhutan. Terminy wyjazdów? Lato przyszłego roku, oczywiście z zastrzeżeniem, że wycieczka pojedzie, gdy zbierze się dostatecznie wielu chętnych. Jak gdyby ktoś w firmie postanowił jednak zareagować na coraz głośniejszą medialną opowieść o globalnym pragnieniu chłodu.

– Rozczaruję pana – wyjaśnia Henicz. – Budujemy jak najszerszą ofertę wyjazdów, wychodząc z założenia, że biuro działające na taką skalę nie może się koncentrować tylko na najpopularniejszych kierunkach. Zainteresowania wakacjami w chłodniejszych regionach nie widzimy jednak ani w wynikach sprzedaży wycieczek, ani nawet w zapytaniach od klientów. I żeby to było jasne: mam na myśli brak choćby szczątkowego zainteresowania.

Co cieszy Czechów

Na wakacje można jednak pojechać nie tylko z biurem podróży. Internetowe serwisy z ofertami najmu krótkoterminowego i wyszukiwarki tanich lotów zdają się wprost zapraszać do turystyki indywidualnej. Problem w tym, że i one na razie nie dostrzegają istnienia fenomenu, który rzekomo właśnie zmienia oblicze globalnej turystyki. Witryna Booking.com i jej główny konkurent Airbnb w odpowiedzi na zapytanie o *coolcations* odsyłają do hoteli w marokańskiej Kenitrze. Google Trends w reakcji na to samo odpowiada, że dysponuje zbyt małą porcją danych, by złożyć z nich trend wyszukiwań, po czym z sobie tylko znanych powodów sugeruje, żebym spróbował z hasłem „Krzysztof Stanowski".

To może za zjawisko *coolcations* uznamy zagraniczną turystykę przyjazdową do Polski? Czeskie media w ostatnich miesiącach poświęciły wiele uwagi nagłemu

TADEUSZ KONIARZ / REPORTER

Turystki z Bliskiego Wschodu w Krakowie, sierpień 2023 r.

wzrostowi zainteresowania tamtejszych turystów wypoczynkiem nad polskim morzem. Internetowy broker wycieczek Slevomat.cz latem ubiegłego roku zanotował aż 50-procentowy wzrost liczby zakupionych wyjazdów do Polski. Witrynie Dovolená.cz, oferującej rezerwacje zakwaterowania, tylko od stycznia do czerwca tego roku przybyło aż o 158 proc. zapytań o kwatery nad polskim Bałtykiem. Firma ubezpieczeniowa KB Pojišťovna podawała zaś niedawno, że 11 proc. Czechów planujących w tym roku wyjazd za granicę wybiera się właśnie nad nasze morze. Na pierwszy rzut oka mamy zatem do czynienia z *coolcations* w czystej formie. O pogoń za chłodem można też podejrzewać gości z Półwyspu Arabskiego, którzy ostatnimi czasy wypełniają hotele i pensjonaty w Zakopanem.

Nie znam niestety nikogo, kto czytałby płynnie po arabsku, mam za to przyjaciela, który nie dość, że mówi płynnie po czesku, to jeszcze jako dziennikarz ekonomiczny zawodowo zajmuje się analizowaniem tamtejszej gospodarki.

– Czeski boom na Bałtyk nie ma żadnego związku ze zmianami klimatycznymi – klaruje mi stanowczo. – Po oddaniu do użytku drogi ekspresowej S3 okazało się, że z Pragi jedzie się nad nasze morze szybciej i taniej niż do Chorwacji czy Włoch. W Polsce jest też taniej niż na południu Europy, a infrastruktura turystyczna zwykle jest w lepszym stanie, bo z reguły ma bardzo krótką metrykę. Czechom podoba się też to, że mogą się z Polakami względnie łatwo dogadać i że spotykają się generalnie z sympatycznym przyjęciem. A zmiany klimatyczne? Pogodę nad Bałtykiem goście z południa uważają za najsłabszy punkt naszej oferty turystycznej.

Klimat umiarkowany

Rzekomy fenomen *coolcations*, przynajmniej na razie i w odniesieniu do Polski, jest więc raczej pojęciowym fantomem niż namacalnym zjawiskiem. Możliwe też, że mamy do czynienia z próbą budowy popytu przez dużych touroperatorów, a polskie media odważnie wspierają ten proces swoją niekompetencją. Całe zamieszanie ma jednak jedną niepodważalną zaletę. Uświadamia nam, że najwyższa pora taki fenomen w odniesieniu do Polski wykreować.

Norwegia już dziś reklamuje się za granicą jako miejsce, w którym „unikniesz palącego słońca i intensywnego upału”. Na wzrost zainteresowania ze strony turystów umęczonych falami tropikalnego ukropu na południu Europy liczą także Szwecja i Islandia. Punktem odniesienia dla takich strategii są oczywiście modele meteorologiczne, które pokazują, co w najbliższych dekadach czeka klimat. Wyliczenia hiszpańskich badaczy zapowiadają np., że w 2050 r. na terenie całego kraju temperatura nie będzie spadać w nocy poniżej 20 stopni Celsjusza przez co najmniej 60 dni w roku. Na południu Hiszpanii liczba tropikalnych nocy, kiedy ziemia i budynki nie są w stanie oddać do atmosfery ciepła skumulowanego za dnia, wzrośnie do ponad 70. Lato w Madrycie będzie oznaczało więc temperaturę, która w ciągu dnia regularnie przekracza 42 stopnie. W Sewilli i w Kordobie termometry zaczną systematycznie pokazywać wartości powyżej 49 stopni.

Fale upałów oznaczają oczywiście problemy z dostępem do wody pitnej, a być może także okresowe braki wybranych produktów spożywczych, których nie da się uprawiać na miejscu. A jeśli założyć, że upały na południu Hiszpanii będą i tak mniej dotkliwe od spiekoty, która w tym samym czasie uderzy w państwa Sahelu, można też spodziewać się rosnącej fali uciekinierów z obszarów, które przestaną nadawać się do zamieszkania. Hiszpańska riwiera może wówczas zmienić się w pas zażartego konfliktu o przetrwanie.

Polska w tym samym czasie będzie zmagać się z upałami na zauważalnie mniejszą skalę. Prognoza zmian klimatu przygotowana w 2020 r. przez zespół badaczy z Instytutu Ochrony Środowiska zapowiada, że do 2050 r. średnia roczna temperatura na terenie kraju wzrośnie w porównaniu z obecną o 1,3-3 stopnie – w zależności od zastosowanego modelu obliczeniowego. Do 2030 r. liczba nocy tropikalnych w skali roku nie powinna ulec znaczącej zmianie w porównaniu ze stanem obecnym. Podwoi się dopiero na początku drugiej połowy tego stulecia. Warunki klimatyczne w Polsce za ćwierć wieku będą więc dalekie od tego, co dziś utożsamiamy ze strefą klimatu umiarkowanego, ale wciąż bardziej przyjazne niż na południu Europy.

Możliwe, że wakacje rzeczywiście zaczną wtedy kojarzyć się Europejczykom z wyjazdem gdzieś na północ. Ale na to, żeby przy okazji kojarzyły się z Polską, trzeba zapracować. ©℗ MAREK RABIJ

Albatros travel

Królestwo niedźwiedzi polarnych – rejs na Spitsbergen

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Oslo. **Dz. 2** Przelot z Oslo do Longyearbyen. Wejście na statek. **Dz. 3-4** Północno-zachodni Spitsbergen. Dzika północ i wizyta w starej osadzie wielorybników. **Dz. 5** Północno-wschodni Spitsbergen. Arktyczne pustynne krajobrazy z bogatym życiem ptaków. **Dz. 6** Północny Svalbard. **Dz. 7** W głąb lodu pakowego w stronę 80 równoleżnika. **Dz. 8** Powrót na ląd. Kongsfjorden i spacer między stacjami badawczymi w Ny Ålesund. **Dz. 9** Longyearbyen. **Dz. 10** Przelot do Warszawy.

10 dni | Wylot z Warszawy 05/06 2025

27.998,-

REKLAMA

Oslo, Bergen i norweskie fiordy

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Oslo. Przejazd do Hamar. **Dz. 2** Hamar – Lillehammer – Droga Trolli-Geiranger. Skocznia w Lillehammer, dolina Gudbrandsdalen. **Dz. 3** Geiranger – Hellesylt – Sognefjorden – Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie z Geiranger do Hellesylt. **Dz. 4** Bergen – Gudvangen – Flåm – Geilo. Spacer po Bergen. Wycieczka statkiem po fiordzie między Gudvangen i Flåm. **Dz. 5** Geilo – Oslo. Zwiedzanie Oslo, ulica Karl Johan i park Frognerparken. **Dz. 6** Czas wolny. Wylot z Oslo do Warszawy.

6 dni | Wyloty z Warszawy 15/06, 23/06, 12/07, 22/08, 01/09 2025

od **5.798,-**

Norwegia – na tropie zorzy polarnej

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Bodø. Przyjazd i kolacja powitalna. **Dz. 2** Bodø. Spacer po mieście, rejs statkiem linii Hurtigruten przez wąskie fiordy archipelagu Lofotów do Tromsø. **Dz. 3** Przyjazd do Tromsø. Zwiedzanie miasta – Katedra Arktyczna i Muzeum Polarne. **Dz. 4** Tromsø. Czas wolny lub możliwość wykupienia wycieczki na obserwację wielorybów. Przejazd do Sommarøy – wieczorna wycieczka w poszukiwaniu zorzy polarnej. **Dz. 5** Sommarøy. Psie zaprzęgi i zorza polarna. **Dz. 6** Tromsø i podróż powrotna.

6 dni | Wyloty z Warszawy 07/01, 14/01 2025

od **9.798,-**

Norwegia Płn. – Lofoty i Przylądek Północny

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Evenes i przejazd do Svolvær. **Dz. 2** Svolvær. Wycieczka na Lofoty, wizyta w wioskach rybackich: Å, Ramberg Strand i Stamsund. **Dz. 3** Lofoty – Vesterålen – Andenes – podróż przez magiczne krajobrazy. Możliwość obserwacji wielorybów. **Dz. 4** Andenes. Rejs "Drogą wielorybów" przez Gryllefjord i dalej do bramy Arktyki: Tromsø. **Dz. 5** Przejazd: Tromsø – Alta. Eksplorowanie Tromsø, rejs po fiordzie, arktyczna natura Finnmarku i Alty. **Dz. 6** Alta – Magerøya - Honningsvåg. Ryty naskalne w Alcie, podróż przez arktyczne krajobrazy w kierunku wyspy Magerøya na Przylądku Północnym. Dzień polarny. **Dz. 7** Przejazd z Honningsvåg do Alty. Trasa wzdłuż fiordów Finnmarku, łagodnego górskiego krajobrazu do lotniska w Alcie. Powrót do domu.

7 dni | Wyloty z Warszawy 16/06, 14/07, 04/08 2025

od **8.998,-**

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: TP04

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Kobiety Tuska

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Od kilku lat stawia w najbliższym otoczeniu na kobiety. Ludzie znający premiera tłumaczą, że uważa je za bardziej lojalne. Poza tym boi się wyhodować własnego „Brutusa", a ma przekonanie, że kobieta nigdy nim nie będzie.

Opinię publiczną poruszyła ostatnio sprawa Kristiny Woronowskiej, młodej i atrakcyjnej Ukrainki, która została zatrudniona jako społeczna asystentka Donalda Tuska. Internauci nie rozumieli tej decyzji i wytykali, że jeszcze niedawno pracowała w salonie urody. Sprawa ta wywołała szum niewspółmierny do jej znaczenia, ale faktem jest, że Donald Tusk nie od dziś lubi otaczać się w pracy kobietami. Można nawet postawić tezę, że jeśli ma do wyboru dwoje równorzędnych kandydatów do załatwienia jakiejś sprawy w życiu politycznym, raczej wybierze kobietę niż mężczyznę.

Tajemnicza blondynka

Zjawisko to można obserwować od powrotu Tuska do krajowej polityki w 2021 roku. To wtedy kluczowe role w jego otoczeniu zaczęły odgrywać kobiety. Wielką karierę zrobiła na przykład Agnieszka Rucińska, wcześniej dziennikarka Polskiego Radia, a od 2016 r. szefowa biura prasowego klubu PO.

Po przyjściu Tuska Rucińska zaczęła na stałe pracować w siedzibie partii przy ul. Wiejskiej, wcześniej pracowała w gmachu Sejmu. Tusk docenił jej sprawność w wykonywaniu poleceń, a także to, że sama nie ma ambicji politycznych. Miała za to ogromny udział w wyborczym objeździe Tuska po kraju, a gdy w grudniu ubiegłego roku został on formalnie premierem, Rucińska objęła funkcję podsekretarza stanu w jego kancelarii. Praktycznie zawsze tam, gdzie można spotkać Tuska, jest i ona, co rodzi coraz więcej pytań o znaczenie „tajemniczej blondynki", jak zaczęli określać Rucińską nieznający jej ludzie.

Wraz z szefem MSZ Radosławem Sikorskim oraz wieloletnim zausznikiem Tuska Pawłem Grasiem (obecnie szefem gabinetu politycznego) reprezentowała delegację polskiego rządu przy – wspólnych z prezydentem Andrzejem Dudą – marcowych rozmowach w Waszyngtonie z prezydentem USA Joem Bidenem. To dużo mówi o jej faktycznej pozycji.

– Jest pracowita, dyskretna, lojalna i nie ma potrzeby budowania własnej pozycji, choć zarazem bywa samodzielna – tłumaczy awans dawnej dziennikarki polityk KO. Jej kapitałem jest też wiedza o mediach, rządzących nimi mechanizmach, posiada też kontakty z dziennikarzami, choć znający ją żurnaliści narzekają, że bardzo rzadko odbiera od nich telefony. Zapewne w obawie, by nie być posądzoną o przecieki. Ma bowiem dostęp do wielu rządowych tajemnic.

Źródłem kariery Rucińskiej w PO, a potem u boku Tuska, jest na pewno bliska współpraca z Janem Grabcem, wcześniej rzecznikiem prasowym Platformy, a po powstaniu gabinetu Tuska szefem kancelarii premiera. Znaczenie ma również, jak przyznają ludzie związani z KO, jej osobowość. Choćby to, że jeszcze kierując biurem prasowym Platformy, nie patyczkowała się w relacjach z posłami. – Agnieszka ma zdolność podejmowania w trudnych sytuacjach szybkich decyzji, zarazem trafnych. Nie widzi miliona odcieni sprawy, tylko od razu ten właściwy – przyznaje jej wieloletnia koleżanka z mediów.

Bardzo często ludzie na politycznych „dworach" boją się przekazywać szefowi złe wiadomości. Rucińska, jak można usłyszeć, nie ma takich zahamowań i potrafi powiedzieć Tuskowi nawet nieprzyjemne rzeczy. Bywa też jego „twarzą", bo formalnie odpowiada za politykę medialną i nadzoruje Centrum Informacyjne Rządu. Nie jest jednak rzecznikiem prasowym, bo gabinet Tuska nie ma go w ogóle, z czego zresztą czyni się często obecnemu rządowi zarzut. Rucińska ponoć otrzymała nawet propozycję oficjalnego objęcia tej funkcji, ale odmówiła, tłumacząc, że rzecznikiem rządu powinien być czynny polityk.

To nie do końca trafiony argument, jeśli weźmie się pod uwagę, że rzeczniczką pierwszego rządu w III RP była dziennikarka Małgorzata Niezabitowska. Jednak faktem jest też, że w przeszłości bywały przykłady nieudanych eksperymentów z rzecznikami spoza polityki. To choćby Agnieszka Liszka, która odpowiadała za politykę informacyjną pierwszego rządu... Tuska. W przeciwieństwie do Rucińskiej nie miała szczególnie bliskich relacji z premierem i jej misja okazała się porażką.

Pani od ciężkiej orki

Oprócz Rucińskiej osobą, która ogromną aktywnością w kampanii zapracowała sobie na wysokie notowania u Tuska, jest obecna wicemarszałek Sejmu Monika Wielichowska. To ona od strony organizacyjnej przygotowywała wszystkie wyjazdowe spotkania wyborcze obecnego premiera, ona też je prowadziła – udzielała głosu uczestnikom, przerywała wypowiedzi, ogłaszała koniec spotkania, jeśli trzeba było jechać dalej. Nikt w KO i otoczeniu Tuska się nie zdziwił, że po wyborach została nagrodzona fotelem wicemarszałka.

Szczególną pozycję w otoczeniu Tuska ma też druga obok Wielichowskiej wicemarszałek Sejmu Dorota Niedziela. Ma ona bardzo dobre relacje zarówno z przybocznym Tuska, Pawłem Grasiem, jak i z samym szefem rządu. – Właściwie to nie bardzo wiadomo, dlaczego Niedziela dostała fotel wicemarszałka. Wielichowską można lubić lub nie, ale ciężką pracą w kampanii zapracowała sobie na to, co ma. Ale Niedziela, skądinąd bardzo miła osoba, dostała funkcję wicemarszałka trochę tak, jak w PRL przyznawało się talon na malucha – mówi poseł KO. Jednak inny parlamentarzysta zwraca uwagę, że Niedziela, oprócz tego, że łączą ją bliskie relacje z Tuskiem, jest osobą wyjątkowo lojalną i rzetelną.

W kampanii wzrosły również akcje Wioletty Paprockiej-Ślusarskiej. Mimo że na co dzień pełni funkcję szefowej gabinetu prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego, okresowo przechodzi do bliskiego otoczenia Tuska. Paprocka-Ślusarska została np. szefową sztabu ↦

wyborczego w jesiennej kampanii parlamentarnej i bardzo dobrze się z tego wywiązała. Wybory zakończyły się sukcesem.

– Wiola jest niezwykle pracowita, pracowała w kampanii od rana do wieczora. Szef to dostrzegł – mówi osoba związana z otoczeniem Tuska. – Gdyby jej nie cenił, nie powierzałby jej kierowania trzema ostatnimi kampaniami. To osoba o wybitnych zdolnościach organizacyjnych – mówi polityk PO.

Paprocka-Ślusarska, podobnie jak Rucińska, nie miała dotąd własnych ambicji politycznych, co w tym przypadku jest pozytywną rekomendacją. Ostatnio jednak jej nazwisko zaczęło się pojawiać na giełdzie kandydatów na nowego sekretarza generalnego PO, który miałby zająć miejsce Marcina Kierwińskiego, jeśli ten miałby odejść z funkcji w związku z objęciem mandatu europosła.

Osobistą decyzją Tuska była też „reaktywacja" Hanny Gronkiewicz-Waltz i umieszczenie jej wysoko na listach do Parlamentu Europejskiego. Była prezes NBP nie zdobyła jednak mandatu. Tu polityczny nos najwyraźniej Tuska zawiódł. Liczył na jej popularność z okresu, gdy była prezydentem Warszawy, ale okazało się to sprawą już nieco przebrzmiałą. Choć osoba z kierownictwa Platformy przekonuje, że gdyby nie mimo wszystko dobry wynik wyborczy Gronkiewicz-Waltz, Koalicja Obywatelska zapewne nie zdobyłaby w Warszawie trzeciego mandatu w Parlamencie Europejskim.

Jej można zaufać

Generalnie kobiety w otoczeniu Tuska mają silną pozycję, zdarza się, że wykraczającą poza potencjał polityczny czy zasługi. Według osób związanych z KO i otoczeniem premiera powodem jest przekonanie Tuska, że kobieta będzie bardziej lojalna i nigdy nie okaże się „Brutusem", który niespodziewanie wbije liderowi nóż w plecy. – Kobiety wybierane przez Tuska wiedzą, że jak coś dostały, to powinny być wdzięczne. Mężczyźni zaś uważają, że jak coś dostali, to im się to należało. Na zasadzie, że jak dostałem obiad, to czekam na kolację – tłumaczy jeden z naszych rozmówców.

Sekretarz generalny PO Marcin Kierwiński przekonuje jednak, że dla Tuska najważniejsza jest zdolność współpracowników do rozwiązywania problemów. Jeśli ktoś to potrafi, obecny premier na niego stawia i wtedy drugorzędne znaczenia ma płeć tej osoby.

> Kobiety przy Tusku wiedzą, że jak coś dostały, to powinny być wdzięczne. Mężczyźni zaś uważają, że im się to należało.
> **Na zasadzie, że jak dostałem obiad, to czekam na kolację.**

Niemniej w obecnym rządzie Tusk mocno zabiegał o silną reprezentację kobiet. Naciskał także partnerów koalicyjnych, by do rządu kierowali ich jak najwięcej. I choć w składzie Rady Ministrów nie udało się ostatecznie uzyskać pełnego parytetu, to jednak 35 proc. kobiet stanowi wynik powyżej średniej w krajach UE (31 proc.).

Kobiety miały zawsze silną pozycję w rządach, którymi kierował Tusk. Dziś można to powiedzieć o szefowej resortu edukacji, Barbarze Nowackiej, co jest przypisywane bardziej osobistej sympatii Tuska niż jej realnym zasługom na stanowisku ministra. W przeszłości też tak było. Dzięki wysokim notowaniom u Tuska, ważną rolę odgrywała w jego pierwszym rządzie np. ówczesna minister rozwoju regionalnego Elżbieta Bieńkowska, późniejsza unijna komisarz.

Ale największe wpływy w epoce pierwszych rządów Platformy miała inna zaufana lidera PO, minister zdrowia Ewa Kopacz. Już wiele lat wcześniej była faworyzowana przez Tuska. Byli w bliskich relacjach praktycznie od powstania partii, a znaczenie miało to, że Kopacz pomogła w kłopotach zdrowotnych matki Tuska.

Potem, gdy PO wygrała przedterminowe wybory w 2007 r. i Tusk tworzył rząd, Kopacz objęła trudny urząd ministra zdrowia. Według relacji osób, które pracowały w tamtym rządzie, mogła sobie wobec premiera pozwolić na dużo więcej niż inni. Była też wyraźnie faworyzowana, zaś atak ówczesnego prezydenta Lecha Kaczyńskiego na resort zdrowia podczas pierwszej Rady Gabinetowej

ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

został bardzo źle odebrany przez Tuska, który zrewanżował się prezydentowi przy pierwszej możliwej okazji.

Tusk chciał uczynić Ewę Kopacz marszałkiem Sejmu już w 2010 r., w razie zwycięstwa Bronisława Komorowskiego w przedterminowych wyborach prezydenckich (co nastąpiło). Jednak Komorowski wymógł, by jego następcą na stanowisku marszałka został Grzegorz Schetyna. Tusk musiał to wówczas przełknąć, ale rok później, po kolejnych wygranych przez Platformę wyborach parlamentarnych, Kopacz została w końcu marszałkiem, a Schetynę Tusk upokorzył „skromną" posadą szefa komisji spraw zagranicznych.

Gdy w 2014 r. okazało się, że Tusk zostanie przewodniczącym Rady Europejskiej, mimo sporych oporów w partii wymógł on, by to Kopacz zastąpiła go zarówno na fotelu premiera, jak i szefa PO.

Nie tak różowo

Tu popełnił błąd. Eksperyment okazał się nieudany i do dziś w Platformie wiele osób ma za to pretensje do Tuska. Najpierw kierowana przez Kopacz partia zlekceważyła Andrzeja Dudę i nie umiała

Agnieszka Rucińska (na pierwszym planie) przed konferencją prasową Donalda Tuska. Warszawa, 17 sierpnia 2023 r.

wspomóc słabej kampanii zmierzającej do reelekcji Bronisława Komorowskiego w wyborach prezydenckich. Potem pani premier, stojąca też na czele partii, przegrała kampanię przed wyborami parlamentarnymi w 2015 r., które dały początek ośmioletnim rządom PiS.

– Ewa Kopacz to bardzo przyzwoita osoba, wrażliwa, empatyczna, nikomu nie podłoży świni. Ale to nie ten rozmiar kapelusza, by udźwignąć premierostwo i kierowanie partią w tak trudnej sytuacji, jaka była w 2015 r. – przyznaje poseł KO.

W Platformie można usłyszeć, że powrót Tuska do kierowania partią w 2021 r. mógł być spowodowany m.in. jego świadomością, że swoimi decyzjami z 2014 r. przyczynił się do zwycięstwa partii Jarosława Kaczyńskiego.

Jednak złe decyzje nie skończyły się przed dekadą. Swoją dużą karierę w PO zawdzięcza w dużym stopniu Tuskowi również Małgorzata Kidawa-Błońska. Holował ją na listach wyborczych, a potem, pod koniec pierwszego premierowania, zrobił rzecznikiem rządu. Dzięki temu zdobyła popularność, więc piastowała funkcję rzecznika także w rządzie Ewy Kopacz, a w końcu, pod koniec kadencji Sejmu w 2015 r., została nawet marszałkiem Sejmu.

To Tusk stał za tym, by w wyborach w 2023 r. Kidawa-Błońska kandydowała do Senatu i mogła dzięki temu zostać marszałkiem drugiej izby. W ten sposób, jak można usłyszeć w PO, została wynagrodzona za swoją lojalność oraz awersję do partyjnych gierek, ale przede wszystkim za to, że zrezygnowała w obliczu sondaży z kandydowania w pandemijnych wyborach prezydenckich w 2020 r., ustępując miejsca Rafałowi Trzaskowskiemu. – To, co wtedy zrobiła, było wielkie. Gdyby nie ustąpiła i dostała 2 procent, może dziś nie byłoby Platformy – mówi poseł KO.

Praktycznie jedyną kobietą, która została politycznie „wykończona" przez Tuska, była nieżyjąca już dziś Zyta Gilowska. U progu kampanii prezydenckiej w 2005 r. wołała na konwencji „Donald, bracie!", ale potem odeszła z partii po zarzutach kolegów o nepotyzm, by w końcu odnaleźć się w rządach PiS. Innym dowodem, że nie tylko płeć u Tuska ma znaczenie, jest Joanna Mucha, która w jego drugim rządzie po 2011 r. była ministrem sportu, ale, jak można usłyszeć, Tusk nie ma dobrych wspomnień z tamtej współpracy. Dziś Mucha jest jednak wiceministrem edukacji z rekomendacji koalicyjnej Polski 2050.

Tusk lepiej rozumie

Politycy KO przekonują, że obecny Tusk różni się mocno od swej wersji z pierwszych rządów PO większym zrozumieniem dla tematów kobiecych. Plonem jego urzędowania na stanowisku przewodniczącego Rady Europejskiej i poznania realiów europejskich jest np. zmiana stosunku do prawa antyaborcyjnego. Jak na warunki polskie, Tusk przeszedł na zdecydowanie lewicowe pozycje. Jego słynna deklaracja na Campusie Polska Przyszłości w 2022 r., że nikt, kto jest przeciwny liberalizacji prawa aborcyjnego, nie znajdzie się na listach PO, nie była tylko grą wyborczą.

Jednak „prokobieca" postawa cechowała Tuska już wcześniej. Podczas Kongresu Kobiet w 2012 r. ówczesny premier i lider PO zaskoczył deklaracją, że przy tworzeniu list wyborczych Platformy do parlamentu będzie stosowana metoda „suwaka", czyli naprzemiennego umieszczania kobiety i mężczyzny. Dziś jest to usankcjonowana prawnie rzeczywistość, ale wtedy było to coś zupełnie nowego, co zwłaszcza przez konserwatywne partie zostało przyjęte bardzo niechętnie. Także podczas ostatniej kampanii przekonywał, że jest „bardzo uparty jeśli chodzi o kwestie parytetów i suwaków na listach". Politycy KO potwierdzają, że tak jest rzeczywiście. To Tusk po swoim powrocie wymógł np., by połowę wiceprzewodniczących Platformy stanowiły kobiety.

Kobiety aktywne w polityce nie powinny się ze strony Tuska spodziewać raczej niczego złego. To, że w rządzie utrzymała się minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska z Polski 2050, wielokrotnie typowana do dymisji, jest nie tylko kwestią twardego stanowiska w tej sprawie jej macierzystej partii, ale także „miękkiego serca" premiera, który wobec innych współpracowników nie bywa tak wyrozumiały.

Ukrainka Kristina Woronowska też pozostała na stanowisku asystentki społecznej. I zapewne nic jej nie grozi pomimo medialnego skandalu.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

Złota Ola

BARTEK DOBROCH

Mamy nowy sport narodowy. Stolicami wspinania na czas są Tarnów i Lublin. Królową: Aleksandra Mirosław.

FRANCK FIFE / AFP / EAST NEWS

Aleksandra Mirosław ze złotym medalem igrzysk olimpijskich. Paryż, 8 sierpnia 2024 r.

Gdy 7 sierpnia, dwunastego dnia XXXIII Letnich Igrzysk Olimpijskich, stają pod 15-metrową ścianką w podparyskim centrum wspinaczkowym Le Bourget, polski sport olimpijski stoi już także w Paryżu pod ścianą. Od pięciu dni i brązu Igi Świątek trwa impas, w klasyfikacji medalowej Polska spada na 53. miejsce, poniżej debiutantek tej statystyki, Świętej Łucji i Dominiki, krajów, o których wyspiarskim istnieniu wiedzą prędzej wytrawni widzowie lekkoatletyki niż uczniowie z piątkami z geografii. Jest jeszcze przed półfinałowym thrillerem siatkarzy zakończonym awansem do olimpijskiego finału i rozstrzygniętą podobnym wynikiem bokserską walką Julii Szeremety.O tym, co dzieje się dookoła, nasze reprezentantki we wspinaczce sportowej, dwie Aleksandry: Kałucka i Mirosław, wiedzą jednak niewiele. Przed rozpoczęciem igrzysk wylogowały się z mediów społecznościowych, ograniczyły kontakt z mediami. Zamknęły się w wieży skupienia, bo w konkurencji wspinaczkowej, w której bieg trwa nieco ponad 6 sekund, a każde potknięcie czy nawet lekkie zawahanie może odebrać szanse na zwycięstwo, czysta głowa i koncentracja są równie ważne jak talent i fenomenalne przygotowanie fizyczne.

Nic pewnego

Zwłaszcza pod taką presją, jakiej poddali je kibice, może nie tak liczni jak tenisowi fani Świątek, ale także skorzy do tego, by już przed igrzyskami wieszać medal na szyi przynajmniej jednej z nich – Aleksandry Mirosław, uchodzącej od miesięcy za faworytkę do złota. Ugruntowała tę pozycję w odbywających się dwa dni przed finałami eliminacjach, w których dwukrotnie poprawiała własny rekord świata – najpierw o 0,03 s, a następnie o 0,15 s. Ten finalny olimpijski rekord, 6,06 s, wymagający korekty poświęconego Mirosław muralu w Lublinie, to czas, w jakim jeszcze 13 lat temu biegali po sztucznej ścianie najszybsi mężczyźni.

Wyniki rozbudzają nadzieje kibiców, ale znawcy zawodów wspinaczkowych, zwłaszcza „czasówek", wiedzą, że wciąż nic nie jest pewne. Tu nie ma kilku wyścigów, w których można poprawić słabszy start, trzech prób czy rund, repasaży po przegranym biegu. Na krótkim dystansie 15-metrowej ściany o pięciostopniowym przewieszeniu, liczącej po 20 jednakowych dużych chwytów i 11 małych stopni, nie ma czasu na poprawę nawet najmniejszego błędu.

Po wygraniu biegów ćwierćfinałowych przez obie Ole układ pucharowej drabinki uniemożliwia polski finał, choć z drugiej strony gwarantuje obecność w nim jednej z nich. Aleksandra Kałucka nie lubi słowa rywalizacja, woli mówić o współzawodnictwie i właśnie współzawodnicząc w półfinałowym biegu z najszybszą na igrzyskach Aleksandrą Mirosław, osiąga swoją „życiówkę", a także domowy rekord sióstr Kałuckich. Tylko jedna z bliźniaczek mogła bowiem wystartować w igrzyskach, w których każdemu krajowi przysługiwały po dwa miejsca w obu żeńskich i męskich konkurencjach wspinaczki sportowej. W zawodach kwalifikacyjnych Aleksandra uzyskała lepszy wynik od Natalii, mistrzyni świata z 2021 r.

Błyskawiczne bliźniaczki

Bój o igrzyska nie był pierwszym, które stoczyły razem. Tarnowskie bliźniaczki urodziły się bowiem za wcześnie, w siódmym miesiącu ciąży, w Boże Narodzenie 2001 r. Lekarze prognozowali, że nigdy nie będą widzieć ani chodzić. Rodzice skupili się na żmudnej rehabilitacji, która przyniosła nadspodziewane efekty. Dziewczynki zyskały sprawność

przewyższającą przeciętnych ludzi. Biegają po ścianie zaledwie ułamki sekundy wolniej od najszybszej na świecie Mirosław. Każda z nich nie widzi na jedno oko, co jednak, jak podkreślają, ani we wspinaczce, ani w życiu im nie przeszkadza. Nie wiedzą bowiem, co to znaczy widzieć normalnie.

W biegu o brązowy medal Aleksandra widzi świecący się na zielono czasomierz ze swoim wynikiem i hidżab dobiegającej prawie dwie sekundy później po błędzie w dolnej części ściany Indonezyjki Rajiah Sallsabillah. Dzień później rodak tejże, Vedriqq Leonardo, zdobędzie złoto w męskiej konkurencji z czasem 4,75 s. Dwie setne szybszym od pokonanego Chińczyka, zaś jedną wolniejszym od poprawiającego także o 0,01 s własny rekord świata w starciu o brąz Amerykanina Sama Watsona.

W finałowym pojedynku Aleksandry Mirosław z Chinką Deng Lijuan też decydują ułamki sekundy. Albo mgnienie oka, którego czas według naukowców zamyka się w 80 milisekundach. Szybszym „strzałem", czyli wyskokiem do panelu wyłączającego czas stopera, Aleksandra Mirosław zdobywa złoto – pierwsze polskie w tych igrzyskach i zarazem pierwsze w historii w debiutującej na nich konkurencji.

Wiele ścianek

Na olimpiadzie pojawiła się wprawdzie wraz z całym wspinaniem sportowym już trzy lata temu w Tokio, podczas pandemicznych, przełożonych o rok igrzysk. MKOl przyjmując wspinaczy pod olimpijskie skrzydła, zaoferował im na początek walkę we wspinaczkowym wieloboju, który obejmował trzy konkurencje: bouldering, wspinaczkę na prowadzenie i tę na czas, co premiowało zawodników mierzących się z trudnością sztucznej ściany. Specjaliści od czasówek nie mieli w tym formacie szans na medal, zwycięstwo w jednej trzeciej rywalizacji z pobitym wówczas także rekordem świata dało Aleksandrze Mirosław 4. miejsce.

Było mniej więcej tak, jakby nasza najlepsza sprinterka w biegach płaskich Ewa Swoboda miała w ramach biegowego wieloboju przebiec jeszcze 800 i 10 000 m. O ile jednak wspinaczka na czas faktycznie przypomina rozgrywającą się w pionie dyscyplinę lekkoatletyczną, o tyle bouldering, czyli wywodzące się ze wspinania na wielkie głazy rozwiązywanie ruchowych problemów na przewieszonej ściance czterometrowej wysokości, wygląda dziś raczej na ekstremalną gimnastykę sportową z elementami parkouru niż na klasyczne wspinanie.

Do niego najsilniej nawiązuje konkurencja na prowadzenie, czyli wspinaczka na sztucznej ścianie z liną i dolną asekuracją. Układ chwytów w będącym w Paryżu osobną konkurencją dwuboju był dziełem routesetterów, czyli architektów stanowiących dla zawodników zawsze nową zagadkę boulderowych problemów i wspinaczkowej drogi. W Paryżu w tej grupie byli także Polacy: Olga Niemiec, Piotr Pustelnik i Tomasz Oleksy.

Ten ostatni kilkanaście lat temu należał do światowej czołówki w boulderingu i wspinaczce na czas. Podobnie jak siostry Kałuckie, Edyta Ropek, mistrzyni Europy i medalistka mistrzostw świata, oraz Marcin Dzieński, także były mistrz świata, pochodzi z Tarnowa, polskiej stolicy wspinania na czas. Jego drugim najważniejszym centrum jest obecnie Lublin, w którym trenuje nasza mistrzyni olimpijska.

Stroma droga

Wspinaczka na czas, co potwierdzają medale w Paryżu, jest naszą narodową konkurencją, choć jak przyznaje jej weteran, Andrzej Marcisz, ma ona radziecki rodowód. To w ZSRR odbywały się pierwsze zawody, mimo że ich współczesne standardy i parametry ściany są ideą Francuza Jacky'ego Godoffe'a, z którym Marcisz rywalizował niegdyś w europejskich zawodach. Gdyby wspinaczka sportowa wcześniej trafiła do rodziny dyscyplin olimpijskich, Polska mogła mieć już kilka medali. Jej droga na olimpiadę była jednak długa i stroma.Właściwie, sięgając do olimpijskiej prehistorii, zaczęła się już u zarania ruchu olimpijskiego, gdy jego ojcowie sformułowali zamysł nagradzania na każdych igrzyskach najwybitniejszego wspinaczkowego dokonania minionego czterolecia. W praktyce medale za alpinizm wręczono tylko trzykrotnie, począwszy od igrzysk w Paryżu w 1924 r., na których nagrodzono uczestników brytyjskiej wyprawy na Mount Everest za dotarcie na najwyższą osiągniętą wówczas przez człowieka wysokość.

Pomysł włączenia wspinaczki do programu igrzysk wrócił dopiero w latach 90., gdy popularność święciły już sztuczne ściany i rozgrywane na nich międzynarodowe zawody, w tym najsłynniejsze we włoskim Arco. Jednym z ich pierwszych polskich uczestników był właśnie Marcisz. Uczestniczył też w zawodach pokazowych, które odbyły się w 1992 r. w Albertville w ramach... zimowych igrzysk olimpijskich. – Po nich okazało się jednak, że jest za mało państw, w których uprawiana jest wspinaczka sportowa. A wspinaczka na czas była konkurencją niszową, traktowaną po macoszemu. Dalej jest tak trochę traktowana, choć myślę, że teraz to się diametralnie zmieni. Już po Tokio nastąpił jakościowy skok w rozwoju ścianek wspinaczkowych – mówi.

Duplantis w spódnicy

Aleksandra Mirosław, pierwsze międzynarodowe sukcesy odnosząca pod nazwiskiem Rudzińska, olimpijskiemu laurowi podporządkowała życie. Trenuje pod okiem męża Mateusza w lubelskim Klubie Wspinaczkowym Kotłownia. Jest żołnierką, czy raczej – jak mówi z dumą – żołnierzem Wojska Polskiego, należy do Centralnego Wojskowego Zespołu Sportowego. Po Tokio stała się Duplantisem we wspinaczkowych lycrach. Podobnie jak szwedzki skoczek o tyczce, pobija od wtedy własne rekordy świata, w Paryżu już po raz dziesiąty.

Jednak Armand Duplantis w najważniejszych zawodach nie przegrywa – Mirosław się to zdarza, choćby w dwóch ostatnich mistrzostwach świata, z których przywoziła brąz – i nie ma aktualnie żadnej groźnej konkurencji, a we wspinaczce sportowej ta depta 32-latce po piętach. Za cztery lata w Los Angeles będzie z pewnością jeszcze silniejsza.

„Czasówki" mogą zostać zdominowane przez młode zawodniczki i zawodników z Chin i USA, bo to – nawet w porównaniu ze wspinaniem na trudność – dosyć tanie, w sensie nakładów finansowych, medale. Popularnym sportem ta konkurencja staje się też w bogatej w talenty Indonezji. Nie odpuszcza wschód, z Ukrainą i Kazachstanem, a do stawki dołączają też kraje zachodu Europy, zwłaszcza Francja i Włochy. Po radości z sukcesu potrzeba zatem znowu ciężkiej pracy, aby świat nas nie przegonił, jak w lekkoatletyce i kajakarstwie, dyscyplinach, w których niedługo przed olimpiadą odnosiliśmy światowe sukcesy. ©

Z ODDECHEM

MOJA MAŁA FORTUNA

LECH JANERKA, MUZYK:

Nadchodzi moment, żeby się opamiętać, dać spokój z tym ciągłym pastwieniem się nad sobą. Pora, by pocieszyć się samym życiem.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Myślisz ciągle: Ja muszę?
LECH JANERKA: Już nie.

A kiedyś?
Autodoginka to moje drugie imię. Trzeba się doginać, bo entropia wciągnie mnie nosem i nie wiadomo, czy wykichnie...

Tak było w młodości?
W szkole średniej byłem odludkiem, bo dość szybko połapałem się, że grubo odstaję od rówieśników. Jestem przygłupiasty i mam słabą pamięć. W podstawówce jeszcze to do mnie nie docierało, bo zajmowałem się pływaniem i graniem w nogę. Moimi idolami byli Włodzimierz Lubański i Johan Cruyff. Rządził prosty mechanizm: trzymałem stronę tych, którzy wygrywali. W każdym razie mało u mnie było myślenia, zastanawiania się, refleksji. A ponieważ w moim rodzinnym domu nie rozmawiało się, więc kiedy znalazłem się w szkole średniej, nagle odkryłem, że istnieje coś takiego jak komunikacja: można bezkarnie rozmawiać, dyskutować, stawiać śmiałe tezy.

Stawiałeś?
W myślach. Raczej obserwowałem, milczałem i uważnie słuchałem. I zacząłem na sobie wymuszać budowanie porządku. Ponieważ miałem problemy z koncentracją – po chwili skupienia na czymkolwiek wszystko w głowie mi się rozmazywało, zbierałem się w sobie, napinałem, by sprawy ogarnąć. Jeżeli coś trwało dłużej niż ułamki sekund, zamieniało się w bełkot i umykało. Robiłem więc lapidarne notatki. Co zresztą weszło mi w nawyk. Pokochałem autorygor i dobrze się z tym czułem.

Istniało coś, do czego się nie zmuszałeś?
Czytanie. Lecz i to robiłem dziwnie. Podążałem za wątkiem i jednocześnie snułem obok swój własny. I tak funkcjonuję do dzisiaj: czy czytam powieść, czy słucham płyty, czy oglądam film, to jestem trochę w temacie, a trochę w refleksjach. Większość moich piosenek jest krzywym odbiciem lektur muzycznych.

Przykład?
Większość piosenek z płyty Klausa Mitffocha ma swoje odpowiedniki na płytach The Beatles, co brzmi niewiarygodnie, ale jest faktem. Trochę inaczej miała się sprawa z tekstami. Znudziły mi się opasłe tomiska, których nie pamiętałem, choć rzetelnie się w nie wczytywałem. Zacząłem szukać twórców lapidarnych. Ktoś mi powiedział: „Skoro lubisz krótko, no to bierz się za Borgesa". I jak wpadłem w jego świat, to doznałem niesamowitości. U niego nie było tych imaginacji i odlotów charakterystycznych dla literatury iberoamerykańskiej, za to pojawiały się popisy erudycyjne, w dużym stopniu bazujące na kulturze uniwersalnej. On świetnie żonglował sensami. Np. rozbawił mnie zwrotem: „jeździectwo protestanckie", co było jego odpowiedzią na pytanie, z czym mu się kojarzy termin literatura zaangażowana.

Dobrze, a same oczekiwania rodziców?
Po skończonej podstawówce mówili, że powinienem iść do szkoły zawodowej. Rodzice pochodzili ze wsi, po wojnie z wielkim trudem budowali swoją rzeczywistość, startowali praktycznie od zera. Mama była *house wife*. A ojciec, co ciekawe, kiedy ja szedłem do szkoły podstawowej, w tym samym roku rozpoczął studia techniczne. Został inżynierem nowatorem. Miał furę patentów, m.in. komutator silnika elektrycznego, który pozwalał oszczędzać miedź. Japończycy chcieli ojca kupić, dla niego jednak nie wchodził w rachubę wyjazd z Polski. W finale został dyrektorem fabryki, w której zaczynał jako kreślarz. Tytan pracy. I człowiek kompletnie bez polotu humanistycznego.

W każdym razie rodzice chcieli, bym miał fach w ręku, najlepiej gdybym został mechanikiem samochodowym. A ja chciałem być kosmonautą lub piłkarzem. Albo poetą. Takim wysportowanym Sofoklesem.

Wysportowany Sofokles był dla nich problemem?
Kiedy rodzicom oznajmiłem, że chcę iść do liceum, to oni na to: „Powodzenia, ale od tego momentu nas twoje losy edukacyjne przestają interesować, skoro ↦

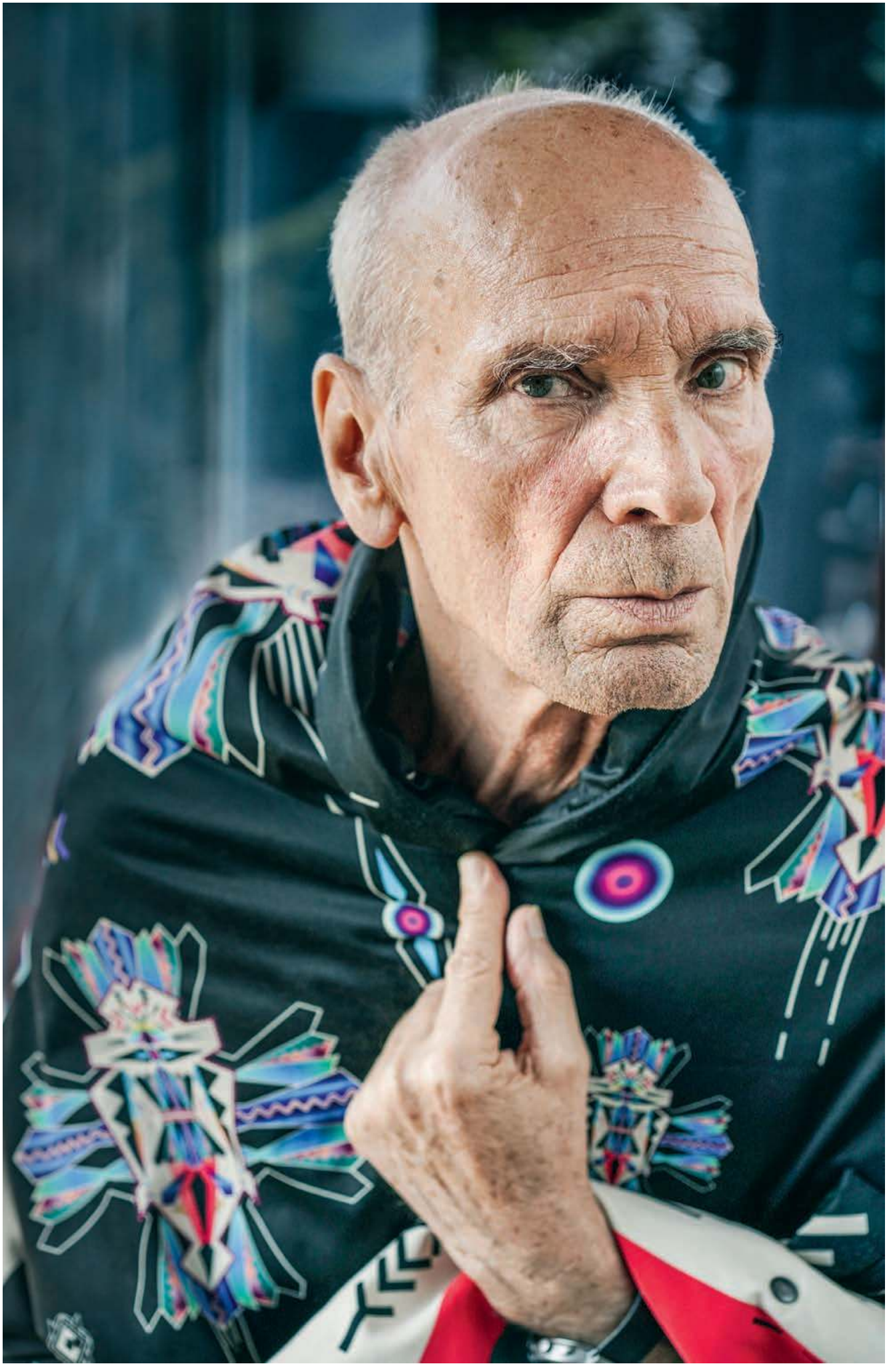

GRAŻYNA MAKARA

↦ naszą sugestię masz za nic. Ponoś konsekwencje swojego wyboru. Damy ci dach nad głową i nakarmimy cię. Ale nie licz, że będziemy chodzić na wywiadówki, interesować się itd. Radź sobie. Powodzenia. I tak pewnie do liceum nie zdasz".

Żadnego wsparcia?

Na egzaminie z polskiego napisałem krótkie opowiadanko w duchu Lema i Asimowa. I miałem niebywałe szczęście, bo trafiłem na świetnego polonistę. Wsłuchiwałem się, co gość opowiada. On nas popychał w różne strony – czytajcie nie tylko lektury szkolne, oglądajcie nie tylko filmy w telewizji, słuchajcie muzyki nie tylko w radiu. To było zgodne z moim kursem. Mówiłem mu: „Nie rozumiem". On na to: „To się napnij, wysil". Myślę: „Mój człowiek. Pojawiła się szansa na modyfikacje". Nie byłem i nie jestem swoim fanem.

Bo?

Nie osiągałem tego, co chciałem. Np. wstydziłem się próbować mówić w obcym języku, gdyż nie byłem w stanie komunikować się na nieżenującym poziomie. Grubo po trzydziestce poleciałem do Stanów, gdzie spotkałem ultra bogatego Niemca, który też słabo mówił po angielsku. Przy piwie wspólnie zaczęliśmy coś dukać. Okazało się, że znam nie wiadomo ile wyrazów angielskich. Gramatyką żaden z nas się nie przejmował. Wtedy zrozumiałem, że język nie służy tylko do budowania hierarchii, ale do łączenia ludzi. To trwałe przekonanie.

Baza?

Tylko do pewnego momentu rządził moim życiem czasownik „muszę". Nagle zaczęło robić się samo.

Pierwszym przebłyskiem takiej swobody były grafiki, które zacząłem tworzyć w liceum. Ni z gruchy, ni z pietruchy! Według pani plastyczki „miałem kreskę". Dotarło do mnie, że tymi właśnie kreskami można tworzyć światy. I wcale nie muszę czegoś odgapiać, wręcz przeciwnie: mogę kreować. Pani plastyczka doceniła ten zapał i w szkolnym korytarzu zorganizowała wystawę moich rysunków. Ale już na ASP nie dostałem się. Nie dopełniłem obowiązkowej „teczki". Mimo zaproszenia jednego z profesorów, by przechodzić jako wolny słuchacz, zakończyłem moje rojenia plastyczne. Wziąłem się za granie.

Czyli na gitarze?

Zacząłem brzdąkać w drugiej klasie. Szło ciężko, jestem słabo muzykalny. Niestety interwały słyszę piąte przez dziesiąte. Ale słysząc harmonię, zaraz mi się chce dorabiać melodię. Nauczyłem się pierwszych kilku akordów. Dużo brzdąkałem na bandżolce, wierząc, że może istnieje coś poza myśleniem: taka iskra intuicyjna, która się pojawi, kiedy będę ćwiczył ciągle i ciągle.

Kiedy się pojawiła?

No nie pojawiła się. Ale ciągle o nią walczę. Miliony powtórzeń. Frustrujące. Kiedy założyłem Klausa Mitffocha w 1979 roku, to sam się zwalniałem z zespołu co trzeci dzień, bo Klausowicze potrafili grać, a ja nie. Byłem muzycznym bęcwałem. Uważałem, że skoro fajnie mi się nutę śpiewa, to mogę ją ciągnąć w nieskończoność. A chłopaki z zespołu stopowali mnie: „Ej, słuchaj, jak sam to robisz, to wszystko jest perfekto. Ale kiedy mamy grać razem, to obowiązują rygory muzyczne: frazy, zdania, takty i tak dalej. Dobra?".

Nie wiedziałem, o czym oni mówią, ale wstydziłem się dopytać. Dlatego z koncertowaniem do dziś mam problem.

Po niemal 50 latach grania?!

Kiedy zaczynałem, myślałem, że za dwa, trzy lata pęknie bariera nieuctwa i będę czuł się jak przysłowiowa ryba w przysłowiowej wodzie. Występy są dla mnie stresujące. Zazdroszczę uprzywilejowanym muzykalności, dla nich koncerty to fajna zabawa.

Nie była?

Musiałem zbierać siły, by pilnować wszystkich rytmów i intonacji. Początkowo fałszowałem jak kot, wygrywałem bzdury. W końcu ktoś z zespołu rzucił: „Może byś pośpiewał na próbie?". Uznałem to za słaby pomysł. Zbroić się na ludzi? No słabe! Ale ten ktoś postawił przede mną mikrofon, wymógł próbę, a ja się zorientowałem, że potem łatwiej idą koncerty. Być może powinienem to zacząć robić kilkadziesiąt lat temu.

Na koncertach symuluję pewne zachowania, które powodują, że ludzie myślą: „O, muzyk". Nie śmiej się, mówię serio.

BART KUDOWICZ / FORUM

Czasami pojawia się refleksja, myślę: „Chłopie, gdybyś tyle czasu co graniu poświęcił polityce, to byś był prezydentem Stanów Zjednoczonych".

Tego by tylko brakowało.

Ale byłem kreatywny, miałem śmiałe pomysły. Lecz musiałem je redukować do rzeczy, które jestem w stanie wykonać. Na szczęście wszedłem w taką działkę, gdzie pewna doza prymitywizmu jest premiowana. Bo grać zaczynałem w czasie, kiedy akurat zrobiła się moda na muzykę punkową. Aczkolwiek punk muzycznie mnie nie interesował.

To czemu z tym się kojarzysz?

Podobała mi się emocja, którą punk niósł i która był nadrzędna. A jeżeli chodzi o muzyczną stronę, to jako fan Beatlesów uważam, że punk, w porównaniu z ich bogactwem pomysłów, był i prymitywny, i smętny. Więc muzycznie to nie robiło na mnie wrażenia.

Jednocześnie właśnie w latach 80. nikt nie oczekiwał od muzyka nie wiadomo jakiej finezji i cymesów. Ludzie chcieli słuchać, że ktoś stawia sprawy prosto i dra-

Koncert Lecha Janerki, na pierwszym planie (z wiolonczelą) Bożena Janerka. Wrocław, październik 2016 r.

stycznie. Nie wiem, czego chcę, ale wiem, jak to zrobić! Taki mieli przekaz i dobrze mi się to kojarzyło z chaosem, którym sam w tamtym czasie byłem. Nie stawiałem na porządek. No, może trochę...

Klaus Mitffoch stawiał. I teksty sprzed czterdziestu lat nie tracą na aktualności. Choćby „Ogniowe strzelby", „Strzeż się tych miejsc", „Ewolucja, rewolucja i ja".

A w telewizji do zerzygania puszczano: „Jezu, jak się cieszę", które stało się hitem. Zatrudniony wtedy byłem w urzędzie wojewódzkim, gdzie zajmowałem się fotografią przemysłową. Kiedy jechałem na koncert, musiałem brać urlop. A pewnego dnia pani z kadr mówi: „W telewizji podobny do pana facet śpiewa »Jezu«, straszny debil".

Z urzędu wojewódzkiego zwolniłem się przed nagraniem płyty Klausa Mitffocha. A po ukończeniu nagrań, żegnając się z realizatorem płyty, Włodkiem Kowalczykiem, upewniałem się, czy na pewno powinienem dalej grać. On: „Chłopie, oczywiście. Działaj". A ja już miałem rodzinę: Bożenę i dwie córki. Rachunki trzeba było płacić, dzieci jeść wołały... Happening pod tytułem Klaus M. w bólach zamieniał się w profesję, która nie przynosiła pieniądza.

Nie ma obowiązku grania.
Ja takiej presji nie czuję.
Czekam na impuls z kosmosu.

Ale przyniosła popularność. W Kabarecie Olgi Lipińskiej, który wówczas oglądali wszyscy, w jednym odcinków padła nazwa Klausa Mitffocha z komentarzem, że młodzi teraz tego słuchają. I się zaczęło.

Zrobić jedną dobrą płytę to żadna sztuka. Każdy to potrafi, kto poprzyglądał się światu i sobie, a cechuje go pewna doza oryginalności.

Nieprawda.

Może do końca nieprawda, ale fajnie to brzmi i w to wierzę. Natomiast na pewno wyzwaniem jest płyta kolejna, co najmniej równie dobra jak pierwsza, a miło, by była lepsza. Tu zaczyna się praca. Beatlesi nagrali pierwszą płytę świetną, drugą i trzecią jeszcze lepszą. Przeżyłem szok – a byłem już dojrzałym facetem – kiedy dowiedziałem się, że w jednym roku nagrali dwa fantastyczne albumy: „Sierżanta Pieprza" i „Magical Mystery Tour". Nie do wiary! Beatlesi w '63 wypuścili pierwszy singiel, a w '69 ostatnie nagranie. I co? Wystarczy?

Jednak mogliby dłużej pograć.

Rozpaczałem po rozpadzie Beatlesów, bo współtworzyli mój migotliwy i mozaikowy świat. Wtedy moja mama powiedziała: „Nie histeruj, wszystko ma swój koniec. Tylko Bóg nie ma początku ani końca".

Pomogło?

Pomagały ich piosenki, dopingując mnie do tego, by się przynajmniej kompozycyjnie rozwijać. Ogromne wrażenie robiły na mnie nieoczekiwane pomysły aranżacyjne i lekkość wykonania. Ich głosy kipiały wolnością, a tego mi brakowało.

Beatlesi nagrali trzynaście płyt. Klaus Mitffoch – jedną. Po czym został rozwiązany.

Zespół szlag trafił, bo nie wytrzymaliśmy presji pracy i popularności. Po nagraniu płyty chłopcy mówią: „To teraz robimy wakacje?". Ja: „Jakie wakacje?". Oni: „No, sukces był, płyta jest, trzeba odpocząć". Ja: „Od czego wy chcecie odpoczywać? Mamy rozgrzebany kolejny materiał, róbmy go. Jeśli na koncercie nie zagramy nowego numeru, to znaczy, że utrzymywanie tego zespołu jest poronionym pomysłem. Napierajmy!". Oni: „Nie, my tego nie zagramy". Ja: „10 minut macie, idę zapalić, przemyślcie". Wracam i słyszę: „Nie, nie zagramy". Ja: „No to do widzenia". No i zespół skończył się, choć tam grali świetni goście. A ja z rozpędu nagrałem solową „Historię podwodną".

Naprawdę z rozpędu?

Część piosenek graliśmy już z Klausem. ↦

↦ Kiedy przestaliśmy koncertować, skończyły się pieniądze. Brakowało na życie. Ktoś mówi: „Jak to nie masz kasy? Idź do Zaiksu, zgłoś się jako autor tekstów i kompozytor". W ten sposób dowiedziałem się o istnieniu ZAiKS-u. Tyle że w ZAiKS-ie trzeba było dać jakąś podkładkę. Teksty piosenek były gotowe, ale nie było zapisu melodii. Od teściowej, która uczyła w szkole muzycznej, pożyczyłem podręcznik, przestudiowałem i zapełniłem papier nutowy. O dziwo, przyjęli. Zadzwoniłem do ZAiKS-u, a pani pyta: „Przesłać?". Ja: „Nie, niech urośnie", bo akurat rząd coś majdrował z denominacją i byłem tym skołowany. Pani: „Jak pan chce". Po miesiącu zadzwoniłem jeszcze raz i okazało się, że jest tam mała fortuna. „Przesłać?" „Poproszę". „No myślę" – zaśmiała się pani z rozliczeń. Po jakimś czasie okazało się, że jest dość kasy na to, by dalej pracować i nagrać „Historię podwodną".

Z poruszającą antykołysanką: „Ta zabawa nie jest dla dziewczynek".

Na tej płycie namówiłem moją Bożenę, by grała na wiolonczeli, bo gitara mi się znudziła. Poza tym mogliśmy próby w domu robić. I tak pracujemy do teraz, Bożena jest obecna na każdej mojej płycie. Zaczęła się praca nad nowym materiałem, świadomość tego, że to już było, to już zrobiłem, tutaj nieciekawie, coś tam, trzeba ruszyć. W 1988 r. Bożena urwała ścięgno w palcu, rekonwalescencja miała trwać pół roku, o koncertach nie było mowy. Poleciałem więc do Nowego Jorku, do mieszkającego tam brata. Pomyślałem, że zarobię na wymarzony bas, kupię sampler i po powrocie do kraju dokończę płytę. Pierwsze dwa miesiące chodziłem po muzeach i byłem najbardziej opalonym zawodnikiem na Manhattanie, bo cały czas na słońcu i w East River. Potem pracowałem w Apple Studio przy Times Square, pomagałem w organizacji talk show Geraldo Riviera Show. Tam poznałem ludzi, którzy pytali: „Czym się zajmujesz w Polsce?". Ja na to, że jestem gwiazdą rocka. Oni: „Dawaj nagrania".

Czyli z pucybuta?

Spokojnie. Miałem kasety, posłuchali. Pokazali w jakiejś wytwórni, w której macherzy powiedzieli: „Słuchaj, Michaela Jacksona z ciebie nie zrobimy, ale taką muzykę możesz grać na kampusach uniwersyteckich". Pomyślałem, że może tak trzeba. Tylko z zespołem miałem kłopot. Gitarzysta, co prawda, przyleciał do Stanów, ale powiedział, że granie jednak ma w dupie, perkusista poszedł w dragi, Bożena miała niesprawną rękę. No i wróciłem do Polski. Z tym nowym samplerem, który bardzo długo uczyłem się obsługiwać, prawdę powiedziawszy on mnie prawie wykończył. Ale nagraliśmy kolejną płytę, „Ur". Za swoje pieniądze. Nie było ich dużo. By opłacić sesję, musiałem sprzedać telewizor. A potem zaczęły się okresy, że przestałem się śpieszyć.

GRAŻYNA MAKARA

LECH JANERKA (ur. 1953 we Wrocławiu) jest wokalistą, gitarzystą basowym, kompozytorem i autorem tekstów. W 1984 r. z zespołem Klaus Mitffoch wydał pierwszą płytę. Od roku 1986 nagrywa albumy solowe, m.in. „Historię podwodną", „Ur", „Bruhaha", „Fiu, fiu", „Plagiaty". W 2023 r. ukazał się „Gipsowy odlew falsyfikatu", uhonorowany pięcioma statuetkami Fryderyka. W 2015 r. otrzymał też Złotego Fryderyka za całokształt twórczości.

Dlaczego?

Miałem pieniądze, a nie miałem materiału. Lub materiał był zbyt lichy. Nie wolno takich rzeczy wydawać.

Są muzycy, którzy takie rzeczy wydają bez zmrużenia oka.

Jeżeli coś nie dorasta do mojego poziomu akceptacji, to nie ma sensu tego pokazywać. Miałem w repertuarze dwie piosenki, które zagrałem parę razy i dopiero na koncercie do mnie dochodziło, że to jest nic, że nie mam przekonania, by te utwory wykonywać. W rezultacie wypadały z repertuaru. Ale też pojawił się lekki uraz, bo zawsze się udawało. Jakiś czas nie grałem. Musiałem ponownie zebrać się w sobie i pilnować się, by to się nie powtórzyło.

Ale tak od razu nie grać?

Nie ma obowiązku grania. Ja takiej presji nie czuję. Muzyka jest bezpośrednią transmisją emocji. Kiedy człowiek jest młody, to cały jest jedną wielką emocją. Potem następuje jej sukcesywne wytracanie. Wiesz, mam 71 lat.

I co z emocjami?

Po koncercie dwa dni szczęścia, że jest dobrze przyjęty i nie pogubiłem frazy. Dalej następuje lekka zapaść, wychodzą napięcia i stresy, przecież taki występ to wydatek energetyczny. W końcu lekki marazm i otępianie się Netfliksem. Entropia nie śpi.

A samo pisanie piosenek?

Najpierw powstaje muzyka, to takie radosne pląsanie. Akumulatory ładuję, wisząc w przestrzeni i wsłuchując się w dziwne rzeczy. Musi być impuls z kosmosu. Bam... I jest. Trzeba dopisać do tego tekst. Z sensem, o czymś. Parę książek przeczytałem, więc nie powinien być od nich gorszy.

I tę 18-letnią pauzę między wydaniem „Plagiatów" a „Gipsowym

odlewem falsyfikatu" poświęciłeś na ładowanie akumulatorów, by móc pisać piosenki?

Muzyka do „Gipsowego odlewu falsyfikatu" powstała szybko, a teksty nie powstawały... Powiedziałem sobie: skoro zawsze się same robiły, no to pewnie się zrobią. I tak sobie wisiałem. Kiedyś wyszedłem przed dom, by zapalić, i od razu napisałem tekst do „Lewituj". Melancholia, spokój, konsekwencje przemijania. I jest też o nowym miejscu, w którym zamieszkaliśmy z Bożeną parę lat temu.

W tym nowym miejscu słychać pianie koguta.

A kogut ma kumpla dwa kilometry dalej. I kiedy przychodzi druga, trzecia w nocy, te dwa koguty próbują się porozumieć. Dość żałośnie to brzmi, jak dla mnie. Ale w ogóle to dominuje cisza.

To teraz kluczowe?

Zacząłem głuchnąć w starym mieszkaniu, które miało osiem pasów ulicy pod oknem.

Dom betonowy, wszystko wpadało w rezonans. Mózg reaguje w taki sposób, że funduje sobie filtr, odcina nachalne częstotliwości. Kiedyś na próbie coś kręcę w swoim wzmacniaczu, sądzę, że nie działa, nie mogę ustawiać barwy dźwięków. Mówię do gitarzysty: „Słuchaj, wzmacniacz mi się zepsuł, w ogóle nie reaguje na equalizację" A ten się śmieje: „Jak nie reaguje, skoro reaguje!". Załamałem się zupełnie. W rezultacie przeprowadziliśmy się pod Wrocław. I powoli odzyskałem tę część pasma słuchu, którego pozbawił mnie *highway*.

„Gipsowy odlew falsyfikatu" otrzymał w tym roku pięć „Fryderyków": w kategorii Album Roku Alternatywa, Kompozytor Roku, Autor Roku, Utwór Roku, Artysta Roku.

Przesadzili. Ale miło było. Nie paliłem się do wydania tej płyty, bo ją miksowałem i w pewnym momencie stało się tak, jak się dzieje, kiedy powtarzasz w kółko jedno słowo: zamienia się to w bełkot. Tak samo było z tą płytą: słuchałem jej i myślę, że nic to nie oznacza, bez treści, w ogóle dramat. „Falsyfikatu" by nie było, gdyby nie Bożena, która powiedziała: „Weź to oddaj, już jest dobrze". Bardziej z poczucia obowiązku dokończyłem płytę. Nie liczyliśmy na nic. A zaczął się szum i spłynęły nagrody. Więc zaskoczenie...

No wiesz, jak człowiek ma 71 lat, to nie liczy już na to, że nagle wszyscy będą przychodzić, cmokać cię w uszko i mówić: ale jesteś super.

Drugi raz mówisz, że masz 71 lat. To coś zmienia?

Być może nadchodzi powoli moment, żeby się opamiętać, dać spokój z tym ciągłym pastwieniem się nad sobą i chwilę pocieszyć się życiem.

Jak?

Kiedyś przez chwilę, trochę przed sześćdziesiątką, mieszkaliśmy w górach i wtedy nauczyłem się jeździć na nartach.

Wtedy? Imponujące.

Lubię narty. Może nie zjazdowe, ale gigantowe, czyli trochę dłuższe niż slalomowe. Nieźle da się poszaleć. Refleks już nie ten, więc jeszcze samochodem coś tam koło przepisu, ale na nartach migiem.

Czyli samochodem ostrożniej?

Kiedyś graliśmy koncert w Londynie. Tam Bożena zobaczyła mini coopera. Spodobał jej się bardzo: „Kup mi mini, kup miiii!". Sprawdziłem, czy futerały mieszczą się w bagażniku, okazało się, że wejdzie i wiolonczela, i gitara basowa. No i kupiłem zielonego coopera. Tyle że nie miałem prawa jazdy. Powiedziałem do Bożeny: „Jeśli nie zdam za pierwszym razem, to coopera postawimy pod blokiem i będziemy go sobie oglądać razem z sąsiadami".

Rzeczywiście zdałeś za pierwszym razem?

I to też przed sześćdziesiątką. Mieliśmy plany: będziemy odwiedzać nasze dzieciaki w Anglii. W ogóle podróżować po Europie. Tyle że czasu nie starczało. Być może w tej chwili ostatnim akordem w tej naszej symfonii rock'n'rolla będą peregrynacje. Autko małe, więc zmieszczą się: Bożena, ja i karta kredytowa. Odpalamy na pohybel tej entropii.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

TYGODNIK POWSZECHNY

KS. ADAM BONIECKI: „TESTAMENT"

„Bądźmy wdzięczni. Dziękujmy. Warto sobie uświadomić, że jest za co"– tymi słowami ks. Adam Boniecki rozpoczyna czytany przez siebie audiobook i samą książkę.

Kończy zaś... życzeniami: „Życzę też, byśmy nie byli ponurakami. Zmartwychwstanie jest obietnicą przyszłej nieśmiertelności, więc na wszystko możemy patrzeć w perspektywie wieczności! Alleluja!"

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WIARA

MATKA BOŻA Z KRWI I KOŚCI

Czy Maryja wymodelowana na zakonnicę może być siostrą, wzorem i modelem dla seksualnie aktywnych, świeckich kobiet?

ZUZANNA RADZIK

Vlastimil Hofmann, Madonna ze szpakiem, 1909 r.

Brzydka, gruba, stara i pomarszczona – czytałam w komentarzach o rzeźbie rodzącej Maryi z katedry w Lintz. Cały arsenał argumentów zawstydzania kobiecego ciała, *body shaming* w wydaniu maryjnym. Nie może wyglądać inaczej, niż sobie życzymy, wbrew kanonom maryjnej urody. Cielesność rzeźby była komentowana tak, jak komentuje się kobiece ciała na wybiegach, w mediach społecznościowych i na igrzyskach olimpijskich. Niczym na bazarze, każdy ma prawo ocenić, czy kobieta jest wystarczająco kobieca.

Projekcje

Maria z Nazaretu w sztuce i teologii jest jak ekran, na który projektujemy swoje wyobrażenia, wrażliwość, poglądy. A jej ciało? Czego się od niego oczekuje? Dla jej dobra oczywiście, bo przecież Boża Matka nie może źle wyglądać. Czasem jest ubrana, czasem widzimy karmiącą lub po prostu odsłoniętą pierś. Ma być niezwykle piękna. Tylko... skąd to założenie konieczności spełniania kanonów? I których? Aktualnych, barokowych, średniowiecznych?

A może Maryja była krępą, ciemną i pryszczatą nastolatką? Przecież nie na podstawie urody Bóg wybrał ją na matkę swojego Syna. Myśląc o święcie, które wspomina, że ona z duszą i ciałem została wzięta do nieba, chcę zająć się właśnie jej ciałem i tym, co o nim przez wieki mówiono.

Nagość Bożej Matki z Lintz sprowokowała do tej rozmowy bardziej niż zwykle. Czy ona mogła rodzić jak zwykła kobieta, dzieliła ludzką dolę również w sposobie rodzenia? A może jej poród był inny, cudowny, bez parcia, trudu i bólu? W tradycji teologicznej chrześcijaństwa znajdziemy Maryję zarówno wywyższoną, oddaloną od ludzkich doświadczeń, jak i ludzką, naszą. Projektujemy różne obrazy w zależności od czasów, wrażliwości i potrzeb wynikających z aktualnych lub przeszłych teologicznych sporów. Maryja ciągnie za sobą wór opowieści o sobie jako zwyczajnej lub niezwyczajnej kobiecie. Co te opowieści znaczą dla nas, innych kobiet, i naszych ciał?

Tunika niefarbowana

Miała pospolite imię: połowa kobiet w Judei i Galilei pierwszego wieku naszej ery nosiła imię Maria lub Salome. Przytaczają je trzej synoptycy; autor Ewangelii wg św. Jana nazywa ją tylko matką Jezusa. Bez imienia.

A ciało? Jakie mogła mieć ciało, żyjąc wtedy w Nazarecie? Na pewno nie ubrane w błękitną suknię. Raczej w bawełnianą tunikę i szal, niefarbowane drogimi kolorami, bo nie była dziewczyną zamożną. Joan E. Taylor, biblistka i znawczyni początków chrześcijaństwa z londyńskiego King's College, dociekając, jak wyglądał Jezus, wskazuje, że pewnie wyglądał przeciętnie, bo inaczej ktoś by zauważył i odnotował wyróżniający go wzrost lub urodę. Stwierdza też, że najbliższą etniczną paralelą byliby współcześni iraccy Żydzi.

Z ewangelicznych opisów nie dowiadujemy się o Marii przesadnie wiele. Tylko autorzy ewangelii wg Mateusza i Łukasza opowiadają o dzieciństwie Jezusa. Marek wręcz dystansuje Jezusa od rodziny, w tym matki. Mateusz podaje rodowód Jezusa prowadzący do zaślubio-

WŁASNOŚĆ: FUNDACJA IM. RACZYŃSKICH PRZY MUZEUM NARODOWYM W POZNANIU

nego Maryi Józefa. Na temat nietypowego poczęcia Jezusa anioł zwiastuje Józefowi, żeby nie oddalał potajemnie ciężarnej, bo „z Ducha Świętego jest to, co się w niej poczęło". Autor Ewangelii wg św. Łukasza opisuje zwiastowanie samej Maryi, potem jej spotkanie z ciężarną kuzynką Elżbietą, wyśpiewanie Magnificat.

Ta narracja zyskuje kobiecy wymiar, a postać Maryi staje się wyraźniejsza. Podejmuje decyzje, ocenia swoją sytuację. O ciele cisza, oprócz tego, że zaszło w tę dziwną ciążę. Można spytać: po co niepokojące wyjaśnienia niepokojącej ciąży? Z jakimi zarzutami dyskutują autorzy? Czy już wtedy, w drugiej połowie I wieku, mówiono, że Jezus był kimś poczętym w niejasnych i budzących moralne wątpliwości okolicznościach? I czy odpowiedź, że Maryja poczęła z Ducha, miała satysfakcjonować polemistów, czy uspokoić wyznawców? Dla dwóch ewangelistów opowieść o matce jest ważna, bo ona wciela Chrystusa, gwarantuje jego ludzką naturę. Nie zstąpił z nieba, tylko narodził się z kobiety.

Obsesja dziewictwa

Dziewicze poczęcie to najbardziej cielesna z dotyczących Maryi spraw omawianych ↦

↦ w Ewangelii. Drugą, pochodną, jest kwestia, czy dziewictwo to trwało wiecznie. Dla Nowego Testamentu dziewictwo Maryi nie jest po narodzinach szczególnie frapujące, a sam koncept jest potrzebny tylko po to, by wyjaśnić, że poczęła Jezusa niewinnie, bez zdrady czy grzechu.

W Ewangelii wg Mateusza znajdziemy wzmiankę, że Józef „nie zbliżał się do niej, aż porodziła syna" – którą można odczytać jako sugestię, że potem prowadzili normalne małżeńskie życie. Skąd zatem pomysł, że i po narodzeniu Jezusa jego matka zostaje dziewicą?

Zaczyna się wcześnie, bo w apokryfach. Protoewangelia Jakuba pochodzi z drugiej połowy II wieku, była popularna, szeroko kopiowana (zachowało się 150 manuskryptów) i tłumaczona na wiele języków ówczesnego chrześcijaństwa. To z niej znamy imiona rodziców Maryi, to ona wdrukowała w ikonografię obraz dziewczęcia mieszkającego w świątyni, wprowadziła do kalendarza liturgicznego święta ofiarowania Maryi w świątyni, wspomnienia Anny i Joachima oraz poczęcia Anny, które na Zachód przewędrowało w IX wieku już jako święto poczęcia Maryi.

Czy obsesja na punkcie dziewictwa, jaką prezentuje Protoewangelia Jakuba, to odpowiedź na plotki? Maria pochodzi tu z dobrej rodziny, jako dwulatka zostaje oddana na służbę do świątyni, jest strzeżona przed utratą dziewictwa w jej murach. Nawet jedzenie otrzymuje od anioła, co każe zastanawiać się, czy wydala w sposób ludzki. Poczęta zostaje niemal bez seksu, bo słyszymy tylko eufemizm o pocałunku Anny i Joachima. Bracia i siostry Jezusa są dziećmi Józefa z poprzedniego małżeństwa, Józef zaś jest przedstawiony bardziej jak opiekun niż mąż.

Na koniec: narodziny Jezusa nie przerywają błony dziewiczej Maryi (o czym zaświadcza położna), więc jej dziewictwo jest niezniszczalne.

Kobieca słabość

Temat niekończącego się dziewictwa podjęli ojcowie Kościoła. Orygenes w III wieku tłumaczy, że po Jezusie Maryja już nie miała dzieci. Hieronim w IV wieku argumentuje, że wspominani w ewangeliach bracia i siostry Jezusa to jego kuzyni. Późna apokryficzna Ewangelia Pseudo-Mateusza akcentuje jeszcze mocniej: Maryja żyje wśród świątynnych dziewic, niczym w regule św. Benedykta.

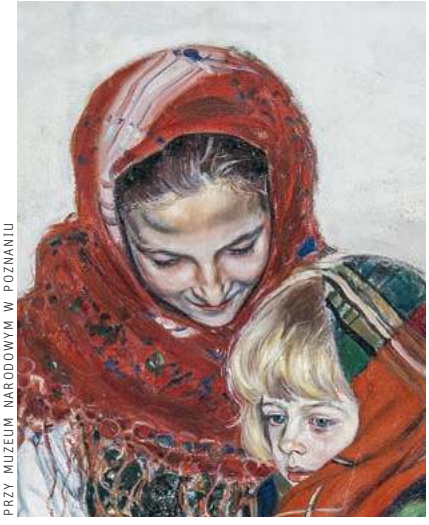

WŁASNOŚĆ: FUNDACJA IM. RACZYŃSKICH PRZY MUZEUM NARODOWYM W POZNANIU

Maria z Nazaretu jest jak ekran, na który projektujemy swoje wyobrażenia, wrażliwość, poglądy.

Nie jest tak, że nikt nie sprzeciwiał się hipotezie wiecznego dziewictwa. Zwolennikami normalnego porodu byli żyjący w IV wieku Helwidiusz i Jowinian, ale zwalczali ich słynni ojcowie Kościoła, jak Hieronim, Ambroży czy Augustyn. Grzegorz z Nyssy stworzył zaś teorię o ślubach dziewictwa złożonych przez Maryję, którą w rozbudowanej formie znajdziemy w średniowiecznych apokryfach. Teologowie coraz mocniej łączyli stosunek seksualny z grzechem pierworodnym i rosło w nich przekonanie, że Maryja tego uniknęła.

Jak zauważa Ronald Hock, dziewica jest postacią graniczną, „kulturowo niekompletną kobietą", jest niebezpieczna dla siebie i dla społeczeństwa, trzeba ją obserwować. Maria nie prezentuje jednak w apokryfach i teologicznych tekstach samostanowiącej, niezależnej od mężczyzn dziewicy, lecz raczej święty obiekt wymagający ochrony przez mężczyzn. W domyśle: ochrony przed mężczyznami, choć może i przed kobiecą rozwiązłością i słabością, o której ci sami autorzy lubią pisać. Jeśli kobieca słabość w ogóle jej dotyczy.

Bezbolesny poród

Ciąża Maryi i kończące ją narodziny Jezusa w betlejemskiej stajni są w Nowym Testamencie opisane skąpo. Ważniejszy jest komunikat, że rodzi się Mesjasz, zgodny z zapowiedziami Pisma, niż opis faktów związanych z doświadczeniami młodej matki. W kolejnych opowieściach te szczegóły okazują się coraz bardziej cudowne.

Protoewangelia Jakuba poród opisuje jako bezproblemowy. Po ciele Maryi nie widać, że rodziła. Salome, która twierdzi, że nie uwierzy, póki sama tego nie sprawdzi, bada genitalia Maryi, w wyniku czego jej ręka staje w płomieniach. To kara za wątpliwości. Jednak takie wątpliwości może mieć każdy, bo co to za poród bez śladu porodu?

To wtedy rodzi się tradycja, z której pochodzą głosy oburzenia rzeźbą z Lintz. W wywiadzie dla „Tygodnika" badacz Protoewangelii, dr Eric M. Vanden Eykel wyjaśniał, że to źródło ma skłonności doketystyczne. Doketyzm zakładał, że ciało Jezusa nie było prawdziwym ludzkim ciałem, tylko takim się wydawało. Dlatego ciało Maryi, rodząc takie nieludzkie ciało Jezusa, mogło pozostać nienaruszone. To by jednak znaczyło, że odmawiając Maryi prawdziwego porodu, wpadamy w nurt myślenia, który został już w starożytności potępiony, bo był nie do pogodzenia z wiarą, że Jezus był prawdziwym Bogiem i prawdziwym człowiekiem.

Niepokalana

To myślenie o bezbolesnym porodzie towarzyszy jednak chrześcijaństwu w kolejnych wiekach. „Ody Salomona" z końca I lub z II wieku wspominają, że urodziła bez bólu. Nośnikiem zmieniających się przekonań o narodzinach Jezusa i zmaganiu realizmu z cudownością jest chrześcijańska ikonografia. O ile ikonografia Wschodu i wczesnego zachodniego średniowiecza pokazuje Maryję jako położnicę leżącą koło dzieciątka, to już późnośredniowieczna sztuka odchodzi od takiego przedstawienia na rzecz Maryi adorującej dzieciątko. Jak wyjaśnia Magdalena Łanuszka w „Podkaście Tygodnika Powszechnego", adorująca dzieciątko na klęczkach Maryja nie ma być nierealistyczna – po prostu jej poród był nienaturalnie prosty. Miało to związek z krystalizowaniem się przekonania o niepokalanym poczęciu Maryi i z objawieniami św. Brygidy Szwedzkiej.

Jeśli chodzi o niepokalane poczęcie Maryi, to choć jako dogmat zostało

ogłoszone w 1854 r., obowiązywało dużo wcześniej, bo już w 1477 r. Sykstus IV zatwierdził święto Poczęcia i sam obchodził je uroczyście. Z kolei w 1546 r. Sobór Trydencki, tłumacząc naukę o grzechu pierworodnym, zaznaczył, że nie dotyczył on Matki Jezusa. To rosnące przekonanie o wyjęciu Maryi spod grzechu pierworodnego miało mieć skutki dla jej fizycznych doświadczeń, bowiem i w seksualności, i w bolesności porodu widziano konsekwencje czynu Ewy.

W mgnieniu oka

Wpływowa arystokratyczna mistyczka, św. Brygida Szwedzka, tylko uzupełnia to plastyczną wizją. Brygida relacjonuje, że widzi narodziny Jezusa w grocie betlejemskiej. Dziewica w stanie błogosławionym jest nadzwyczaj piękna, ma delikatną suknię i wspaniałe włosy jakby ze złota. Towarzyszący jej starzec Józef zostawia Maryję w grocie z wołem, osłem i zapaloną świecą, a gdy święta zagląda do środka, widzi Maryję na klęczkach, zwróconą na wschód.

Dalej Brygida opisuje narodziny tak: „Podniósłszy zatem ręce i oczy ku niebu, stała nieruchoma w ekstazie, napełniona Bożą słodyczą. Gdy tak trwała na modlitwie, wtedy zobaczyłam Dziecię poruszające się w Jej łonie; i nagle, w mgnieniu oka porodziła Syna, który jaśniał tak niewypowiedzianym blaskiem, że słońce byłoby niczym ze swoim światłem. (...) Tak nagle zaś i niespodziewanie odbył się poród, że nie byłam w stanie śledzić jego przebiegu. Tylko naraz zobaczyłam czcigodne Dziecię leżące na ziemi i jaśniejące niewypowiedzianym blaskiem. Jego urocze ciało było wolne od wszelkiej skazy". Porodziwszy, Dziewica uczciła dziecię, złożywszy ręce, skłoniwszy głowę i mówiąc: „Bądź uwielbiony, Boże mój, Panie mój i Synu mój!". Po czym, gdy zaczęło kwilić z zimna, wzięła je w ramiona i zaczęła ogrzewać pocałunkami oraz własnym ciałem.

Zatem nawet w wizji św. Brygidy ten kontemplacyjny moment nie trwał długo i szybko zmienił się w matczyne tulenie, na obrazach jednak zastygł w ikonograficznej pozie klęczącej przed dzieciątkiem matki, wśród orszaku innych odwiedzających.

Wniebowzięta

Wraz z narastaniem przekonania o niezwykłości Maryi, jej osobności wśród innych śmiertelników, pojawiały się pytania o koniec jej życia. Jej starością niewiele się zajmowano. Gdy ikonografia podejmuje motyw śmierci, zaśnięcia czy później wniebowzięcia, Maryja nie wygląda na sędziwą i niewiele traci z urody. Ale rosnące przekonanie o wyjęciu jej spod konsekwencji grzechu pierworodnego postawiło pytanie o to, czy jej ciało umarło tak jak ciała grzesznych śmiertelników. A za nim odpowiedź, że nie, że cała, z ciałem, została wzięta do nieba.

Ma być w tym obietnica wobec wszystkich ochrzczonych wierzących, że też czeka ich niebo. W ślad za przekonaniem idzie ikonografia, co widać w późnośredniowiecznych przedstawieniach wniebowzięcia, choćby takich, jak wczesny pod tym względem krakowski ołtarz mariacki.

Jej ciało jest inne, obowiązują je inne reguły niż nas.

Pozbawiona bioder

Złotym maryjnym wiekiem nazwano lata między 1830 a 1950, gdy pojawiły się dwa nowe dogmaty oraz szereg prywatnych objawień i nasilenie maryjnej pobożności. Już od V stulecia, gdy chrześcijański rok liturgiczny się zapełnia i oprócz dawnego cyklu niedziel i Paschy świętowane są kolejne momenty roku i historii zbawienia, wiele z tych świąt zostaje związanych z Maryją. Coraz jej więcej w chrześcijańskim kalendarzu, kulturze, ikonografii. Przejęła metafory ze Starego Testamentu wplecione w akatyst i litanie, a także atrybuty pogańskich bogiń, z wyjątkiem tych związanych z płodnością i seksualnością.

Z marginalnej postaci Nowego Testamentu Maria z Nazaretu staje się centralną figurą chrześcijaństwa. Niesie w sobie dużo kulturowych klisz: jako królowa nieba promuje dominację obcą dzisiejszemu demokratycznemu światu i niezupełnie zrozumiałą; jako pocieszycielka utrwala obraz groźnego Boga sędziego.

W XIX wieku staje się bliższa, gdy objawia się wiejskim dzieciom, a zwłaszcza dziewczynkom. Zgodnie z charakterystycznymi dla epoki lękami przed kobiecą seksualnością, sama wygląda w tych wizjach jak wieczna dziewczynka: smukła, blada, bez bioder. Cień kobiety.

Od wieków nie ma w niej nic z żydowskiej dziewczyny, którą była. Czy Maryja wymodelowana na zakonnicę może być siostrą, wzorem i modelem dla seksualnie aktywnych, świeckich kobiet? Z trudem traci niebiański i odlegle nieludzki charakter nawet po Soborze Watykańskim II, który starał się ją pokazać jako pierwszą uczennicę Pana, a nie – jak chcieli niektórzy – współodkupicielkę ludzkości.

Taka „niższa", bliższa ziemi i ludziom Maryja sprzyja dialogowi ekumenicznemu oraz pomaga kobietom – bo ich nie przerasta niedoścignionym ideałem dziewiczej matki, pozbawionej doświadczeń zwykłych kobiet.

Takie, a nie inne

Czy wyobrażone ciało Maryi wpływa na nasze ciała i miejsce w Kościele? Stonowana, posłuszna, cicha i aseksualna kobiecość Bożej Matki od dawna była jedyną dopuszczoną. Dawaną za przykład zakonnicom i świeckim, dyscyplinującą – więc przez wiele współczesnych kobiet odrzucaną. To jej służebność i matczyność, a nie bycie prorokinią i uczennicą, powraca echem, gdy za teologiem von Balthasarem papież Franciszek mówi o maryjnym (służba) i piotrowym (władza) wymiarze Kościoła. Często tak brzmi odpowiedź na postulaty, by kobiety mogły pełnić istotniejsze role i posługi w Kościele. Opowiadanie Maryi jako samostanowiącej, może i dziewiczej, ale przez to niezależnej od mężczyzn, a nie chronionej jak przedmiot kultu; opowiadanie jej ludzkiej i kobiecej – pokazuje nam nowe przestrzenie tego, co możemy.

Kobiety chcą Maryi z krwi i kości, a nie niebiańskiej istoty – bo próbują wyrwać sobie godność w Kościele tym, kim są i jakie są. Ze swoimi nieidealnymi ciałami, seksualnością, płodnością i jej bólami, wyzwaniami i żałobami, nieidealnym macierzyństwem, ułomnością, słabością, niekompletnością, zmarszczkami, nadmiarem kilogramów i wreszcie starością i śmiercią. Bez zawstydzania, że jesteśmy właśnie takie.

Jeśli ona stała się drogą wcielenia Boga, to trudno ją przyjąć tak odległą od tego wszystkiego, co oznacza cielesność. Może przyszedł moment, by do wora z obrazami i znaczeniami Maryja dołożyła prawdziwą cielesność, opowiadaną ustami kobiet, a nie mężczyzn. I taką cielesność niech zabierze – we wniebowzięciu – aż do nieba. © ZUZANNA RADZIK

Czy ci wstyd już

ESTERA BAKSIK-MAJNUSZ

Są takie pieśni, które oblewają Maryję różowym lukrem, seksualizują, a z Boga robią surowego brutala, przed którym Matka ma obronić.

W myśl starożytnej maksymy lex orandi – *lex credendi* (prawo modlitwy prawem wiary) refleksja teologiczna wyraża się, a zarazem jest normowana, przez treść modlitwy. Dodając do tego słynne zdanie św. Augustyna, „kto dobrze śpiewa, dwa razy się modli", możemy się zastanowić, czy na pewno śpiewamy o Maryi dobrze.

Dzwoneczku nasz

I nie o nuty tutaj chodzi, ale o problem zbytniego zaufania do wyobrażeń o Matce Bożej. Jeśli śpiewamy, że chcemy być dzwonkiem Maryi (w pieśni „Brzmi cichej godziny") lub pieśń adresujemy właśnie do dzwoneczka („Dzwoneczku nasz miły") – to znaczy, że postulaty Pawła VI z adhortacji „*Marialis cultus*" z 1974 r. nadal nie doczekały się wcielenia w życie Kościoła.

Papież w dokumencie poświęconym należytemu kształtowaniu i rozwijaniu kultu Najświętszej Maryi Panny zwracał uwagę, że „trudno jest włączyć obraz Dziewicy – jaki wyłania się z pewnego typu pobożnej literatury – w dzisiejsze warunki życia, a w szczególności w warunki życia kobiety (...). Następstwem tego u niektórych jest pewna niechęć do kultu oddawanego Dziewicy oraz trudność w wyborze Maryi Nazaretańskiej jako wzoru, ponieważ granice Jej życia – jak powiadają – wydają się ciaśniejsze w porównaniu z rozległymi terenami działalności dzisiejszego człowieka".

Chłosta od Boga

Pół wieku później nadal proponujemy wzorzec Maryi cichej i pięknej („jak wiosna"), z tkliwymi oczami, wdzięcznej i porównywanej do kwiatków, słodko nas tulącej, bo ma słodkie oblicze („Łask Pośredniczko"). W dodatku sama od nas wymaga tej słodkości (w pieśni „O Maryjo, świata Pani" śpiewamy: „Już na samo Twe skinienie, słodko nucić Tobie pienie"). Oczywiście mamy również rozliczne pieśni, w których Maryja jest naszą opiekunką, ratuje nas, ale bywa, że wybawia nas przed... samym Bogiem! W popularnej pieśni „Serdeczna Matko" surowy i rozgniewany Bóg Ojciec przeciwstawiony jest łagodnej, opiekuńczej Maryi, która jest jedyną ucieczką człowieka. To z powodu jej boleści Bóg może odpuścić nam grzechy.

Widać tutaj pewien „porządek pomieszania": łagodność, roztaczanie opieki, otwartość serca, które są przymiotami Boga, ze względu na to, że stereotypowo są cechami kobiecymi, zostały przeniesione na Maryję. Teologia feministyczna upatruje w tego typu przykładach dowodów na to, że „mariologia przechowała – poprzez dzieje Kościoła i teologii – kobieco-macierzyńskie cechy Boga. Niejako uratowała je dla wiary" (Józef Majewski).

Bierna, cicha, pokorna

W pieśni „Matko, Królowo, wspierać chciej w niedoli" Maryi przypisana jest z kolei moc kruszenia swą potęgą piekła. Jednak w niewielu pieśniach Maryja ma być wzorem siły lub mocy; jest raczej pocieszeniem, otarciem łez. Z pieśni tych nie wynika, że życie duchowe może dawać wsparcie w codziennych zmaganiach; wspie-

Figura Matki Bożej z Covadong

MONKPRESS / EAST NEWS

rają raczej postawę bierności: „Czartowskie sidła chciej sama zgromić, a mnie grzesznego od nich obronić” („Najświętsza Panno, o Matko Boża”), „Matko pociesz, bo płaczemy”, „Cóż dziwnego, że łzy płyną, gdy to życie łez doliną” („Nie opuszczaj nas”).

Taka postawa nie odpowiada ani postaci Maryi z Nazaretu, ani zwiększającej się aktywności kobiet w świecie, na którą zwracał uwagę Paweł VI. Przez to wspomniane pieśni powielają stereotyp o nadrzędnej roli mężczyzny; o tym, że kobieta w życiu rodzinnym i społecznym może być tą bierną, cichą i pokorną. Jak pisze w książce „Feminizm – antyfeminizm. Kobieta w Kościele” Joanna Petry-Mroczkowska, „od rozpowszechnienia stereotypu Maryi zaczyna się głoszenie nieprawdy o kobiecie”.

Pokaż piersi

Z problemem stereotypowego podejścia do kobiet wiąże się też wychwalanie wyglądu Maryi. O ile używając wyrażeń „piękna Pani”, „piękna jako róża”, możemy jeszcze myśleć o pięknie wewnętrznym, to w pieśni „O Matko miłościwa” usłyszymy „Panno urodziwa”, a w „O Najświętsza Matko Boża” – „Ślicznaś, piękna i nadobna”.

Branża *beauty* lansuje ideał kobiety pięknej i młodej. Pieśni maryjne nie powinny być miejscem, w którym powiela się pułapkę kultu ciała, a słowa „Pokażże mi swoje piersi, których On [Jezus] pożywał” („Witaj, witaj, a zawitaj Panienko Piekarska”) mogą nasuwać myśli o instrumentalnym traktowaniu cielesności Matki Bożej.

Takie utwory są dalekie od biblijnego obrazu Matki Bożej, oficjalnego nauczania Kościoła i osiągnięć współczesnej teologii. Wypaczają wizerunek Maryi i oddalają od niej. Wyidealizowana, przesłodzona Matka Boża, zestawiona z wdzięcznymi strumykami i ptaszętami słodko kwilącymi, nie jest poważną kandydatką na wzorzec osobowy XXI wieku.

Parafrazując zaskakujące pytanie stawiane jej w pieśni na Wniebowzięcie („Czy Cię wstyd już Twej ubogiej chatki?”), zapytajmy, czy nam nie wstyd już za teologiczne niedostatki. ©

Spotkanie ze sobą

MARCIN WÓJCIK

Siedzę w lesie, głodny, w kręgu z patyków o promieniu kilku metrów, którego nie opuszczę przez cztery doby. Nie mam książek, telefonu, zegarka. Mam swoje myśli, lęki, wspomnienia i nadzieje.

Wyjaśnili, jak szczekają jelenie, gdy się wystraszą, po czym poznać puszczyka i jak umocować nad hamakiem tarp, żeby nie gromadził wody. No i jeszcze kilka wskazówek o tym, żeby do kręgu z patyków zaprosić lęk, gniew i wszystko to, co wypluje umysł, kiedy tak sobie siedzisz w lesie, gdzieś pod Szczawnicą, pośrodku lipcowej nocy, pośród tańczących świetlików i własnych snów. Dali wskazówki, jak pracować z umysłem, jak to przeżyć w zdrowiu. A potem poszli, zostawiając alarmowy gwizdek na wypadek nagły. „Dlaczego strzeliło mi to do głowy, skąd ten pomysł, po co?”. Pytam i naprawdę nie pamiętam.

„Jeśli masz odwagę spotkać się ze sobą w ciszy, całe twoje życie wynika z tego spotkania. Jeśli nie masz na to odwagi, całe życie wynika z ucieczki”. Tak mi powiedział pewien mądry człowiek kilka lat przed pomysłem wyjazdu na Vision Quest, czyli rytualny post i odosobnienie w lesie. Odkąd mi tak powiedział, zwiększyła mi się świadomość bezkresu czasu, który inwestuję codziennie w ucieczkę, ale nawyk pozostał. Po drodze poznałem medytację, nauczycieli, czytałem książki.

Kolorowe ptaki

W dzień moich czterdziestych urodzin na Polanie Wobra w Lesie Wolskim padał deszcz. Mieszko i Karolina przyszli pachnący ogniskiem i lasem, w prezencie dali mi Vision Quest. Dwa lata później skorzystałem z zaproszenia i tak trafiłem pod drzewo w lesie – sam, bez telefonu, notatnika, książki, jedzenia.

Po kilkudniowych przygotowaniach w domu (lekkie jedzenie, refleksja nad intencjami, więcej medytacji), ośmioro z nas zebrało się w niedzielne popołudnie na parkingu za Szczawnicą. Dzień był upalny, a ludzie wydali mi się dziwni. Kolorowe ptaki. Na pierwszy rzut oka poturbowani i obolali. Nasz przewodnik Mieszko pachniał dymem z ogniska, na głowie miał turban. Szliśmy gęsiego przez wyschnięty las ku górze, na której czekało indiańskie tipi – skrzyżowane u sklepienia bale drewna szczelnie owinięte impregnowaną grubą bawełną, w kształcie koła.

W skosach pomiędzy ziemią a materiałem u krawędzi namiotu leżały szamańskie grzechotki, bębny, zioła. Na ziemi dywany i wygodne maty. W centrum tipi – Karolina Stanisławska, o wschodnio skośnych oczach, wystających kościach policzkowych, szczupła i opalona na złoto. Podała zupę z gara ustawionego nad ogniem na żelaznych prętach.

Zasiedliśmy w kręgu. Opowiadają, jak wytrzymać ze sobą w lesie. Wszystko mnie drażni – ludzie, ten hipisowski klimat, zapachy, las... kiedy w końcu będę sam?

Bez small talku

Co może mnie spotkać, jakie zwierzęta tutaj żyją, co ze sobą począć, gdy w lesie najdzie mnie strach... Instrukcje, instrukcje, a potem ludzie po kolei opowiadają o tym, z jakimi intencjami tutaj przyjechali. Każdy ze swoją troską. Mężczyzna w średnim wieku mówi o lęku przed odpowiedzialnością za rodzinę. Czerwonowłosa szczupła kobieta o samotności. Inna uważa, że jest dębem i przyjechała szukać swojej melodii. 21-letni student medycyny zachowuje się jak fan Jima Morrisona podążający za idolem na swoją pustynię.

No i ja – sceptyczny dziennikarz w średnim wieku, uczulony na hipisów, słowiańskie pieśni i długowłose ↦

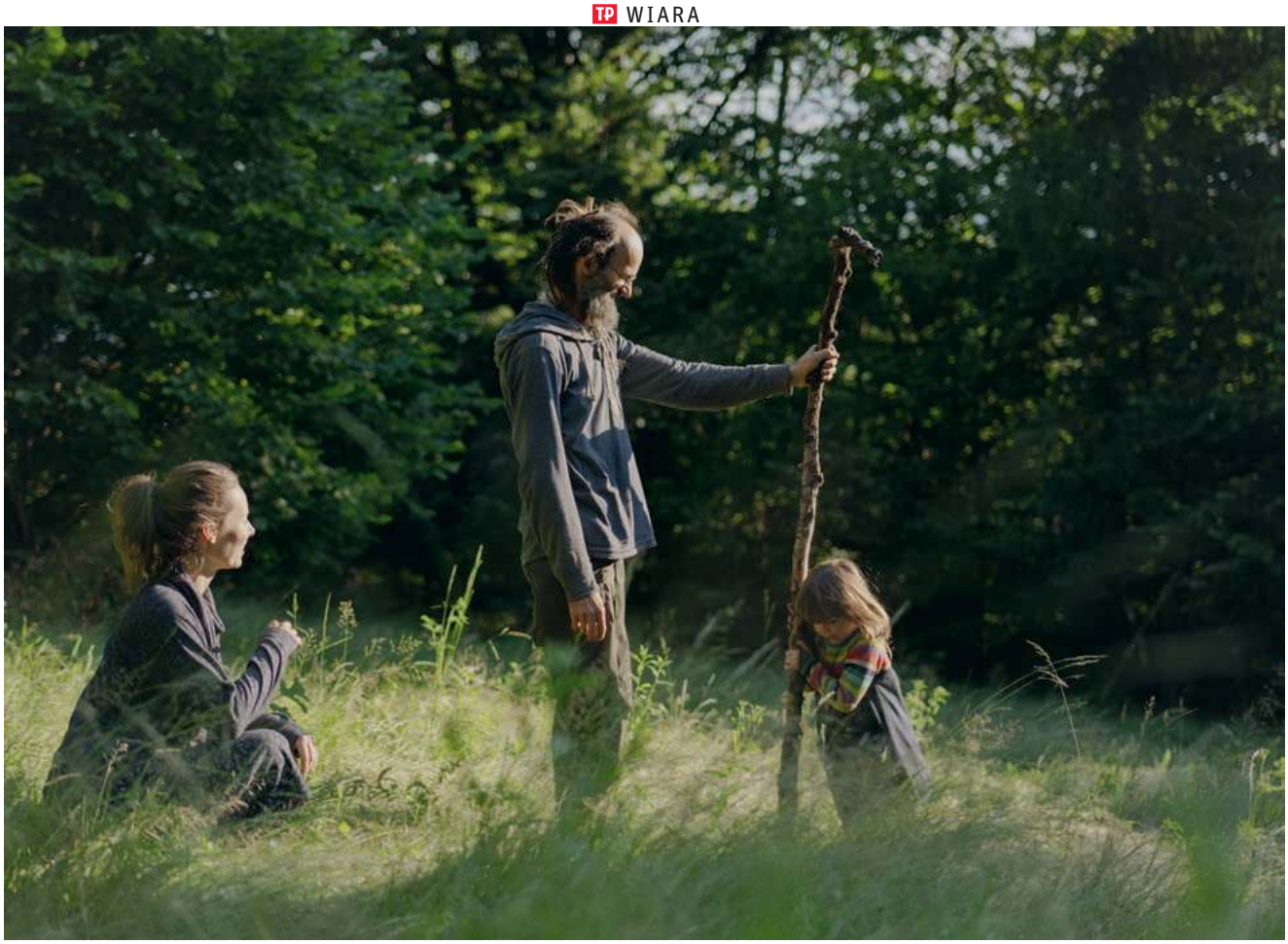

TORI FERENC

Karolina i Mieszko Stanisławscy z córką Roską. Beskid Sądecki, lipiec 2024 r.

naturalistki. Chcę słuchać i nie oceniać, myślę, że każdy ma swoje, nic mi do tego. Trudno mi jednak nie oceniać. Oto miejskie wykształciuchy z tzw. klasy średniej płacą za doświadczenie siedzenia w lesie pod Szczawnicą innym wykształciuchom z klasy średniej, którzy spędzili kilka miesięcy w Amazonii z szamanami i jeszcze kilka w Indiach, praktykując buddyzm. Chociaż znam Mieszka i Karolinę od dawna i wierzę w ich moralną solidność, filozoficzne zacięcie i ekologizm, trudno mi w duchu nie śmiać się z tych grzechotek, bębnów i czegoś, co wygląda mi na zabawę w Indian.

– Po co te grzechotki, ognie, rozmowy w kole? – pytam.

– Tego typu zabiegi, używanie pieśni, muzyki, bębnów, grzechotek są dla ludzi bardziej z obszaru „nieznane" niż „znane". Niecodzienne. To sprawia, że mogą dotrzeć do niezbadanych obszarów swojej psychiki w łatwiejszy sposób. No i też, jeżeli stwarzamy bardziej rytualną przestrzeń, nie ma miejsca na *small talk*, rozmowy o niczym – odpowiada Karolina.

To nie fabryka desek

Stanisławscy zasłynęli kilka lat temu akcją „Wolny Las", w ramach której zebrali ponad 100 tysięcy złotych od dobrowolnych darczyńców na zakup ziemi porośniętej lasem, któremu mieli pozwolić rosnąć po swojemu, bez ingerencji człowieka. To był ich niemy protest przeciwko wycinkom i rujnowaniu drzewostanu, „żeby ludzie widzieli przyrodę jako coś ważnego, a nie fabrykę desek", jak ujęła to Karolina.

Oboje są skupieni, raczej cisi. On – wysoki, chudy, z wykształcenia filozof, z natury romantyk. Ona – instruktorka jogi, tancerka, ma odważne spojrzenie, mówi jasno i stanowczo, wie, czego chce. Chodzą po lesie boso, a między nogami biega Roska – ich malutka córeczka, którą wychowują po swojemu. Często słyszą pytania o przedszkole, szkołę, komunię... pytania od nas, żyjących w trybikach społeczeństwa. A oni żyją sobie w lesie, w tipi. Mieszko organizuje wyprawy z ludźmi w głąb puszczy, a razem prowadzą Vision Questy. Jak mówią: – Las może być dla nas przestrzenią, gdzie możemy się wyciszyć, zrelaksować, a z takich pragmatycznych rzeczy, znaleźć wytchnienie, świeże powietrze.

Pomysł Vision Quest, czyli wypraw w poszukiwaniu wizji, pochodzi od północnoamerykańskich Indian, którzy przeżywali kilka dni o głodzie w odosobnieniu jako element rytuału przejścia z dzieciństwa w dorosłość. Odbywali go ponoć chłopcy przed swoim pierwszym polowaniem. Lub szamani poszukujący klarownych odpowiedzi.

Stanisławscy przystosowali Vision Quest do warunków współczesnej Polski. Prowadzą odosobnienia jako jedną z działalności Fundacji Bycie w Lesie, promującej szacunek do przyrody i jej dobroczynny wpływ na ludzi.

– Człowiek potrzebuje kontaktu z przyrodą, a las to miejsce, gdzie od pokoleń ludzie chodzą, żeby przeżywać wzruszenia, tęsknić, kochać, płakać, podziwiać, zachwycać się – mówi Mieszko.

Trybiki pracują

Gdy rytuały wstępne dobiegają końca, idziemy wybrać swoje miejsce w lesie. Oznaczyć je kręgiem patyków. Tam spę-

TORI FERENC

Pomysł Vision Quest, czyli wypraw w poszukiwaniu wizji, pochodzi od północnoamerykańskich Indian. Beskid Sądecki, lipiec 2024 r.

dzimy cztery doby. Mój punkt położony jest na stoku dolinki, którą płynie nieśmiały strumyczek. Buki, jodły, paprocie. Cudowny zapach runa pod bosymi stopami. Zielonkawe miękkie światło. Hamak.

Pierwszy dzień przesypiam niemal cały w kokonie huśtawki rozpostartej pomiędzy drzewami. W głowie troski, myśli, niepokoje. Czy bombardują u teściowej z Ukrainy, czy „Tygodnik" zechce mój tekst, czy zapłaciłem ZUS, co jeszcze do naprawienia, czy wystarczy mi pieniędzy... Bujam się w hamaku, a trybiki pracują. Doba mija jak krew z nosa, ratuje mnie przerywany sen.

Wieczorem budzą się świetliki, jak chińskie lampiony rozbujane chaosem powiewów. Poza myślami – spokój. Zawsze wydawało mi się, że las nocą jest jak cmentarz po zmierzchu, straszy i patrzy sowimi oczami. Jaś i Małgosia nie przez przypadek zgubili się w puszczy właśnie nocą. A tutaj panuje spokój. Czasami przeleci ptak, ugryzie komar, wysoko przepłynie samolot. Poza tym długie i przewlekłe sam na sam z myślami.

Dużo czasu

Na drugi dzień wspomnienia. Pierwszy raz sam w lesie, mam siedemnaście lat i chcę być jak Hemingway. Siedzę w bacówce pod Halą Łabowską. „Pożegnanie z bronią", butelka wódki. I potężny niepokój, nieprzystosowanie, emocji targanie. Każdy dźwięk jak wystrzał. Każdy nowy zapach jak przestroga. Miał być weekend, wytrzymuję jedną noc. Pijany i zły.

Teraz znowu jestem w lesie. Sam. Minęło tyle lat. Kariera, podróże, poszukiwania. Chyba jednak kilka pożytecznych przemyśleń, bo teraz nie ma tu ze mną lęku. Spokojnym łukiem nade mną przelatuje sowa. Wieczorem w krzakach szczeka przerażony moim zapachem jeleń. Czasami nachodzi mnie myśl o jedzeniu, ale odganiam ją jak komary.

„Te dni się dłużą i wydaje się, że jeden dzień trwa wieczność, a to są cztery doby, więc jest bardzo dużo czasu, bo nie ma żadnych rozpraszaczy. Niczym innym się nie da zająć niż sobą. Jesteś tylko ze sobą i z tym, co masz w sobie. Więc tak, jest to dużo czasu". Tak mówił Mieszko. I faktycznie to jest dużo czasu.

Świat beze mnie

Trzeciego dnia przychodzi lęk. Skurcze mięśni i niepokój. Siedzę i oddycham w zaciśnięte serce. Spotkanie ze sobą w ciszy. Wspomnienia matki, babki, Kazimierza nad Wisłą, gdy dorastałem. A potem suche kalkulacje finansowe, pomysły. Chciałbym zapisać. Nie mam na czym. To dziwne odczucie – niepokój w obrębie spokoju. Poza tym nic. I w końcu popołudnie. Przychodzi burza. Siedzę w hamaku i patrzę na deszcz, słucham, jak spada na liście, czuję jego świeży zapach. I to mnie koi.

Znowu noc. Przypominam sobie słowa Karo: „Można to odnieść do podróży bohatera, który wyrusza gdzieś i spotyka smoki i inne trudności. Z tym że Vision Quest nie odbywa się w przestrzeni zewnętrznej, tylko wewnętrznej przestrzeni naszego umysłu".

Ciągle łapię się na tym, że śledzę ruch słońca, żeby wybadać, ile jeszcze, który to dzień, kiedy po mnie przyjdą. Tylko dlaczego? Jest mi przecież dobrze. Cicho. Pięknie. Dokąd miałbym iść? Po co? Czy świat beze mnie sobie radzi? Czy ja radzę ↦

MIESZKO STANISŁAWSKI / BYCIE W LESIE

Marcin Wójcik podczas Vision Quest, któremu towarzyszy rytualny post i odosobnienie w lesie.

↦ sobie bez świata? Dokąd pcha mnie nawyk? Kto pyta?

Zielono mi

Czwartek. Nie liczę już czasu. Patrzę, jak światło zmienia się na liściach. Czasami medytuję. Jestem słaby z głodu. Kręci mi się w głowie, gdy za szybko wstanę. Wilgotny po burzy las zionie zgniłymi liśćmi i mokrą korą. Nie wiedziałem, że są takie zapachy, że widok paproci może wzruszyć, że komar nie musi drażnić, że czas płynie w swoim własnym czasie. Sądziłem, że to doświadczenie będzie trudne. Że sny, lęki, że las straszny, że przemijanie nieznośne, dziki przyjdą i wilcy. A tu nic. Zielono mi.

Co ja powiem? Jaka tam „podróż wojownika"? Ot, kilka dni w lesie. A jednak. Kilka dni w lesie.

W piątkowe południe przychodzą Mieszko i Karo. Mają serdeczne i roześmiane oczy. Spokojni, jak kochający rodzice. Prowadzą do tipi. Tam pierwsza zupa. Kilka warzyw bez przypraw i soli wrzuconych na wrzątek. Żołądek musi się przyzwyczajać do jedzenia. I wszystko smakuje, jak zapach nowej krainy, jak obraz nowej ziemi, ląd nieznany. Taniec Heleny. Jak pierwszy raz.

Potem zasiadamy w kręgu. Znowu bębny, zioła, hipisi naszej ery. Czerwonowłosa i pan w średnim wieku spokojni, piękniejsi jacyś, mówią niewiele. Jim Morrison nie wytrzymał i wyjechał przed czasem. Wszyscy wzruszeni mówią o swoich doświadczeniach, przesiąknięci zapachem dymu z ogniska, brudni i szczęśliwi. Przestali mnie drażnić. Siedzę wśród ludzi, którzy spędzili odważnie cztery dobry w lesie sami ze sobą, swoimi lękami i nadziejami. I, być może, wszystko po tym spotkaniu wyniknie poniekąd z niego?

Za ścianą

Tam w świecie na dole wszelkie przejawy buntu wchłonęły już marki odzieżowe. Punki ubierają się dzisiaj w HM-ie. A tutaj na górze siedzą pachnący lasem i dymem Stanisławscy, którzy drugą połowę roku spędzą gdzieś w Turcji albo na hiszpańskiej wysepce, z dala od naszego świata. Nonkonformiści i wykształciuchy, którzy odważyli się żyć w ciszy.

– Czy to z waszej perspektywy jest jakiś akt odwagi? Takie wycofanie ze społeczeństwa? – pytam.

Karolina: – Na ten moment dla mnie aktem odwagi jest spędzenie długiego czasu w mieście, bo widzę, co nam to robi. Przez jakiś czas jestem w stanie utrzymać tę harmonię i balans, którą zbudowałam w lesie, ale jak się już rzucam w wir miejskich zdarzeń, to one się dzień za dniem coraz bardziej zacierają, stają mniej wyraźne i widzę, jak fizycznie i mentalnie zaczynam chorować.

– Czy społeczeństwo jest chore?

– Na pewno to, że jesteśmy tak daleko od natury i traktujemy ją tak przedmiotowo, jest przejawem jakiegoś rodzaju choroby. Bo z tego powstaliśmy, z tego jesteśmy, z tego wyrośliśmy i w pewnym sensie jesteśmy tym, a uważamy się za coś innego.

Siedzimy wokół ognia. Powoli zbliża się noc. Ostatnia noc w lesie. Opowiadam o spokoju i zieleni, ciszy i pogodzeniu. I coś mi tu nie gra, że tak łatwo i miło. Jakże chciałbym się tym podzielić z bliskimi, podarować to doświadczenie przyjaciołom. Znowu krąg, kobiety mówią o menstruacji, mężczyźni o odpowiedzialności, niemal każde z nas – o potrzebie autentyczności, ja – o moim gniewie. Dawno już nie mówiłem z nikim o tym, co mną miota. A już nigdy z obcymi. Płyną łzy. Za jaką ścianą ja mieszkam? Za jakim murem?

Pomieścić zgiełk

Pakujemy obóz, plecaki pełne niepotrzebnych książek, notatników, zegarków, telefonów, które w końcu trzeba będzie włączyć. Schodzimy grupą na parking. Rozżarzone żelastwo samochodów. Pożegnania z czerwonowłosą, panem w średnim wieku i panią, która czuła się dębem. Serdecznie i miło.

Ruszamy. Jadę samochodem i po raz pierwszy nie łamię przepisów, nie włączam radia, nie wyprzedzam, nie słucham wiadomości. Nie komentuję wydarzeń na drodze ani zachowania innych kierowców. Czuję dotyk kierownicy. Patrzę na zmieniające się światło. A w domu niespodzianka. Teściowa z Ukrainy przyjechała o kilka dni wcześniej, niż zapowiadała. Przyjechała pociągiem ze wschodu. Przestraszona, napięta, zacięta. I cała ta wyprawa zaczyna mieć nowy sens. Być może przywiozłem tę ciszę właśnie po to, żeby pomieścić jej zgiełk? Boję się włączać wiadomości, ale po tych kilku dniach informacje wyczytuję w twarzach napotkanych ludzi. Nie są to dobre wiadomości. Korki, zgiełk, kryzys, zamach na Trumpa. Ktoś tam z kimś wygrał czy przegrał w piłkę.

Wyobraź sobie tylko: siedzisz o głodzie w kręgu z patyków o promieniu czterech, pięciu metrów, którego nie opuścisz przez cztery doby. Bez książek, telefonu, zegarka. Ziemia pachnie deszczem, bukowo-jodłowy las dostarcza cienia oraz miękko-zielonkawego światła, które zmienia się bezustannie, jak nastrój.

© MARCIN WÓJCIK

ZUZANNA

Radzik:
Jak zostałam lobbystką

„Nie należy być częścią grupy lobbystycznej" – odparł kard. Jean-Claude Hollerich, dopytywany przez Crux Now o sprawy kobiet na nadchodzącym synodzie. To było zaskoczenie, bo arcybiskup Luksemburga i sekretarz trwającego synodu jest znany raczej z życzliwości wobec spraw kobiet w Kościele. Ciągnął: „Lobbing nie jest częścią kultury Kościoła, nie powinien być. Mamy inne narzędzia, takie jak modlitwa, dyskusja i słuchanie siebie nawzajem itp.". Rozumiem, że metropolita niewielkiego państwa, które jest jednym z centrów finansowych świata i siedzibą europejskich instytucji oraz samo słynie z nieprzejrzystości udziału partnerów społecznych w procesie legislacyjnym, może być lobbingiem nieco sfrustrowany. Zresztą słowa „lobbysta" i „lobbing" nabrały negatywnej konotacji, ale niech mi dane będzie lobbystów nieco wybronić.
Choć jasne: lobbing to koszty, a zatem kasa i budowany z jej pomocą wpływ. Nawet robiony przejrzyście, zależy od kapitału, możliwości i doświadczenia politycznego ludzi, na których zatrudnienie ich stać.

W moim mieście podobno jest lobbystów 15-20 tysięcy, bo różne stowarzyszenia branżowe, organizacje społeczne oraz firmy i grupy biznesowe chcą mieć swoich przedstawicieli w Brukseli. Podobnie zresztą, jak chcą mieć przedstawicieli w Warszawie i innych stolicach. Mam więc sporo koleżanek i kolegów lobbystów, którzy pracują i dla korporacji, i dla nowych rozwiązań medycznych, i dla bliskich mojemu sercu organizacji pozarządowych. Są odzwierciedleniem grup interesów naszego kontynentu i nie ma powodu – zwłaszcza gdy spojrzeć na realne kompetencje posłów parlamentu krajowych i europejskiego – by im samym i ich rozumieniu świata pozostawiać decyzje, które oparte są na dość specjalistycznej wiedzy, a kształtują nasz rynek, życie i przyszłość. Udział różnych interesariuszy w tej rozmowie jest ważnym elementem tworzenia prawa. Powinien być przejrzysty, ale nie trzeba go demonizować. Można by nawet powiedzieć, że tak rozumiany lobbing ma wiele wspólnego z dyskusją i słuchaniem, które przeciwstawia mu arcybiskup Luksemburga.

Przez dekadę woziłam polskie delegacje, by słuchały, jak działają organizacje pozarządowe w USA. Jednym z najciekawszych spotkań było to o lobbingu w Waszyngtonie. Prowadzący zwykle zaczynał, rzucając na biurko grubą książkę telefoniczną. Był to rejestr waszyngtońskich lobbystów. Organizacje, nawet gdy nie były lobbystami, starały się mieć biuro lub przedstawiciela w stolicy, śledzić proces legislacyjny, spotykać się z reprezentantami tworzącymi prawo, informować o swoich obawach i pomysłach. Jeśli takie działanie nie zjadało zbyt dużej części ich budżetu, kwalifikowało się jako *advocacy*, czyli orędownictwo. Jeśli wysiłki organizacji i jej budżet budowanie wpływu pochłaniało w większym stopniu, zajmowała się lobbingiem, a dane jej pracowników lądowały w rejestrze. Organizacje, próbując wpływać na politykę, wchodziły w rozmaite sojusze. W tym samym miesiącu w sprawach związanych z Izraelem żydowska organizacja potrafiła działać w koalicji z ewangelikalnymi chrześcijanami, żeby jednocześnie w sprawie migracji stanąć po drugiej stronie politycznej barykady z lobbystkami reprezentującymi katolickie zakonnice.

Wróćmy jednak do przekonania kard. Hollericha, że lobbing nie należy do kultury Kościoła. Biorąc pod uwagę, że w Kościele żyjemy w monarchii absolutnej, zarówno w wersji watykańskiej, jak i rozsianych po świecie miniwersji kurii biskupich, może faktycznie to słowo nie należy do epoki, z której pochodzi kultura kościelna. U nas uprawia się raczej dworskie gry na korytarzach, snuje intrygi, wyświadcza przysługi. Przynosi prezenty, załatwia sprawy, uzyskuje dostęp do biskupiego ucha. I nie, nie ma tu żadnej wielkiej księgi rejestrującej szepczących do biskupich i kardynalskich uszu duchownych i polityków. Kto jednak raz stał w kolejce do biura biskupa za przedstawicielem grupy diecezjalnej dzierżącym prezent w postaci kompletu Rosenthala, słyszał o kopertach lub obserwował kariery lojalnych księży, ten wie, o czym mówię. Tak, lobbing nie jest naszą kulturą. Naszą jest fundamentalna nieprzejrzystość. No i oczywiście modlitwa (a jakże), dyskusja (kogo z kim?) i rzecz jasna modne w dobie synodu o synodalności słuchanie...

Trochę mnie połechtało, że kard. Hollerich ma nas za grupę lobbystyczną, bo to w sumie zakłada jakąś siłę, nowoczesność i profesjonalizm w budowaniu wpływu. Potem przypomniałam sobie jednak nasze mizerne budżety i marną pozycję wobec watykańskiego dworu. Lobbowanie? Tam się nawet nie da umówić na spotkanie! Przypomniałam sobie ten niezbyt czytelny i zmieniający się co chwilę proces synodalny, który obiecał globalne słuchanie, ale teraz zakitrał tematy kobiet w sekretnych komisjach. I jeszcze niejawny skład tych komisji, które mają decydować o miejscu kobiet w Kościele. Ogarnął mnie smutny, zrezygnowany śmiech. Takie z nas lobbystki, że musimy protestować na ulicach. ©

**Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim.
Autorka „Kościoła kobiet".**

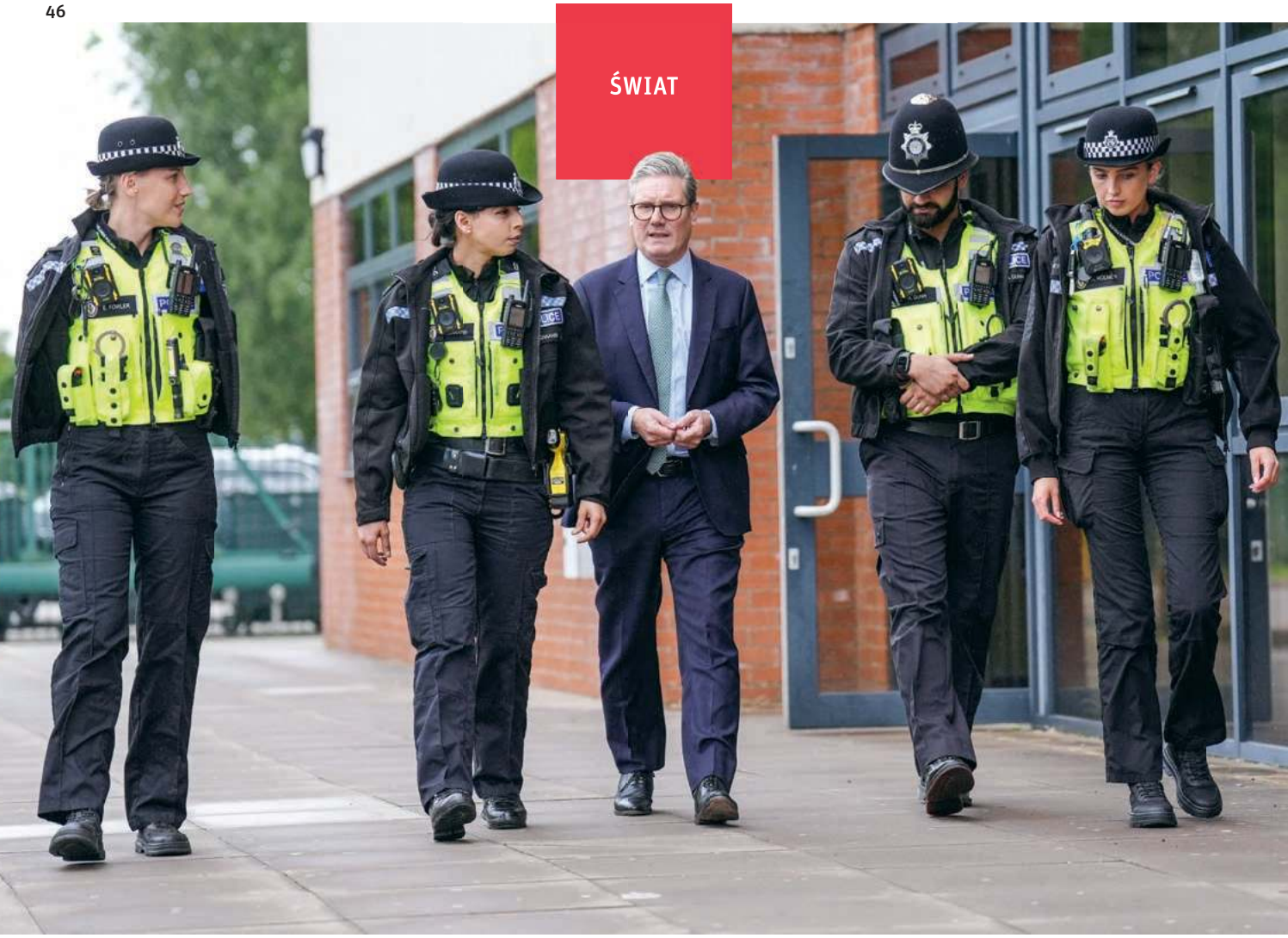

Premier Keir Starmer podczas rozmowy z funkcjonariuszami West Midlands Police, Solihull, 8 sierpnia 2024 r.

GORĄCE LATO SIR KEIRA

Zamieszki w brytyjskich miastach są nieoczekiwanym testem dla premiera Starmera. Ale mało który z polityków jest do tego tak przygotowany jak on.

PATRYCJA BUKALSKA Z WIELKIEJ BRYTANII

Wśrodę, 7 sierpnia, policja i mieszkańcy wielu brytyjskich miast szykowali się na najgorsze. Tego dnia wieczorem miało odbyć się blisko sto antyimigracyjnych protestów, które w poprzednich dniach przeradzały się w gwałtowne zamieszki. Wtedy płonęły samochody, wybijano szyby w oknach, plądrowano sklepy. Teraz pełni niepokoju właściciele sklepów i restauracji zamknęli swoje lokale wcześniej, zabezpieczając okna płytami ze sklejki. W stan gotowości postawiono 6 tysięcy policjantów. Niepokój być może odczuwał też premier Keir Starmer, zastanawiając się, czy obrana przez niego strategia aresztowań uczestników rozruchów i szybkiego stawiania ich przed sądem przyniesie skutek.

Spokojna noc

Rzeczywiście – wieczorem na ulice Bristolu, Liverpoolu, Birmingham, Newcastle, Londynu i innych miast wyszły tysiące ludzie. Tym razem jednak byli to mieszkańcy chcący sprzeciwić się wandalizmowi, przemocy i zastraszaniu ich sąsiadów z mniejszości etnicznych. Postanowili chronić też ośrodki dla imigrantów i biura prawne świadczące im pomoc, które miały

być celem ataków ekstremistów (pojawiły się takie pogróżki). W Liverpoolu setki osób utworzyło „żywą tarczę", otaczając miejscowy kościół, w którym mieści się biuro doradztwa imigracyjnego. Ale nie było to konieczne, bo przeciwnicy imigracji, jeśli w ogóle się pojawili, byli bardzo nieliczni. Atmosfera była raczej pokojowa, niemal karnawałowa. Jedynie w kilku miejscach doszło do słownych utarczek. Kraj mógł odetchnąć z ulgą.

„To była bardzo udana noc i obawy przed niepokojami skrajnej prawicy zostały zażegnane. Udana operacja dzięki lokalnym społecznościom i policji" – podsumował komisarz londyńskiej policji Mark Rowley.

Punkt zapalny

Iskrą, która wywołała antyimigracyjne protesty w Anglii i Irlandii Północnej – choć słowo „protest" jest tu dyskusyjne – były fałszywe informacje, szerzące się w mediach społecznościowych, po tym jak w Southport zginęły trzy dziewczynki, zaatakowane przez nożownika na warsztatach tanecznych. W sieci powielane były fake newsy, jakoby napastnik, 17-letni Axel Rudakubana, był muzułmaninem i imigrantem. Jego rodzice rzeczywiście pochodzą z Rwandy, on jednak urodził się w Cardiff. Ale ujawnienie tej informacji nie zatrzymało inicjowanych przez prawicowych ekstremistów rozruchów, które rozlały się po kraju. Napięcie rosło, a Brytyjczycy z mniejszości etnicznych zaczęli mówić, że boją się wyjść na ulicę.

Władze szybko dały znać, że nie będą pobłażać ani uczestnikom ulicznych burd, ani tym, którzy sieją nienawiść w sieci. Zwołane zostało posiedzenie sztabu kryzysowego COBRA. Premier Starmer zapowiedział, że uczestnicy zamieszek „odczują pełną moc prawa", a on zrobi wszystko, co konieczne, by stanęli przed wymiarem sprawiedliwości. „Gwarantuję, że pożałujecie udziału w tym zamieszaniu – podkreślał. – To nie jest protest. To zorganizowany, brutalny bandytyzm".

Po pierwszym tygodniu zamieszek w aresztach znajdowało się już ponad czterysta osób, około stu przedstawiono zarzuty – od zakłócania porządku czy szerzenia nienawiści na tle rasowym, po czynną napaść. Dyrektor oskarżeń publicznych (*Director of public prosecutions DPP*) Stephen Parkinson nie wykluczał też możliwych zarzutów terroryzmu.

Ostatni taki sierpień

Ostatni raz do zamieszek na wielką skalę doszło w Wielkiej Brytanii w sierpniu 2011 r., po śmierci zastrzelonego przez londyńską policję Marka Duggana. W kilkudniowych rozruchach zginęło wtedy pięć osób, zatrzymano prawie 4 tysiące, a sądy pracowały w trybie 24-godzinnym przez siedem dni w tygodniu. Po dwóch miesiącach blisko 2 tys. zatrzymanych było już po pierwszej rozprawie. W ciągu 11 miesięcy rozpatrzono ponad 3 tys. spraw, w dwóch trzecich zapadły wyroki skazujące. Do aresztowań dochodziło nawet po wielu miesiącach, dzięki analizie m.in. nagrań wideo i identyfikacji podejrzanych. Bezprecedensowa mobilizacja wymiaru sprawiedliwości i zdecydowane działania pozwoliły na szybkie opanowanie sytuacji, choć nie brakowało też opinii krytycznych, np. w kwestii surowości wydawanych wyroków.

Dyrektorem oskarżeń publicznych i jednym z głównych prokuratorów był wtedy Keir Starmer, obecny premier Wielkiej Brytanii. To on odegrał kluczową rolę w wypracowywaniu strategii postępowania.

Premier i prokurator

– Doświadczenie Starmera na stanowisku dyrektora oskarżeń publicznych sprawia, że zna on system lepiej niż jakikolwiek inny premier przed nim. A to może znaczyć, że ma lepsze podstawy niż większość polityków, by mówić o szybkim wymierzaniu sprawiedliwości – mówi „Tygodnikowi" politolog prof. Tim Bale z Queen Mary University w Londynie. – Z wykształcenia jest prawnikiem zajmującym się prawami człowieka, ale pokazał już, że potrafi być też bezwzględnym prokuratorem.

Zdaniem samego Starmera, 13 lat temu najważniejszym czynnikiem odstraszającym uczestników przed angażowaniem się w kolejne zamieszki okazała się bardziej szybkość zapadania wyroków niż ich surowość (choć w rzeczywistości były one surowsze niż wyroki za podobne, popełnianie wcześniej przestępstwa i wykroczenia). Dzisiaj może więc mówić z przekonaniem, że sprawnie działający wymiar sprawiedliwości „powinien wysłać odpowiednio silny sygnał do wszystkich zaangażowanych osób, bezpośrednio lub online, że zajmiemy się nimi najprawdopodobniej w ciągu tygodnia". Tak się rzeczywiście dzieje – zapadły już pierwsze wyroki, niektóre surowe, np. trzy lata więzienia. Media publikują wizerunki osób, które stają przed sądem, a to dla wielu – zwłaszcza tych, którzy w zamieszki wplątali się bezmyślnie albo pod wpływem alkoholu – powód do wstydu.

Warto też podkreślić, że w sondażu YouGov ponad połowa ankietowanych uznała, iż policja radzi sobie w tej sytuacji dobrze, a nawet, że nie była wobec uczestników burd dość stanowcza. Tylko jeden na ośmiu obywateli uważa, że rozruchy były uzasadnione. Osoby biorące udział w zamieszkach większość ankietowanych określała mianem „bandytów" i „rasistów". 76 proc. uznaje, że nie reprezentują oni poglądów większości obywateli.

Syn ślusarza

W ocenie ostatnich wydarzeń premier Starmer jest zdecydowany, a chwilami niemal gniewny, co być może jest echem jego dawnej roli – prokuratora. Choć jeszcze kilka tygodni temu zarzucano mu, że jest politykiem bez charyzmy, wręcz nudnym, i nie wiadomo do końca, jakie ma poglądy. W czasie kampanii wyborczej starał się przekonać Brytyjczyków, że – w przeciwieństwie do ówczesnego premiera Rishiego Sunaka, jednego z najbogatszych ludzi w Wielkiej Brytanii – rozumie problemy zwykłych ludzi. „Mój ojciec był ślusarzem" – powtarzał w debatach. Jak zauważa portal „Politico", to przesłanie raczej się nie przebiło, bo 62 proc. Brytyjczyków wciąż jest przekonanych, że Starmer nigdy nie musiał martwić się o pieniądze.

Faktem jest, że ojciec Starmera pracował w fabryce, matka była pielęgniarką, a on pierwszą osobą w rodzinie, która ukończyła uniwersytet. Premier podkreśla, że pamięta, co to niezapłacone rachunki i odcięty telefon. BBC podało, że był kiedyś złapany przez francuską policję, gdy wraz z kolegami bez pozwolenia sprzedawał lody na plaży.

Ale nawet jeśli miał w sobie coś z buntownika, ostatecznie zwyciężyła pasja do pracy i prawa. To jej, a także wytrwałości i pracowitości, zawdzięcza późniejszą spektakularną karierę zawodową. Jako prawnik specjalizował się w sprawach dotyczących praw człowieka, pracował też *pro publico bono*. W 2014 r. otrzymał tytuł szlachecki. ↦

JOE GIDDENS / REUTERS / FORUM

Twarda polityka

Mówi się, że sir Keir dostał imię po pierwszym przewodniczącym Partii Pracy Jamesie Keirze Hardie, choć sam premier tego nie potwierdza. Mówi się też, co już na pewno jest plotką, ale za to urokliwą i często powtarzaną, że to Starmer był pierwowzorem głównego bohatera „Pamiętnika Bridget Jones" – poważnego prawnika Marka Darcy'ego.

Rodzice premiera rzeczywiście byli zwolennikami Partii Pracy, a on sam, gdy miał 16 lat, wstąpił do Młodych Socjalistów, młodzieżówki laburzystów. Później pisywał też do pisma „Socialist Lawyer", ale szybko skoncentrował się na pracy prawnika.

Prawo porzucił dla polityki dopiero w 2015 r., gdy wystartował w wyborach i został wybrany na posła do parlamentu. Zbiegiem okoliczności Rishi Sunak, którego Starmer miesiąc temu zastąpił na stanowisku premiera, również wtedy zdobył swój pierwszy mandat.

Po tym jak Partia Pracy, kierowana przez Jeremy'ego Corbyna, przegrała wybory w 2019 r., Starmer przejął przywództwo i odbudował ugrupowanie laburzystów, osłabione wewnętrznymi sporami i oskarżeniami o antysemityzm. Fakt, że w ostatnich wyborach Corbyn nie był już kandydatem Partii Pracy (zdobył mandat jako kandydat niezależny), pokazuje, że Starmer potrafi być bezwzględny nie tylko jako prokurator, ale także jako polityk. On sam podkreślał, że skoro udało mu się odmienić Partię Pracy, to potrafi też zmienić kraj.

Nowe priorytety

W wyborach parlamentarnych na początku lipca Partia Pracy odniosła historyczne zwycięstwo, zdobywając 411 z 650 mandatów w Izbie Gmin i odsyłając rządzących przez ostatnich 14 lat konserwatystów do ław opozycji. Nowy szef rządu i jego ministrowie niemal z marszu przystąpili do zapowiadanej „odbudowy kraju" – będąc przez lata w opozycji, mieli sporo czasu, by się do nowych ról przygotować. Pierwszym krokiem premiera było odwiedzenie Szkocji, Walii i Irlandii Północnej, by wypracować z regionalnymi władzami lepsze metody współpracy. Nowy szef dyplomacji, David Lammy, niespełna 24 godziny po zaprzysiężeniu ruszył do Europy, bo rząd Starmera zapowiedział reset stosunków z Brukselą (choć w czasie kampanii tematu brexitu i Unii Europejskiej starannie unikano).

> Za sprawą ostatnich zamieszek zatrzymanie napływu imigrantów stało się dla Brytyjczyków **sprawą priorytetową.**

Trudniej może być z wyzwaniami wewnętrznymi. Jedną z najpilniejszych spraw jest usprawnienie systemu ochrony zdrowia NHS, który – zdaniem nowego szefa resortu zdrowia Wesa Streetinga – jest w stanie zapaści. Z kolei minister finansów Rachel Reeves – pierwsza kobieta na tym stanowisku w Wielkiej Brytanii – poinformowała, że poprzedni rząd zostawił dziurę w finansach publicznych w wysokości 22 miliardów funtów, i że załatanie jej może oznaczać konieczność podniesienia niektórych podatków.

Są też inne pilne sprawy, jak kryzys mieszkaniowy, zanieczyszczenie rzek i wód przybrzeżnych ściekami, przepełnione więzienia... Starmer o tym dobrze wie, choć pewnie nie przypuszczał, że sytuacja jest aż tak zła (np. w więzieniach). Ale zamieszek nie mógł się spodziewać. Ich wybuch może zmusić rząd do zmiany priorytetów na liście działań, windując rangę takich kwestii jak polityka migracyjna.

Imigracja i Farage

Temat migracji był i jest politycznym paliwem dla wielu populistycznych polityków, w tym także z rządzącej do niedawna Partii Konserwatywnej. Była minister spraw wewnętrznych Suella Braverman mówiła o „inwazji" imigrantów i forsowała ustawę pozwalającą na deportowanie ich do Rwandy (jedną z pierwszych decyzji nowego rządu było jej anulowanie). Antyimigracyjna partia Reform UK Nigela Farage'a zdobyła w ostatnich wyborach aż pięć mandatów – samemu Farage'owi udało się to za ósmym podejściem (aż 47 proc. Brytyjczyków obarcza odpowiedzialnością za ostatnie niepokoje właśnie Nigela Farage'a).

Migracja na Wyspy jest rzeczywiście intensywna, co u części obywateli budzi niepokój i frustrację. W ubiegłym roku do Wielkiej Brytanii przybyło 685 tys. ludzi. Jest to migracja legalna, z którą część Brytyjczyków wiąże swoje problemy dnia codziennego, jak np. pogorszenie się usług publicznych czy dostępu do lekarza. Tymczasem, jak wskazuje The Migration Observatory przy Uniwersytecie Oksfordzkim, lwia część legalnej imigracji to właśnie pracownicy usług, w tym pomocy społecznej i zdrowotnej.

Osób, które pokonały kanał La Manche nielegalnie, na łodziach pontonowych, było w 2023 r. niespełna 30 tysięcy. Niemniej hasło „Zatrzymać łodzie" stało się głównym punktem antyimigracyjnej retoryki poprzedniego rządu.

Do niedawna kwestie imigracji nie znajdowały się na liście priorytetów Brytyjczyków. Teraz się to zmieniło za sprawą ataku w Southport i ostatnich zamieszek. Dziś na imigrację, jako „główny problem" kraju, wskazuje 51 proc. ankietowanych w sondażu YouGov – o 10 punktów procentowych więcej niż w lipcu, czyli przed rozruchami. Zdarzyło się to po raz pierwszy od 2016 r., kiedy odbywało się referendum w sprawie brexitu.

Test dla lidera

Po zamieszkach z 2011 r. Starmer – wtedy jeszcze prawnik, nie polityk – powiedział, że jego zdaniem zapiszą się one w historii jako przykład prawidłowego działania wymiaru sprawiedliwości, który sprostał bezprecedensowemu wyzwaniu.

A jak zapisze się w historii on sam jako premier?

– Rozruchy będą w nieunikniony sposób traktowane jako pierwszy duży test dla Starmera, a także, o ile uda się je szybko opanować, szansa dla niego i dla Partii Pracy, by pokazać, że – jak powtarzał Tony Blair – „są twardzi wobec przestępczości i twardzi wobec przyczyny przestępczości". Innymi słowy, jeśli Starmer zda ten test, wzmocni to jego wizerunek jako premiera – mówi prof. Tim Bale.

Po pierwszych dniach zamieszek aż 49 proc. Brytyjczyków uznało, że premier źle sobie radzi z rozruchami. Tylko około jedna trzecia oceniła go dobrze. Gdy już zapanuje spokój, a emocje opadną, czeka Starmera dużo trudniejsze zadanie – sklejenie tkanki brytyjskiego społeczeństwa, naruszonej przez polaryzację, alienację, gniew, lęk i frustrację.

A to może potrwać o wiele dłużej.

© PATRYCJA BUKALSKA

Szeregowiec Rajana

TEKST I ZDJĘCIA: ANTONINA PALARCZYK Z OBWODU DONIECKIEGO

Pochodzi z Odessy, nosi hidżab, jest operatorką dronów. I przeczy wszystkim stereotypom o kobietach zniewolonych w islamie.

Jej imię oznacza wrota do nieba. Przyjęła je wraz z islamem już w dorosłym życiu. Spotykamy się w obwodzie donieckim, w kwaterze czeczeńskiego batalionu, gdzie od pewnego czasu służy. Rajana jest nie tylko jedyną bojowniczką w tej jednostce – w całym ukraińskim wojsku trudno byłoby znaleźć drugą operatorkę dronów noszącą hidżab. Muzułmanki wprawdzie w nim służą, ale głównie pochodzenia krymsko-tatarskiego, więc zwyczajowo nie zakrywają chustą głowy.

Przemyślana decyzja

– W Odessie, gdzie się urodziłam i mieszkam, jest bardzo duża społeczność muzułmańska, zgromadzona wokół dwóch dużych meczetów i mnóstwa mniejszych. Chociaż wielu muzułmanów, po rozpoczęciu pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę, wyjechało za granicę.

Ukraina to kraj wielokulturowy, zamieszkany przez przedstawicieli różnych narodowości. I tolerancyjny – przynajmniej z punktu widzenia Rajany.

– Może to po prostu mój szczęśliwy traf? Bo ja, w każdym razie, nigdy nie spotkałam się z wrogością i od nikogo nie usłyszałam złego słowa w związku z tym, że noszę hidżab. Jest raczej na odwrót: biorąc pod uwagę mój słowiański wygląd, wzbudza on pozytywne zainteresowanie. Zdarza się, że ludzie na ulicy podchodzą i pytają.

Rajana zaczyna swoją opowieść, gdy żołnierze po modlitwie opuszczają pomieszczenie, a my siadamy pod jednym z zabarykadowanych okien. Jeśli chodzi o religię, batalion jest niemal jednorodny, w całości złożony z muzułmanów. Rozmawiamy 16 lipca, czyli dziesiątego dnia *muharram* – pierwszego miesiąca w muzułmańskim kalendarzu. Dla wyznawców islamu to dzień święta Aszura, ustanowionego na pamiątkę męczeńskiej śmierci wnuka Mahometa. Cały batalion, aż do zmroku, przestrzega postu, nie pijąc nawet wody.

– Nie przejęłam przecież wyznania po rodzicach – mówi. – Moi rodzice byli prawosławni, ale niezbyt religijni. Wierzyli w jakąś siłę wyższą, ale to wszystko. Nie zaprowadzili mnie nigdy do cerkwi, nie obchodziliśmy świąt. Dlatego, gdy przyjęłam islam, była to przemyślana i wyłącznie moja decyzja.

Nie chodziło też o wyjście za mąż za muzułmanina. Po prostu, w kręgach moich znajomych było dużo wyznawców islamu. Może nie wszyscy byli szczególnie gorliwi, każdy ma jakieś ułomności, ale i tak każdego dnia pięć razy odmawiali modlitwę. Zainteresowałam się, zaczęłam czytać. Głowę zakryłam zaraz po zostaniu muzułmanką, bez żadnego wahania. Są osoby, zwłaszcza kobiety, które po konwersji obawiają się reakcji społeczeństwa, rodziny. Wiadomo, że propaganda łączy islam z terroryzmem. Świadomość, czym naprawdę jest ta religia, wciąż jest bardzo niska. Dlatego rozumiem obawy muzułmanek przed hidżabem. Niektóre dziewczyny decyzję o założeniu chusty odkładają w czasie, zaczynają np. od noszenia bandany.

Droga do drona

Kiedy tylko zaczęła się wojna, Rajana pomyślała o wstąpieniu do wojska. Ale chciała rozpocząć służbę dobrze przygotowana. W pierwszym roku pełnoskalowego konfliktu poszła na kursy przygotowujące do profesji medyka bojowego, zdobyła kilka certyfikatów. Szybko jednak zrozumiała, że to nie dla niej. W końcu wzięła udział w kilkutygodniowym szkoleniu operatorów dronów FPV (*First Person View*) – uderzeniowych dronów kamikadze, które dziś na froncie odgrywają znaczącą rolę. Ich cena (od dwustu dolarów) jest kilkukrotnie niższa od konwencjonalnych pocisków artyleryjskich, a przewyższają je w precyzji.

W szkoleniach uczestniczyli sami mężczyźni, którzy obawiali się, że gdy zostaną zmobilizowani, trafią do piechoty. Wiadomo – piechurów nigdy dość. A to przecież służba na pierwszej linii, odznaczająca się największą śmiertelnością. Certyfikat operatora drona zapewniał im ochronę przed wysłaniem do „strefy zero".

– Wiedziałam, że jako kobiecie będzie mi dużo ciężej odnaleźć się w armii ↦

Rajana z granatnikiem RPG-7 na poligonie w obwodzie donieckim, lipiec 2024 r.

– mówi dalej Rajana. – Tym bardziej jako muzułmance. Dlatego zdecydowałam się zawczasu nabyć jakąś profesję, żeby wystartować już z wyższego pułapu. Umieć coś, a nie przychodzić z pustymi rękami. Oczywiście, poza zdobywaniem nowych umiejętności, musiałam po drodze zająć się także innymi, domowymi sprawami. Jestem po rozwodzie, trzeba było znaleźć opiekę dla mojego dziecka. Przeszłam długą drogę, by trafić w końcu do tego miejsca, do braci. Dzięki woli Allaha.

Kobieta żywioł

Bracia to żołnierze Czeczeńskiego Batalionu Szejka Mansura, złożonego w sporej mierze z weteranów wojen czeczeńskich. To ostatnia w Ukrainie bojowa jednostka ochotnicza (nie licząc wolontariuszy-medyków), czyli niezwiązana kontraktem z regularną armią, a przez to utrzymująca się na własną rękę, tylko dzięki pomocy wolontariuszy i sponsorów. Jeśli chodzi o zaopatrzenie w amunicję, bojownicy czeczeńscy mogą liczyć tylko na samych siebie – zdobywają ją na Rosjanach lub przerabiają otrzymane od żołnierzy regularnego wojska stare pociski do katiuszy Grad, tzw. sto dwudziestki, najczęściej pochodzenia pakistańskiego. Także wyrzutnię, zamontowaną na pace masywnej terenówki, zdobyli na przeciwniku. A dokładnie – zmontowali ją, z pomocą wolontariuszy, z prowadnic po spalonym rosyjskim Gradzie i innych części, zebranych na polu bitwy.

– Trafiłam do jednostki przez wspólnych znajomych. Charakter batalionu jest dla mnie bardzo ważny. Po pierwsze, jest mi łatwiej, jako muzułmance, funkcjonować wśród braci w wierze. Po drugie zaś, jestem ochotnikiem. Nie chcę brać pieniędzy za walkę o wolność własnego kraju. Nie wiem, jak wyglądałaby moja służba w regularnej armii, ale tutaj, *alhamdulillah*, bracia przyjęli mnie jak siostrę. I czuję się bardzo dobrze.

Pytam, czy czuje się silną kobietą.

– Bardzo – odpowiada. – Wojna, zamiast mnie złamać, zrobiła mnie jeszcze silniejszą.

Rajana z dronem FPV na poligonie w obwodzie donieckim, lipiec 2024 r.

Po czym dodaje ze śmiechem: – Mam na imię Rajana, ale czasem budzi się we mnie Ryan. Byłam taka już od dzieciństwa, można wręcz powiedzieć, że dorastałam jak chłopiec. W cywilu byłam instruktorką tajskiego boksu. Dlatego gdy przyszła wojna, wiedziałam od razu, że i w tym żywiole się odnajdę. Człowiek jest w stanie przywyknąć do wszystkiego. Choć gdy pierwszy raz przyjechałam tutaj, do bazy, nie było łatwo. Zwłaszcza w nocy. Bez przerwy słychać było pobliskie wybuchy.

Zamieniła bokserski sprzęt na konsolę do sterowania dronem, a jej hidżab zmienił kolor na ciemnozielony, militarny (w cywilu najchętniej nosiła czarny). Nie porzuciła natomiast zamiłowania do jazdy na motorze – dociera tak na poligon, wraz z drugim batalionowym operatorem dronów. Na telefonie pokazuje mi zdjęcie swojego białego motocykla, którym śmiga po Odessie, gdy tylko nadarzy się okazja, by odwiedzić dom.

Wbrew stereotypom

Obecność Rajany w batalionie sprawiła, że wojskowa baza zaczęła przypominać prawdziwy, przytulny dom. Dziewczyna ma nieugięty charakter. Nie potrzebowała wiele czasu, by zagonić chłopaków do porządków. Już na drugi dzień po jej przyjeździe kuchnia – niekwestionowane serce bazy, gdzie przy dużym stole każdy wypija codziennie przynajmniej kilka szklanek czarnej herbaty, nabrała przyjemniejszej powierzchowności. W czasie mojego pobytu w bazie było podobnie. Abdullah został wysłany po zakupy, Sierhij oddelegowany do zdrapywania brudu z kuchenki, ktoś inny napełniał wiadra wodą (z kranu przez większość dnia nic nie leci, zwłaszcza w przyfrontowej okolicy obwodu donieckiego), ja dostałam do ręki wiadro z mopem, a Rajana zajęła się myciem szafek, stojąc na stołku i kołysząc się rytmicznie, jakby w jej duszy stale rozbrzmiewała jakaś wesoła melodia. Któregoś dnia, wracając z poligonu, Bóg wie skąd wytrzasnęła wiertarkę i od ręki naprawiła piwniczne drzwi, które skrzypiały jak upiór, ilekroć ktoś ich dotknął. Sama piwnica, służąca za magazyn, również nie uniknęła gruntownych porządków.

– Wszyscy bracia są dla mnie autorytetem – mówi, gdy pytam o jej wzorce, szukając źródła zdecydowanego charakteru, który przeczy wszystkim stereotypom o kobietach zniewolonych hidżabem. – A przede wszystkim Muslim, nasz dowódca.

Muslim Czeberłojewski, dowódca (czyli *amir*) Czeczeńskiego Batalionu Szejka Mansura, uczestnik obu wojen czeczeńskich, to człowiek legenda. Nie tylko dla Rajany jest wzorem do naśladowania. Próżno by szukać innego dowódcę, otaczanego przez żołnierzy takim szacunkiem. Białobrody, o kamiennej twarzy, na której rzadko kiedy gości uśmiech, jest bezsprzecznie jedyną osobą, która potrafi utrzymać w garści charakterną zgraję swoich podkomendnych.

Szalony taniec

Na jednym z nagrań opublikowanych na swoich profilach w mediach społecznościowych Rajana, w długiej szacie i furczącym z pędu za jej głową hidżabem, okłada gołymi pięściami treningowy worek. Półobrót, kolejny cios, szeroki uśmiech, a na koniec palec wskazujący w górę, na znak, że „nie ma Boga prócz Allaha". W tle muzyka do *lezginki*, szalonego w tempie tradycyjnego tańca kaukaskiego. A pod spodem słowa: „Mojemu synkowi mówili: Nie masz taty. Na co on odpowiedział: Ale za to mam taką matkę, że wasi ojcowie mogą się schować".

© ANTONINA PALARCZYK

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

LISA LEUTNER / REUTERS / FORUM

Na trybunach podczas finału skoku o tyczce na igrzyskach w Paryżu, 5 sierpnia 2024 r.

Zwycięzcy serc

MARCELINA SZUMER-BRYSZ Z IZMIRU

Turecki strzelec, Yusuf Dikeç, zdobył sympatię fanów na całym świecie. Ale w jego kraju kocha się i wspiera sportowców niezależnie od ich wyników.

Choć od olimpijskich zmagań w strzelaniu z pistoletu pneumatycznego minęło już kilka dni, on wciąż jest na ustach całego świata. Yusuf Dikeç, celujący z broni bez żadnych „wspomagaczy", zestawiony z Serbem w słuchawkach i ułatwiającą celowanie „klapką" na oku, wyskakuje z każdego niemal mema: Arystoteles vs. współcześni filozofowie z całą dostępną wiedzą ludzkości; Leon Zawodowiec vs. Terminator; Yusuf z bronią, Yusuf z papierosem, Yusuf z kotkiem (ma je i lubi), Yusuf ze wszystkim naraz, postarzony przez sztuczną inteligencję i podpisany: „Olimpiada 2028".

„Cóż, jestem tureckim żołnierzem" – odpowiadał na pytanie, jak to możliwe, że strzela bez wspomagania. W innym wywiadzie wyjaśniał, że jest „naturalnym strzelcem", który może tylko się cieszyć, że Allah pozwolił mu (w parze z wyżej od niego sklasyfikowaną, o blisko 30 lat młodszą, Şevval İlaydą Tarhan) zdobyć dla tureckiego narodu i kraju srebrny krążek...

Skromny, spokojny, emanujący pewnością siebie srebrny medalista stał się ikoną paryskich igrzysk, a do jego gestów i min (choćby rozbawienia, gdy ogląda memy z samym sobą) nawiązują już inni olimpijczycy, m.in. Armand Duplantis, który po złotym skoku o tyczce stanął w pozie Dikeça, udając, że celuje przed siebie.

Przegrani bohaterowie

Ale gdy świat widzi tylko zwycięzców, Turcy dostrzegają dużo więcej. Swoich sportowców kochają i wspierają niezależnie od ich wyników. Trudno w to uwierzyć, gdy pochodzi się z Polski, gdzie w jeden wieczór wszyscy stają się specjalistami od dyscypliny, o której istnieniu jeszcze wczoraj mało kto słyszał – tylko dlatego, że reprezentantka naszego kraju o włos przegrała bój o medal. Technikę, włosy, wygląd sportowców krytykuje się od morza do Tatr.

Nad Bosforem jest inaczej. Kilka dni temu 16-letni pływak Kuzey Tunçelli, który startował w wyścigu na 1500 m stylem dowolnym, uzyskał „zaledwie" piąte miejsce (choć pobił rekord świata juniorów, z czasem 14.41.22).

– Dziękuję wszystkim, którzy mnie wspierali. Cel osiągnąłem. Wykorzystam te doświadczenia w przyszłości. Przekazuję całą moją miłość i szacunek Turcji – mówił po wyścigu, a kraj rozpłynął się w zachwytach. „*Maşallah*, młodzieńcze! Niech twoja droga będzie jasna i otwarta!"; „Błogosławieństwa, młody człowieku! Zdobędziesz jeszcze wiele medali!"; „Dziękujemy ci, wspaniały chłopcze!" – pisano w komentarzach. Z gratulacjami spieszyły federacje sportowe, izby handlowe i związki zawodowe.

Elif Berra Gökkır i Mete Gazoz przegrali w ćwierćfinale z parą łuczników z Korei, ale nikt nie nazywa ich przegranymi. Dla tureckich mediów są „zwycięzcami naszych serc".

Na podobne wsparcie mógł liczyć Ersu Şaşma, mistrz Europy w skoku o tyczce, który zajął na olimpiadzie „zaledwie" szóste miejsce. „Wspaniały występ, dziękujemy!". „Gratulujemy ci i wierzymy w ciebie! Zwycięstwo olimpijskie nadejdzie. Nigdy w to nie wątp!". Tylko jedna osoba wśród komentujących ubolewa, że tyczkarz nie pokonał wysokości 5,95 m (co dałoby mu brąz), ale nikt nie podejmuje tego tematu.

Atletyka i patriotyzm

Turcy kochają i szanują sportowców. Za wysiłek, jaki wkładają w treningi, i emocje, jakich im dostarczają. Siatkarki z drużyny narodowej nazywane są pieszczotliwie „sułtankami siatki" – kilkanaście lat temu powiedzieli tak o nich komentatorzy sportowi TRT (turecka telewizja publiczna), zadowoleni z serii ich występów, wcale nie medalowych.

Doceniany jest oczywiście patriotyzm atletów. Nie bez przyczyny większość zdobytych medali i odbytych startów Turcy dedykują swojemu „wspaniałemu krajowi" (jak cytowany na wstępie Yusuf Dikeç).

Podobne emocje, gdzie indziej niespotykane, budzą również zmagania sportowców z niepełnosprawnościami. A przecież igrzyska paraolimpijskie już niedługo. Jest więcej niż pewne, że Turcy będą się cieszyć nie tylko każdym krążkiem, ale i występem. Że wspomną o nim wszystkie media. Że pokażą szczegółowe relacje ze zmagań, przeprowadzą wywiady ze sportowcami, przypomną historie zawodników. Skąd ta pewność? Kilka lat temu, gdy zmarła matka kapitana drużyny Amp Futbolu, Osmama Çakmaka, kondolencje złożyli zawodnikowi wszyscy politycy, a relacje z pogrzebu pokazano w telewizji...

Polakom może nie potrzeba takich sportowców, jakich mają Turcy. Ale na pewno polskim sportowcom przydaliby się tacy kibice. ©

Koreański Che Guevara

BRADLEY HOPE, AUTOR KSIĄŻKI „POKONAĆ KIMÓW”:

Ten kraj jest przekleństwem każdej amerykańskiej administracji. Zbyt niebezpieczny, by go ignorować, zbyt mały, by podporządkowywać mu politykę.

W lipcu światowe media obiegła informacja o ucieczce kolejnego wysoko postawionego dyplomaty z Korei Północnej. Ri Il-gyu, który pracował dla północnokoreańskiej ambasady na Kubie, jest już w Korei Południowej i udziela wywiadów, krytykując reżim Kim Dzong Una. Szczegóły ucieczki – tego i innych wysoko postawionych polityków z KRLD – są owiane tajemnicą. Niedawno opublikowana w Polsce książka Bradleya Hope'a „Pokonać Kimów. Tajna misja przeciwko reżimowi” (wydawnictwo Czarne) odsłania kulisy niektórych z takich ucieczek. Jak można się domyślać, nie byłyby one możliwe bez pomocy z zewnątrz.

Głównym bohaterem książki Hope'a jest Adrian Hong, który postawił sobie ambitny cel: obalić najgorszy reżim świata, za jaki uważa obecną Koreę Północną. Hong, absolwent Yale, mieszkający w USA Koreańczyk meksykańskiej narodowości, początkowo zajmował się wyłącznie nagłaśnianiem kwestii łamania praw człowieka w KRLD. Jednak w przeciwieństwie do innych aktywistów uznał, że potrzeba też przedsięwzięć, które mogłyby realnie zagrozić reżimowi. Jego pierwsze działania „w terenie” skończyły się fiaskiem. W 2006 r. został deportowany z Chin za pomoc uchodźcom z Korei Północnej (przebywającym w tym kraju nielegalnie) – od chińskiej celi uchroniła go interwencja wysoko postawionych amerykańskich przyjaciół. Mimo to pozwolił sobie na głośną krytykę konsulatu USA w Shenyang, który miał odmówić udzielenia uciekinierom schronienia.

Z czasem jego radykalizm się pogłębił. W 2017 r. Hong powołał organizację Free Joseon, która przedstawiała się – jedyny taki przypadek – jako rząd Korei Północnej na uchodźstwie. Jej zadaniem było zbudowanie struktur, które mogłyby zagrozić reżimowi. Zaczęła też organizować ucieczki wysoko postawionych polityków z KRLD. Pierwszym był syn Kim Dzong Nama, zamordowanego w 2017 r. na lotnisku w Malezji brata Kim Dzong Una. Drugim – ambasador Korei Północnej we Włoszech.

W poważne tarapaty Free Joseon wpadło w 2019 r., kiedy jej członkowie włamali się do ambasady Korei Północnej w Madrycie, a media oskarżyły grupę o terroryzm. Adrian Hong do dziś ukrywa się, poszukiwany przez służby hiszpańskie, amerykańskie i – najprawdopodobniej – także północnokoreańskie. O jego fenomenie rozmawiamy z autorem książki.

ROMAN HUSARSKI: Czy Free Joseon jest organizacją terrorystyczną? W mediach zdarzają się porównania do Czarnych Panter lub Frakcji Czerwonej Armii.

BRADLEY HOPE: Jest ogromna różnica pomiędzy tymi grupami a Free Joseon. Tamte były zorientowane na walkę z własnymi rządami, a nie rządem obcego kraju. Free Joseon nie podkłada bomb, nie stosuje przemocy, to przede wszystkim grupa aktywistów wierzących w idee demokracji i praw człowieka.

Na nagraniach z kamer rozmieszczonych w madryckiej ambasadzie widać jednak, że członkowie Free Joseon byli uzbrojeni. Z zeznań zebranych przez hiszpańską policję wynika, że personel dyplomatyczny był bity, wiązany, a niektóre osoby wymagały interwencji lekarskiej.

Czy to nie zbyt pochopne wnioski? Przeprowadzone przeze mnie śledztwo wykazuje, że ludzie z Free Joseon chcieli stworzyć iluzję włamania – po to, by ktoś, kto na nich czekał w środku, mógł bezpiecznie opuścić ambasadę. Musimy pamiętać, że północnokoreański reżim trzyma członków rodzin dyplomatów jako zakładników. Potrzebne więc było solidne alibi.

Żaden z pracowników ambasady nie dołączył do Free Joseon. Skończyło się na kradzieży komputerów.

To jest właśnie zagadka. Dlaczego ambasador nagle zrezygnował z ucieczki? W książce przedstawiam kilka możliwych odpowiedzi. Gdy jednak plan Adriana Honga spalił na panewce, to personel ambasady musiał stworzyć dobre wytłumaczenie dla przełożonych w Pjongjangu. Stąd te historie o pobiciach i karykaturalne opisy napastników, którzy zresztą nie mieli prawdziwej broni, tylko atrapy.

Pracownica ambasady zbiegła z miejsca zdarzenia i skontaktowała się z hiszpańską policją. Była przekonana, że wszyscy jej

KIM WON JIN / AFP / EAST NEWS

Plac Kim Ir Sena w Pjongjangu, luty 2024 r.

współpracownicy nie żyją, tylko dlatego, że usłyszała południowokoreański akcent u włamywaczy. Zaskoczonym policjantom powtarzała, że ci z Południa jedzą dzieci.

W Korei Północnej nie ma możliwości weryfikowania tego, co się słyszy. Wierzysz w to, co ci mówią. A wszystkie media są pod kontrolą państwa, nie ma dostępu do internetu.

Nawet jeśli wyjedziesz za granicę, twoje możliwości będą bardzo ograniczone i cały czas będziesz pod obserwacją swoich kolegów. Nie wiesz, czy któryś na ciebie nie doniesie. W efekcie Koreańczycy z Północy, przebywający poza granicami swojego kraju, sami narzucają na siebie kontrolę: unikają spotkań, nie czytają książek, nie zaglądają do internetu.

Są jednak dobrze skomunikowani ze sobą. Mieszkający w Hiszpanii obywatele KRLD szybko się zorientowali, że coś niepokojącego dzieje się w ich ambasadzie.

To nie są bogaci Koreańczycy na wakacjach. To zamknięta grupa, która w dodatku ma obowiązek co tydzień przychodzić na „szkolenia ideologiczne", odbywające się właśnie w ambasadzie. Wielu z nich zresztą to agenci, działający pod przykryciem – jak czterdziestolatek, który rzekomo przyjechał do Hiszpanii na studia. Korea Północna nie wypuszcza nikogo bez powodu.

W listopadzie 2023 r. ambasadę w Madrycie ostatecznie zamknięto. W Europie nie ma ich wiele – zostało 12, m.in. w Polsce. Jaką odgrywają rolę i jakie mają znaczenie dla reżimu Kim Dzong Una?

Wszystkie ambasady Korei Północnej wykorzystują swoją suwerenność jako przykrywkę do przestępczej działalności. W grę wchodzi przemyt, narkotyki, a ostatnio także przestępstwa internetowe. W przypadku Madrytu tych zarzutów było sporo, łącznie z handlem bronią. Niewiele jednak dało się zrobić, bo dyplomatów chronią immunitety i prawo do tajemnicy korespondencji. Ambasady starają się pozyskiwać również pomoc humanitarną.

Free Joseon nie jest jedyną organizacją pozarządową walczącą z Kim Dzong Unem. W Korei Południowej działa np. Fighters for a Free North Korea, która co roku wysyła balony z jedzeniem, pendrivami i propagandą w stronę Korei Północnej. Co wyróżnia Free Joseon?

Free Joseon przedstawiają się jako Tymczasowy Rząd Wolnej Korei. Chcieliby stworzyć polityczne ciało, z którym Pjongjang będzie musiał się liczyć. Większości Koreańczyków to jednak nie przekonuje. Największe kontrowersje budzi fakt, że uciekinierzy z Korei Północnej we Free Joseon stanowią mniejszość – jest ich tam zaledwie kilku. Większość stanowią Amerykanie koreańskiego pochodzenia lub wykształceni Koreańczycy z Południa.

Co w takim razie daje im siłę do działania?

Wizja Adriana Honga. On jest outsiderem. Jest Koreańczykiem, który urodził się w Meksyku, po czym wyemigrował do USA. W Korei Południowej pojawiał się sporadycznie. Miał jednak szerokie spojrzenie, dzięki czemu docierał niemalże do każdego. Z czasem wokół niego stworzyła się grupa osób zainspirowana jego marzeniem o wyzwoleniu Korei Północnej.

Według Honga totalitarny system Korei Północnej to największy skandal XXI wieku. Nigdzie nie łamie się w podobnym stopniu praw człowieka. Hong pochodzi z bardzo religijnej rodziny, w jego działaniach widać misjonarskie zacięcie. Inspirował się Martinem Lutherem Kingiem i ruchem abolicjonistycznym. We Free Joseon aktywiści mieli poczucie, że robią coś przełomowego: ratowali ważnych ludzi, którzy potencjalnie mogli odegrać istotną rolę w budowie nowego kraju. Adrian miał więc w sobie coś z chrześcijańskiego misjonarza, a coś z Che Guevary.

Korea Północna jest jednym z najbardziej zmilitaryzowanych państw świata. Naprawdę Kim Dzong Un obawia się małej grupy aktywistów?

W Korei Północnej przywódca jest Bogiem-słońcem. Propaganda wielbi ↦

↦ rodzinę Kimów – to oni wygrali z Japończykami, to oni pogromili Amerykanów w wojnie koreańskiej... Ze względu na nacjonalizm, łatwo wzbudzić podejrzliwość wobec działań nie-Koreańczyków. Ale jeśli zaczną się pojawiać, jak na tych pendrivach wysyłanych do KRLD, informacje o facecie, który wygląda jak Koreańczyk i na którego stronę przechodzą ambasadorowie – to już poważna sprawa.

Mało znany jest fakt wywieszenia flagi Free Joseon w ambasadzie Korei Północnej w Malezji. Ktoś z pracowników musiał uwierzyć w ich sprawę. Być może to przekonało Adriana do akcji w Madrycie. Myślał, że to będzie ambasada rebeliantów. Hong był zafascynowany arabską wiosną. Był ze mną w Libii, jeździł po krajach objętych rewolucją. Wierzył, że może namówić Koreańczyków z Północy do obywatelskiego nieposłuszeństwa.

W dodatku opracował plan działania, jak odtworzyć społeczeństwo obywatelskie w miejsce dyktatury. Free Joseon miało precyzyjny pomysł na Ministerstwo Edukacji, Kultury, jak zagospodarować wojsko itd.

Był jeszcze Kim Han-sol. Przed zamordowaniem swojego ojca, Kim Dzong Nama, krytykował w mediach reżim swojego wujka. Mógłby odegrać jakąś rolę w legitymizacji nowego układu politycznego. Adrian chciał, by Kim Han-sol stał się częścią Free Joseon, ale stracił z nim kontakt. Han-sol ukrywa się obecnie w USA i prawdopodobnie ze względów bezpieczeństwa nie kontaktuje się z Adrianem.

W swojej książce broni pan Free Joseon, wskazując na złożone kulisy ataku na ambasadę w Madrycie. Jednak narracja dominująca w mediach nie jest grupie przychylna. Pojawia się problem potencjalnej przemocy i potrzeba kary za naruszenie nietykalności dyplomatów. Free Joseon ma również kiepską prasę w Korei Południowej. Czy to koniec tej grupy?

Free Joseon jest trochę jak grupa religijna. Opierała się na charyzmatycznym przywódcy, a gdy go zabrakło, to cała struktura się posypała. Życie tych aktywistów zostało zniszczone. Część się ukrywa, część przebywa w areszcie domowym, część jest w Korei Południowej, ale muszą uważać, bo państwa europejskie wysłały nakaz ich ekstradycji.

Myślę, że popełnili strategiczny błąd, utrzymując swoje działania w tajemnicy. Spowodowało to nieufność opinii publicznej i ogromną ilość fake newsów. Powinni byli otwarcie powiedzieć, kim są, porozmawiać z dziennikarzami, wytłumaczyć swoje działania. Często słyszy się zarzut, że działali na zlecenie CIA. Europejczycy są wrażliwi na tym punkcie, bo CIA po 11 września była odpowiedzialna za „kowbojskie" działania w Europie, wbrew prawu międzynarodowemu.

Tymczasem CIA nie tylko im nie pomogła, ale wykorzystała zgromadzone od nich informacje przeciwko nim.

Free Joseon miało pecha, bo przeprowadzili swoją akcję w okresie zbliżenia pomiędzy Donaldem Trumpem i Kim Dzong Unem. Trump był przekonany, że uda mu się skłonić dyktatora do korzystnego dealu i marzyła mu się Pokojowa Nagroda Nobla. W tej sytuacji działalność wywrotowa Honga była kulą u nogi. Prawdopodobnie Free Joseon miało sporo sympatyków w CIA, jednak sytuacja uległa zmianie, gdy na szali znalazły się interesy państwowe. Pamiętajmy, że grupa Adriana próbowała zdestabilizować państwo, które posiada broń nuklearną. Waszyngton nie mógł sobie pozwolić na wspieranie potencjalnych „terrorystów" dążących do obalenia władz suwerennego państwa.

Nie da się ukryć, że Adrian był naiwny. Gdy FBI przyszło do niego, by wypytywać o Libię, tłumaczył, że jako prodemokratyczny aktywista zbiera informacje o przebiegu rewolucji. Wierzył, że ideały praw człowieka będą ważniejsze niż wszystko inne.

Podczas lektury czułem narastającą frustrację Adriana, który był chyba coraz bardziej wściekły na hipokryzję państw Zachodu.

Najgorzej być czyimś sumieniem. Adrian wskazywał, że dużo się mówi o prawach człowieka, ale w rzeczywistości nikt nie chce się narażać na ryzyko. To właśnie dlatego Free Joseon wzbudza tak skrajne opinie. Bo sprawia, że ludzie w Ameryce zaczynają widzieć własną hipokryzję. Korea Północna jest przekleństwem każdej amerykańskiej administracji. Jest zbyt niebezpieczna, by ją całkiem ignorować, ale za mała, by podporządkowywać jej politykę międzynarodową. To jednak surrealistyczne, że jest takie miejsce na ziemi, jak Korea Północna. Chroniczny brak prądu wymusza życie jak w średniowieczu. Jak blisko jest ze stolicy do przerażających obozów pracy? To wszystko przypomina trochę orwellowski koszmar. Problem Korei Północnej pozostaje nierozwiązany.

Jeżeli Trump wróci do Białego Domu, czeka nas powrót „miłosnych" listów i spotkań w Pjongjangu?

W przypadku wygranej kandydata Demokratów należy spodziewać się polityki zachowawczej, natomiast Donald Trump jest zawsze jedną wielką niewiadomą.

© Rozmawiał ROMAN HUSARSKI

ARCHIWUM PRYWATNE RUBENA DARIO

BRADLEY HOPE jest korespondentem „Wall Street Journal" w Libii, Egipcie, Tunezji, Bahrajnie, Libanie i krajach Zatoki Perskiej, szef zespołu reporterów w tym dzienniku, finalista Nagrody Pulitzera, autor książek non-fiction „Pokonać Kimów. Tajna misja przeciwko reżimowi", współautor „Billion Dollar Whale" oraz „Ropa i krew. Walka o przywództwo w Arabii Saudyjskiej i wpływy na świecie".

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY

„TP" 33/2024

NAGRODA POLIN 2024

Jesteśmy tutaj

W tym roku, 28 października, minie 10 lat od otwarcia wystawy stałej Muzeum POLIN. Wystawy, która stanowi serce muzeum na warszawskim Muranowie i od dekady opowiada tysiącletnią historię polskich Żydów. Przez te 10 lat na wystawie gościły miliony zwiedzających. Muzeum POLIN zrealizowało znakomite i docenione frekwencyjnie wystawy czasowe. Zorganizowało dziesiątki tysięcy warsztatów edukacyjnych i niezmierzoną liczbę wydarzeń kulturalnych i naukowych, każdego dnia przywracając pamięć o polsko-żydowskiej historii. Historii, którą miała zakończyć II wojna światowa, a do której wciąż dopisywane są nowe rozdziały.

To właśnie w 10. rocznicę otwarcia wystawy stałej poznamy laureatów 10. edycji konkursu Nagroda POLIN. W ten sposób pragniemy podkreślić, że tak jak główna ekspozycja, podobnie oni każdego dnia realizują misję ochrony pamięci w społecznościach lokalnych. Przyczyniają się do ratowania materialnej i niematerialnej spuścizny polskich Żydów. Nie tylko uczą historii, ale także sami ją tworzą – dzięki swojemu zaangażowaniu, pasji i empatii.

Nagroda POLIN to jest ich święto, to hołd oddany ich pracy. Bo to właśnie za sprawą tych niezwykłych osób polscy Żydzi przestają być jedynie wzmianką w podręczniku, dawno zapomnianą, wymarłą historią. Dzięki nim powracają wspomnienia, ożywa pamięć o ludziach i zdarzeniach, które składają się na nasze wspólne dziedzictwo. Najczęściej wykonują oni swoją pracę bez większego rozgłosu, w zaciszu własnych domów czy zapomnianych miejsc pamięci, poświęcając swój czas, energię i nierzadko także własne środki finansowe.

Warto im za to podziękować. Dlatego serdecznie zachęcam do zgłaszania tych wyjątkowych osób w konkursie Nagroda POLIN. Wspólnie wyróżnijmy ludzi, którzy pielęgnują to, co przetrwało kataklizmy XX wieku. Kataklizmy, które niemal doprowadziły do ustania życia żydowskiego na ziemiach polskich.

Podczas otwarcia wystawy stałej w 2014 r. Marian Turski, przewodniczący Rady Muzeum i Ocalały z Holokaustu, powiedział: „Jesteśmy tu. ***Mir zenen do***". Dzięki lokalnym społecznikom, aktywistom i wolontariuszom – ludziom, którzy bezinteresownie chcą zmieniać świat i pielęgnują pamięć o swoich żydowskich sąsiadach, to „tu" nabiera symbolicznego znaczenia. Staje się pojęciem coraz szerszym, rozkwita na mapie Polski, dokładane są kolejne puzzle. I tu, i tu, i tu. ©

MACIEK JAŹWIECKI / / MATERIAŁY PRASOWE POLIN

ZYGMUNT STĘPIŃSKI
Dyrektor Muzeum POLIN, członek kapituły konkursu Nagroda POLIN 2024

Jubileusz

PIOTR WIŚLICKI

Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce jako jeden ze współzałożycieli Muzeum jest partnerem Nagrody POLIN od samego początku jej istnienia. Stowarzyszenie poprzez Program Grantowy wspiera również lokalnych działaczy dbających o żydowskie dziedzictwo, wśród których można znaleźć wielu laureatów Nagrody POLIN. Przez 12 lat istnienia Programu Stowarzyszenie wsparło ponad 250 projektów w całej Polsce.

W tym roku Muzeum organizuje 10. edycję konkursu Nagroda POLIN. Patrząc wstecz na minione edycje, widzę wspaniałe osoby i przypominam sobie wyjątkowych laureatów i finalistów. Każda z tych osób ma swoją bardzo osobistą historię, a łączy je głęboka potrzeba przywrócenia i opowiedzenia historii lokalnej społeczności żydowskiej.

Widzę wśród nich Jana Jagielskiego – wieloletniego członka zarządu naszego Stowarzyszenia, inicjatora akcji restaurowania cmentarzy żydowskich w małych miastach i pierwszego laureata Nagrody Specjalnej POLIN, przyznawanej za całokształt działalności na rzecz zachowania i przywracania pamięci o historii polskich Żydów oraz budowania zrozumienia między Polakami a Żydami. O nim chcę pamiętać szczególnie podczas jubileuszowej edycji Nagrody.

W 2024 r. mija 10 lat od otwarcia Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN. Od tego czasu POLIN stało się jednym z najważniejszych muzeów na świecie, otrzymało ponad 60 polskich i zagranicznych nagród, w tym nagrodę Europejskie Muzeum Roku 2016. Ta instytucja kultury jest także jedną z najpopularniejszych atrakcji turystycznych w Warszawie, którą odwiedziło już ponad 4,5 mln osób.

Jestem dumny, że jako Stowarzyszenie możemy wspólnie z Muzeum i naszymi darczyńcami każdego roku uhonorowywać niezwykłych ludzi – wspaniałych społeczników lokalnych, którzy działają w całej Polsce. Niech Nagroda POLIN będzie naszym wspólnym wyrazem wdzięczności za ich nadzwyczajną pracę. ©

MACIEK JAŹWIECKI / / MATERIAŁY PRASOWE POLIN

PIOTR WIŚLICKI jest przewodniczącym Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny w Polsce.

MUZEUM ŚWIĘTUJE 10. URODZINY!

W dniach **26-30 września 2024 roku** Muzeum POLIN zaprasza na urodzinowy weekend. W programie świętowania znalazła się m.in. seria autorskich oprowadzań, która pozwoli na nowo spojrzeć na wystawę stałą. W planach także cykl rozmów ze znanymi gośćmi i gościniami o wyzwaniach XXI wieku stojących przed muzeami.

Przedsmakiem wrześniowych propozycji jest nowa aranżacja galerii „Powojnie", w której znalazły się obraz Wilhelma Sasnala i film dokumentalny Mikołaja Grynberga. Dzieła tych twórców można już oglądać w Muzeum POLIN.

Szczegóły: **www.polin.pl/10urodziny**

NAGRODA POLIN 2015-2024 w liczbach

9 laureatów

17 wyróżnień

8 nagród specjalnych

56 osób i organizacji w finale konkursu

PONAD **900** aplikacji

PONAD **300** zgłoszonych kandydatów

MATERIAŁ ORGANIZATORA

DANUTA MATLOCH / MUZEUM POLIN

Wyróżnienie odbiera „Sądecki Sztetl", Muzeum POLIN, 2022 r.

Przewodnicy pamięci

RADOSŁAW WÓJCIK, MUZEUM POLIN:

Często myślę o słowach Natalii Bartczak, laureatki konkursu Nagroda POLIN 2019: „Jeśli moja osoba zainspirowała kogoś do popatrzenia za okno i dostrzeżenia tego, co zapomniane na swojej ulicy, dzielnicy, w mieście i poza nim, to jest to dla mnie największa nagroda".

Podobno nie ma takiej podróży, która choćby trochę nie zmieniła człowieka. I ta myśl towarzyszy mi od kilku lat zawsze, gdy jesienią z Patrykiem, mistrzem dobrych ujęć i świetnych montaży, oraz Maćkiem, specjalistą od wybitnych kadrów i najlepszych portretów, pakujemy sprzęt do samochodu i wyruszamy w podróż przez Polskę, by z kamerą i aparatem odwiedzić finalistów Nagrody POLIN. Zostawiamy za sobą wielkomiejski gwar, wieże warszawskich biurowców i przez tydzień przemierzamy setki kilometrów, by porozmawiać z tymi, którzy w mniejszych lub większych miejscowościach, w wielu regionach Polski, w różny sposób chronią pamięć o tych, którzy mieli zostać zapomniani.

Nagroda POLIN

Przyznawana jest od 2015 roku. 28 października po raz kolejny trafi do osoby lub organizacji aktywnie działającej na rzecz ochrony pamięci o historii polskich Żydów. Wszyscy finaliści konkursu otrzymają nagrody finansowe.

Spośród zgłoszonych kandydatur Kapituła konkursu każdego roku nominuje, nagradza i wyróżnia osoby lub organizacje, które w ostatnich latach wykazały się ważnym, niezwykłym działaniem, postawą, dziełem czy wystąpieniem o istotnym wpływie na społeczną świadomość historii polskich Żydów oraz na budowanie relacji polsko-żydowskich.

Aby zgłosić swojego kandydata, należy do 25 sierpnia wypełnić formularz elektroniczny znajdujący się na stronie internetowej WWW.POLIN.PL/NAGRODA. Ogłoszenie laureatów konkursu odbędzie się 28 października podczas uroczystego finału w Muzeum POLIN.

Ale nie są zapomniani. Jakimś cudem na tym świecie znaleźli się ludzie, którzy z zaangażowaniem, poświęceniem, energią i motywacją dążą do tego, aby pamięć o nich przywrócić. Realizują, być może podświadomie, apel Mariana Turskiego z niezwykle poruszającej przemowy podczas uroczystości z okazji 75. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau: „Nie bądźcie obojętni". Bo to właśnie obojętność była pierwszym krokiem do największych tragedii XX wieku i to właśnie ona stanowi największe zagrożenie dla nas, współcześnie żyjących.

Docieramy więc do niewielkich miejscowości – Grybowa, Koźmina Wielkopolskiego, Mszany Dolnej czy Wasilkowa, do trochę większych – jak Jasło, Chełm, Mielec, Wieluń, Mińsk

Mazowiecki, Kutno czy Nowy Sącz, lub całkiem dużych jak Wrocław, Łódź czy Kraków. Poznajemy tam Kamila i jego ekipę, Pawła, Urszulę i Marka, Mariusza, Ingę, Dorotę, Izę, Agnieszkę, Kasię, Bożenę, Darka, Łukasza, Edytę, Artura oraz Przemka, a także Ulę, Pawła i Magdalenę. Ludzi różnych zawodów, z różnym wykształceniem, w różnym wieku, których łączy jedno: nie są obojętni.

Przemierzając samochodem Polskę wspominamy felieton Zuzanny Radzik z „Tygodnika", w którym zamarzyła sobie, żeby w każdej gminie w Polsce można było spotkać choćby jedną osobę pełniącą funkcję lokalnego przewodnika pamięci. Kogoś, kto umiałby każdego zainteresowanego wprowadzić w historię danego miejsca – nie tę z podręczników czy tablic informacyjnych, ale właśnie w żywą opowieść o ludziach i świecie, który tworzyli. I cieszymy się, że mamy szczęście takich ludzi spotykać. Rozmawiać z nimi, spędzać czas, zaprzyjaźniać się. A potem kierować na nich obiektywy i światła reflektorów. Bo oni sami, robiąc rzeczy absolutnie niezwykłe, wartościowe i nieoczywiste, najczęściej działają po cichu, bez rozgłosu. Tym bardziej wierzymy w mocny głos Nagrody POLIN o nich i dla nich.

Wróćmy jednak na warszawski Muranów: gdy w 2016 r. w Muzeum POLIN podejmowaliśmy decyzję, aby konkurs Nagroda POLIN prowadzony był w formule otwartej, tak aby każdy mógł zgłosić swojego kandydata, obawialiśmy się tylko o jedno: że nie otrzymamy wystarczającej liczby zgłoszeń, aby wyłonić finałową piątkę. Rzeczywistość szybko jednak rozwiała nasze obawy – w pierwszej edycji konkursu otrzymaliśmy ponad 180 aplikacji. Od tamtego czasu corocznie dostajemy ich kilkadziesiąt, czasem nawet więcej.

Błyskawicznie okazało się więc – co jest powodem naszego nieustannego zachwytu – że w całej Polsce, szczególnie w mniejszych miejscowościach, dzieją się rzeczy, o których nie mieliśmy wcześniej pojęcia. Wiele osób, które poznaliśmy już wcześniej, nadal działa i konsekwentnie realizuje następne pomysły, a co roku pojawiają się zupełnie nowe, wspaniałe inicjatywy.

I pewnie każdy chciałby teraz zapytać: „No ale po co?", „Dlaczego to robią?". Zadawałem im to pytanie dziesiątki razy i nadal nie znalazłem jednoznacznej, uniwersalnej odpowiedzi. Najczęściej słyszę: „To był impuls". „Nie mogę się godzić na zapominanie". „Gdy dowiedziałam się, że w moim mieście 1/3 mieszkańców stanowili Żydzi, a dziś nawet śladu po nich nie ma, to coś mną wstrząsnęło".

Trochę rozjaśniła mi tę sytuację Magda Lewkowicz z Mrągowa. Odbierając wyróżnienie w konkursie Nagroda POLIN 2018, ze sceny w audytorium powiedziała: „Stoję tutaj nie dla siebie, stoję dla nich – dla tych, którzy zostali zapomniani w moim małym miasteczku Mrągowo. Mam ze sobą 54 nazwiska mrągowskich Żydów, których znalazłam. I będę szukać dalej, ich historii. I w ich imieniu serdecznie dziękuję za to ogromne wyróżnienie".

Mam też w pamięci słowa, które w Wysokim Mazowieckim mówił Karol Głębocki: „Pamięć jest dla mnie bardzo ważna. Nie wiem, czy pamięć jest pierwszą czy drugą ojczyzną Żydów. To jest bardzo istotne, bo ofiarom Holokaustu, jak powiedział rabin Schudrich, odebrano życie dwa razy. Pierwszy raz, kiedy pozbawiono życia ich ciała, i drugi raz, kiedy odebrano im pamięć".

I często myślę o słowach, które powiedziała Natalia Bartczak, laureatka konkursu Nagroda POLIN 2019: „Jeśli moja osoba zainspirowała kogoś do popatrzenia za okno i dostrzeżenia tego, co zapomniane na swojej ulicy, dzielnicy, w mieście i poza nim, to jest to dla mnie największa nagroda".

Jeśli dotychczasowi finaliści konkursu Nagroda POLIN zainspirowali kogoś do podjęcia jakichkolwiek działań, jest to zarówno dla mnie, jak i dla całego Muzeum POLIN największa nagroda. A każda podróż zmienia człowieka. Dlatego razem z Patrykiem i Maćkiem z radością zapakujemy sprzęt do samochodu i chętnie Was odwiedzimy. ©

MACIEJ JAŻWIECKI / / MATERIAŁY PRASOWE POLIN

RADOSŁAW WÓJCIK
od 2016 r. jest kierownikiem konkursu Nagroda POLIN. W Muzeum POLIN zajmuje się koordynacją kampanii promocyjnych, organizacją i komunikacją wydarzeń kulturalnych – głównie muzycznych i literackich. Absolwent Szkoły Głównej Handlowej i studiów podyplomowych na kierunku Dyplomacja Kulturalna na Uniwersytecie Jagiellońskim.

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 33/2024
REDAKCJA: Michał Sowiński | PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
GRAFIKA NA OKŁADCE: Pracownia Witryna / Muzeum POLIN

Mecenasem konkursu **Nagroda POLIN 2024** i gali finałowej jest Jankilevitsch Foundation.

ORGANIZATORZY:

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Wspólna instytucja kultury

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Warszawa

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Projekt realizowany ze środków Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych

Federalne Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Sponsor strategiczny Muzeum

tvn WARNER BROS. DISCOVERY

Oficjalny przewoźnik Muzeum

POLSKIE LINIE LOTNICZE LOT A STAR ALLIANCE MEMBER

HISTORIA

ROSYJSKIE ZAGROŻENIE NAS JEDNOCZY

ALVYDAS NIKŽENTAITIS, LITEWSKI HISTORYK:

Przyznaję, że kiedyś, za młodu, byłem polonofobem.

ZBIGNIEW ROKITA: W 1861 r., w rocznicę Unii Krewskiej, Polacy i Litwini zorganizowali ostatnią wielką manifestację jedności Rzeczypospolitej Obojga Narodów: w Kownie na ulice wyszło 20 tys. ludzi. Dwa lata później Litwini i Polacy walczyli razem w powstaniu styczniowym o wspólne państwo. Ale kolejne pokolenie Litwinów myślało już w kategoriach litewsko-narodowych. Jak doszło do tej zmiany?

ALVYDAS NIKŽENTAITIS: Litwini urodzeni w latach 60. i 70. XIX w. różnili się od swoich ojców. To pokolenie nazywamy Młodolitwinami: oni chcieli własnego litewskiego państwa, a nie, jak wcześniej Starolitwini, odbudowy wspólnego kraju z Polakami. Młodolitwini uznali, że głównym przeciwnikiem w ich walce o niepodległość są Polacy.

Polacy, nie Rosjanie?

Młodolitwini uważali, że muszą się odróżniać od Polaków. Rozumieli, że cechą litewskości jest litewski język. Tymczasem w tamtym czasie ogromna część litewskiego społeczeństwa – i warstwy wyższe, i niższe – była spolonizowana i posługiwała się polskim.

Ponadto już w czasie powstania styczniowego w obu naszych narodach wielu ludzi zrozumiało, iż niepodległości Polski i Litwy nie uda się wywalczyć bez wsparcia chłopów. Dlatego litewskie odrodzenie było sprawą nie tylko narodową, ale i socjalną. Trzeba było przekonać chłopów, że są częścią narodu litewskiego. Ale początkowo dało to marny efekt, bo szlachta nie była gotowa na poważne reformy.

Chłopi myśleli bardziej w kategoriach socjalnych niż narodowych?

Zgadza się. Młodolitwini ubolewali, że mają nawet problem ze znalezieniem żon, bo brakowało świadomych narodowo Litwinek z wyższych klas. Mogli żenić się albo z polskimi szlachciankami, albo w imię ideałów pozostać kawalerami. Czasem żenili się z litewskimi chłopkami, ale musieli je kształcić. Jeden z nich opisywał później, że za każdym razem, gdy kładł się z żoną do łóżka i zaczynał ją uczyć, po chwili zauważał, że zasnęła.

Młodolitwini używali języka, który dla chłopów był niezrozumiały. To jest wielka różnica między Litwą a Polską tamtych czasów. Nowopolacy, jak Roman Dmowski, takiej językowej bariery nie mieli.

Gdyż litewski przez stulecia ustępował miejsca polskiemu i trzeba było go odrodzić, skonstruować na nowo?

Język litewski ustandaryzował się tak naprawdę dopiero na początku XX w., a ostatecznie po powstaniu Republiki Litewskiej po I wojnie światowej. Podam taki przykład: Litwa się odradza i potrzebuje obywateli, którzy będą gotowi walczyć za jej niepodległość, wciąż niepewną. Ksiądz Mykolas Krupavičius przemawia po litewsku do chłopów w Kownie, wzywając, by wstępowali do wojska. Mało kto odpowiada na jego apel. Ale gdy następnie to samo przemówienie powtarza w Wilnie po polsku, odzew jest znacznie większy. Dla chłopów najważniejsze było otrzymanie ziemi, a nie język. Litewska droga do stworzenia nowoczesnego narodu i państwa była trudniejsza niż polska.

Czy często to przypadek decydował, że ktoś będzie Polakiem, a ktoś Litwinem? Przykładem bracia Narutowiczowie: Gabriel został prezydentem Polski, a Stanisław politykiem litewskim i sygnatariuszem aktu niepodległości Litwy.

Czasem było to jeszcze bardziej skomplikowane i trzeci brat zostawał działaczem białoruskim. Podzielonych rodzin było wiele.

Czy w 1919 r. Piłsudski walczył o Wilno jako polski nacjonalista, czy jako – jak Pan go określa – Starolitwin, pragnący odrodzić wspólne polsko-litewskie państwo?

On był Starolitwinem, krajowcem. Inwokacja do „Pana Tadeusza", gdzie Mickiewicz pisze „Litwo, ojczyzno moja", brzmiała dla niego zupełnie naturalnie. Nie wiem, czy jego odezwa ↦

Józef Piłsudski, Warszawa, 1920 r.

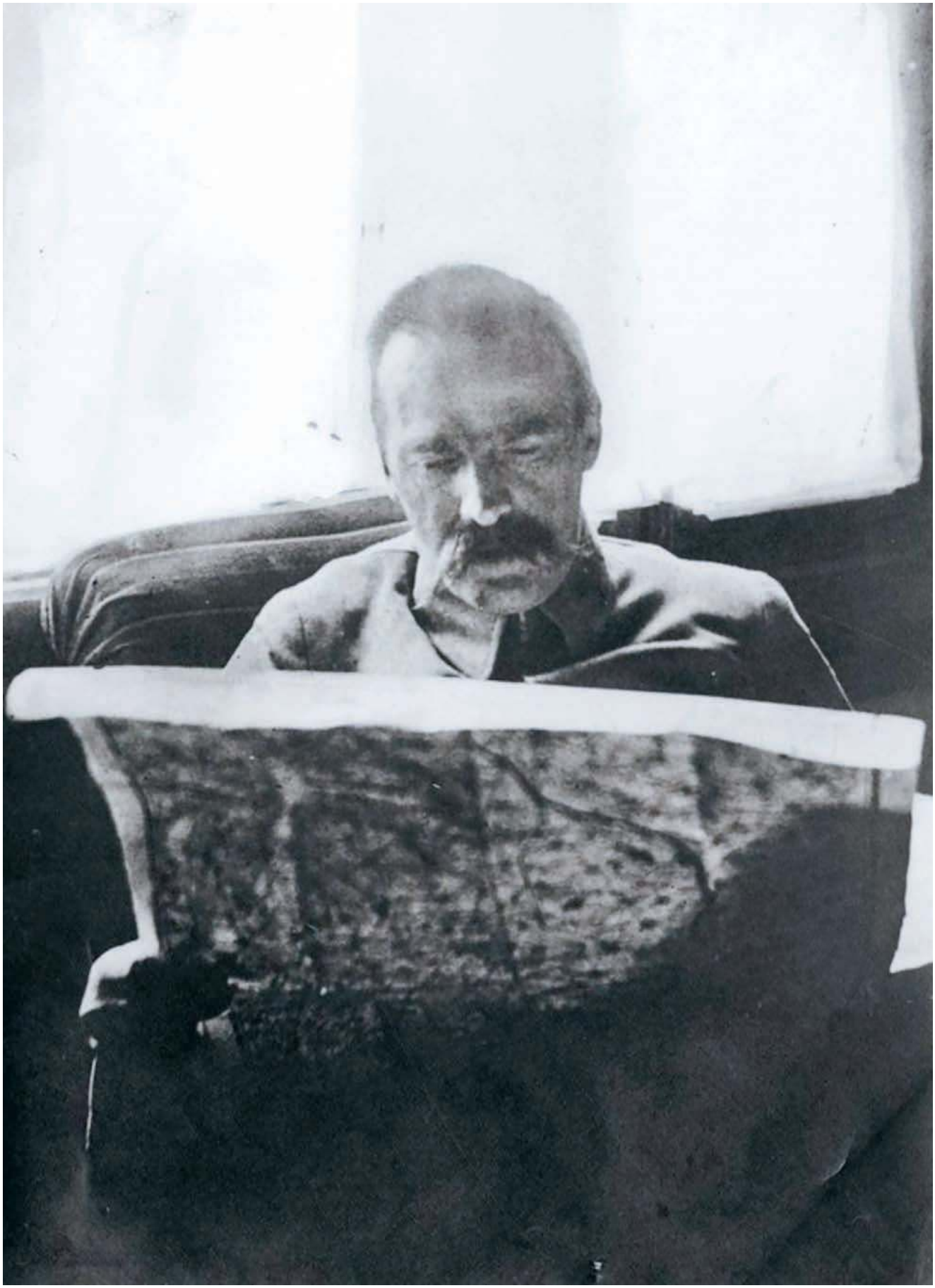

UTCON COLLECTION / PAP

↦ „Do mieszkańców byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego" – wydana wiosną 1919 r. po zajęciu Wilna przez polskie wojska, w której przedstawiał się nie jako okupant, lecz wyzwoliciel – była szczera, czy też była zabiegiem politycznym. Wiem jednak, że do końca życia wierzył, iż uda się stworzyć konfederację narodów Wielkiego Księstwa Litewskiego i byłego Królewstwa Polskiego.

Historyk Alfredas Bumblauskas propaguje ideę, że tamten konflikt o Wilno miał znamiona wojny domowej. Uważa, że w pierwszej kolejności był to nie konflikt polsko-litewski, lecz między dwoma historycznymi tradycjami: Młodolitwinami i Starolitwinami. Bumblauskas wzywa Litwinów do zastanowienia się, czy pochodzący z Wileńszczyzny Lucjan Żeligowski rzeczywiście był okupantem. Co Pan o tym sądzi?

Tamten konflikt miał elementy wojny domowej. Gdyby ich nie było, to dlaczego po 1921 r. Polska nie okupowała całej Litwy? Miała przecież wystarczające siły, by to zrobić.

Właśnie, dlaczego Piłsudski nie zajął całej Litwy, lecz tylko Wileńszczyznę?

On nie był polskim nacjonalistą. Według definicji z początku XX w. nie był nawet w pełni Polakiem. On był przekonany, że okupacja całej Litwy oznaczałaby pogrzebanie planów konfederacji. Nie chciał zrażać ludzi, z którymi planował budować jedno państwo. Dlatego nie zrobił tego, co normalnie robiło się w tamtych czasach. Inaczej nie umiem wyjaśnić postawy Piłsudskiego.

Gdyby na jego miejscu na czele państwa był Dmowski, może zająłby całą Litwę.

Spekulujemy, ale zgadzam się.

Dlaczego Litwini, przejmując w 1939 r. Wilno od Sowietów, postawili przy grobie matki Piłsudskiego, gdzie złożone jest też jego serce, wartę honorową?

Po śmierci Piłsudskiego w 1935 r. polskie władze zaostrzyły politykę wobec Litwy, zaczęły stawiać ultimata. To uświadomiło jej władzom, że może marszałek nie był taki najgorszy. Poza tym wówczas uważano, że także grobom nieprzyjaciół należy się szacunek.

NATIONAL MUSEUM OF LITHUANIA / DOMENA PUBLICZNA

Taryba (Litewska Rada Państwowa), która 16 lutego 1918 r. ogłosiła niepodległość Litwy. Na jej czele stał Antanas Smetona (pośrodku), późniejszy wieloletni prezydent Republiki Litewskiej. Wilno, 1917 r.

Czy na Litwie Piłsudskiego odbiera się podobnie jak Jagiełłę: jako Litwina, który zdradził i przeszedł na stronę Polski?

W momencie, gdy w 1990 r. odradzało się państwo litewskie, wielu Litwinów patrzyło na Jagiełłę raczej jak na głupca. Natomiast Piłsudski był wtedy postrzegany u nas nie tyle jak zdrajca, lecz zbrodniarz. Dla wielu podobny do Hitlera i Stalina.

Mimo że porównywanie Hitlera i Stalina z Piłsudskim to absurd?

Na Piłsudskiego długo patrzono przez pryzmat zajęcia przez Żeligowskiego w 1920 r. litewskiej stolicy, Wilna.

Jeszcze kilkanaście lat temu na poczcie głównej w Wilnie można było kupić koperty z serii największych zbrodniarzy XX w. Wśród nich: Hitler, Stalin i Piłsudski. Rozumiem, że dziś to już nie do wyobrażenia?

Tak, zaszła znaczna zmiana. Po 1990 r. Wilno i Warszawa stopniowo zauważały, jak wiele mają wspólnych celów: od chęci integracji z NATO i UE po podobne postrzeganie Rosji. Współpraca pomagała weryfikować stereotypy. Na Litwie odbyło się wiele debat prowadzących do rewizji wcześniejszych poglądów.

Zmiana postrzegania Piłsudskiego wśród Litwinów to dobry przykład, jak zmieniło się w ogóle nasze społeczeństwo. Podam przykład. Przy ministrze spraw zagranicznych Linasie Linkevičiusie [urzędował w latach 2012-20 – red.] funkcjonowała nieformalna rada polityków i historyków, dyskutowaliśmy m.in. o rocznicach. Zbliżał się rok 2017 i 150-lecie urodzin Piłsudskiego. Zastanawialiśmy się, czy udawać, że tej daty nie widzimy.

Historycy zaproponowali, by zrobić z Polakami wspólną konferencję intelektualistów, jednak baliśmy się, jak zareaguje społeczeństwo. Dlatego przeprowadziliśmy eksperyment. W Bibliotece Narodowej zorganizowaliśmy publiczny wykład o Piłsudskim, który miał wygłosić Adam Michnik – dla wielu Litwinów twarz Solidarności i jedna z osób, z którymi zawsze można rozmawiać. Dostawaliśmy sygnały z MSZ, że musimy być ostrożni, bo szykują się pikiety. Nic takiego się jednak nie stało. Zamiast tego wielka sala pękała w szwach, nawet prokurator generalny musiał stać. Odbiór był pozytywny. Ale politycy nadal bali się tej rocznicy. Zwłaszcza że na kilka miesięcy przed planowaną konferencją o Piłsudskim w Polsce zaczęło się głosowanie na temat grafiki do nowych paszportów...

Latem 2017 r. polskie MSWiA ogłosiło plebiscyt na wybór grafik mających znaleźć się w paszportach.

Wśród opcji były m.in. Ostra Brama i Cmentarz Orląt Lwowskich.

Skomentowałem to wówczas w telewizji słowami Piłsudskiego: „Polska jest jak obwarzanek – wszystko najlepsze jest na obrzeżach". Zadzwonił do mnie Valdas Adamkus [prezydent w latach 1998-2003 i 2004-09] i powiedział, że nie myślał, iż Polacy mogą się tak zachować, i że musimy zareagować. Szef MSZ odwołał swój list powitalny dla uczestników konferencji, którą planowano na grudzień. Nasi politycy chyba wciąż boją się stereotypów historycznych, które dla społeczeństwa są już nieaktualne.

Ale konferencja doszła do skutku?

Tak, choć dostałem znów telefon z MSZ, że planowane są pikiety i będziemy potrzebować więcej policji.

I były pikiety?

Znowu nie.

Konferencja miała tytuł: „Bez emocji. Polsko-litewski dialog o Józefie Piłsudskim". Po co ją zorganizowaliście?

Spytałem o to przed konferencją Tomasa Venclovę, a on odrzekł: „Chciałbym, żeby Litwini nie porównywali już Piłsudskiego do Hitlera i Stalina".

Pierwszego dnia na sali nie było żadnego polityka. Jednak gdy my rozmawialiśmy, Vytautas Landsbergis [prezydent w latach 1990-92] złożył kwiaty na cmentarzu na Rossie przy sercu Piłsudskiego, a nasza telewizja wyemitowała film o „cudzie nad Wisłą" i zwycięstwie Piłsudskiego w 1920 r. Nazajutrz już jedna trzecia sali była zajęta przez litewskich polityków.

Oddźwięk konferencji był nadzwyczajny. Okazało się, że możemy dyskutować. I zauważyliśmy, że stosunek litewskiego społeczeństwa do Piłsudskiego wcale nie jest tak krytyczny. Wcześniej próby upamiętnienia go na Litwie kończyły się fiaskiem, a teraz okazało się, że tych emocji już nie ma.

Czy takie upamiętnienia się pojawiły? Wiem o jednym: w kwietniu 2017 r. z prywatnej inicjatywy postawiono w miejscu jego urodzin, Zulowie, obelisk dla braci Bronisława i Józefa Piłsudskich. Jednak tylko po litewsku i z błędami.

MATEUSZ GROCHOCKI

PROF. ALVYDAS NIKŽENTAITIS (ur. 1961) jest dyrektorem Instytutu Historii Litwy w Wilnie, współzałożycielem i dyrektorem Centrum Historii Prus i Litwy Zachodniej przy Uniwersytecie Kłajpedzkim. Po polsku ukazała się jego książka „Witold i Jagiełło: Polacy i Litwini we wzajemnym stereotypie". Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP.

To był pierwszy na Litwie pomnik Piłsudskiego, a dokładniej rodziny Piłsudskich. Wystawili go Żmudzini.

Często zwiedzam miejsce jego urodzin. Zawsze mnie dziwiło, że wcześniej nie było żadnej tabliczki w miejscu, gdzie przyszedł na świat. Gdy przyjechałem tam rok po konferencji, wciąż, poza tym jednym upamiętnieniem, nic nie pisano o Piłsudskim. Później udali się tam nasi dziennikarze z dużego portalu i opisali, w jak złym stanie jest to miejsce. Nagle okazało się, że człowiek, o którym wydawało się, że zawsze będzie krytycznie postrzegany przez Litwinów, stawał się coraz ważniejszy. Ale na postrzeganie Piłsudskiego wpłynęło przede wszystkim coś innego...

Co takiego?

Zagrożenie ze strony Rosji. Dziś coraz ważniejsza jest pamięć zwycięstwa Piłsudskiego nad bolszewikami w 1920 r. Historycy litewscy ustalili, że gdyby Armia Czerwona pokonała wtedy Polaków, Moskwa miała już wszystko przygotowane, aby na Litwie przeprowadzić przewrót. Wówczas Litwa już w roku 1920 stałaby się częścią bolszewickiej Rosji.

Czy społeczeństwo litewskie wie, że w 1920 r. Litwini umożliwili wojskom bolszewickim przemarsz przez swoje terytorium podczas ataku na Polskę? Przecież, jak dziś wiemy, w ten sposób jakby podpisywali na siebie wyrok śmierci.

Tak. Mówił o tym wspomniany litewski film o „cudzie nad Wisłą": ostrzegał, aby mylnie nie przypisywać komuś, w tym przypadku Polsce, roli wroga, i nie przeoczyć prawdziwego przeciwnika – Rosji.

A jak dziś widzi się Piłsudskiego?

Jedni mówią: on był tutejszy, był Żmudzinem, choć zapomniał o żmudzińskich korzeniach. Landsbergis składał kwiaty w 2017 r. przy jego sercu wraz z przedstawicielami środowisk żmudzińskich. Inni zwracają uwagę, że pokonując bolszewików w 1920 r., uratował także państwowość litewską. Jeszcze inni, że był mniejszym złem, bo gdyby władzę w Polsce objął Dmowski, los Litwy mógłby być gorszy.

Większość ma dziś do niego neutralny stosunek. Litwini uważający Piłsudskiego za zbrodniarza porównywalnego do Hitlera są dziś nie w głównym nurcie, lecz na marginesie.

A jak u Pana zmieniał się pogląd na marszałka?

Urodziłem się w 1961 r. w litewskiej miejscowości, gdzie nie było żadnego Polaka. Od dziecka słyszałem, że Polakom pod żadnym pozorem nie można wierzyć, że Polacy to zło. Na uniwersytet trafiłem jako litewski nacjonalista i polonofob. Zająłem się tam średniowieczem i trafiłem na profesora Edvardasa Gudavičiusa. Uczył nas tak, jak ja później obiecałem sobie uczyć studentów: spotykaliśmy się i dyskutowaliśmy godzinami. Wytrącał mi argumenty z rąk, a ostatecznie zrobił ze mnie polonofila.

Że Polacy są dobrymi ludźmi, zrozumiałem w styczniu 1991 r., podczas wydarzeń przy wieży telewizyjnej w Wilnie. Tej nocy, gdy wojska sowieckie zamordowały kilkunastu Litwinów broniących niepodległości, byłem u przyjaciela w Toruniu. Za swoje ostatnie pieniądze kupił dla nas, Litwinów, pudło leków. Takich przykładów solidarności było więcej.

W Wilnie będzie kiedyś ulica Piłsudskiego?

Ja tego nie doczekam. A pan... chyba też nie.

© Rozmawiał w Wilnie ZBIGNIEW ROKITA

MATERIAŁY PRASOWE

Tańce na weselu, Stanisławów, Rawskie, lata 50. Zbiory fundacji Muzyka Odnaleziona.

Nietrwałe ślady, życiodajne słowa

EWA GROCHOWSKA

Nie ma opowieści nieważnych. Historia rodzinna, pieśń z wesela czy fotografia talerza w zbiorach archiwów społecznych niosą w sobie okruchy naszych doświadczeń, stając się unikatowym zapisem przeszłości.

Półmisek jest porcelanowy. Nie ma wyrafinowanych zdobień i złoceń, jego dekoracyjny charakter tworzą rozchodzące się symetrycznie po białym owalu kobaltowe linie – gałązki, zakończone roślinnymi ornamentami.

Proste, codzienne piękno. Daleko mu do jego filigranowych krewnych, stawianych na stole tylko przy wyjątkowych okazjach, by podziwiać, jak przez ich cienkie ścianki przenika światło. Ten jest solidny, ma grube dno. Ręka nawykła do chwytania uszek filiżanek i mleczników męczy się trochę, niosąc go z kuchni do pokoju stołowego. Najprawdopodobniej pojawiał się na stole w każdą niedzielę. Zimą gościła na nim soczysta pieczeń lub kaczka z chrupiącą skórką, na przedwiośniu postne szare kluski – na Wielkanoc ich miejsce zajmowały jajka faszerowane. Latem – delikatne szparagi, a jesienią oczywiście knedle ze śliwkami.

Oczywistość knedli wynika nie tylko z pory roku, ale również z widniejącej na spodzie półmiska sygnatury, przenoszącej nas w czasie i lokującej w konkretnej przestrzeni.

W 1845 r. Carl Tielsch założył fabrykę porcelany w Altwasser. Z biegiem lat zapotrzebowanie na wysokogatunkową porcelanę zmalało. Wybuchła II wojna światowa.

Półmisek przyjechał więc z niemieckim kucharzem wojskowym do małej wsi na Kielecczyźnie. Kiedy żołnierze wraz z przesuwającym się frontem opuścili wreszcie zajęty na kwaterę dom moich dziadków, babcia dostała od kucharza na pamiątkę półmisek. Ten właśnie.

„To jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie mam" – mawiała nieraz, stawiając go na świątecznym stole. Jakby nie pochodził z tamtego strasznego czasu, o którym często – na moją prośbę – opowiadała.

Gdyby przepuścić dzieje społeczne i polityczne ostatnich stu lat poprzez historie samych tylko talerzy i naczyń, odtworzylibyśmy wiele momentów szczęścia, dostatku, sytości, ale nie udałoby się nam uniknąć opowieści o wojnie, wysiedleniach, tułaczce, cierpieniu i strachu. Na portalu zbioryspoleczne.pl wpisałam słowo „talerz" w wyszukiwarkę. Pokazały się zdjęcia i wzmianki o talerzach pamiątkowych i dekoracyjnych, porcelanowych zastawach znajdowanych w domach opuszczonych przez wysiedlanych po II wojnie światowej Niemców, oraz o naczyniach robionych w obozie z blaszanych puszek. Obok relacji o obozowych miskach mamy powojenne zdjęcie dzieci jedzących obiad z porcelanowych talerzy. Zostało

MATERIAŁ PRMOOCYJNY

zrobione w Hrubieszowie w 1955 r. i przekazane do archiwum społecznego prowadzonego przez miejską bibliotekę; im dłużej się w nie wpatruję, tym więcej pytań rodzi się w mojej głowie. Czy fotografia została wykonana na zamówienie władz dla celów propagandowych? Czy zupa była dobra? Czy pozwolono dzieciom dojeść ją do końca? Kto pożyczył „do zdjęcia" talerze? A może jednak były na wyposażeniu przedszkola?

Urodziłam się na wsi, w moim domu rodzinnym zachowało się po przodkach niewiele pamiątek, w zasadzie tylko kilkanaście przedmiotów. Przetrwały przesiedlenia i pożary, a czasem także brak troski lub zainteresowania swoich właścicieli. Każdy przedmiot opowiada coś, co wychodzi już poza niego i prowadzi do wydarzeń i osób, o których nie za dużo wiem. Znam tylko małe fragmenty większych, ale zapomnianych już wspomnień. Może dlatego tak pieczołowicie i drobiazgowo zabezpieczam pamiątki innych ludzi – nawet najmniejsze i najsłabiej widoczne ślady, okruchy, pojedyncze zwrotki starych wiejskich pieśni. Jedno zdjęcie, jeden obrazek, kawałek haftu, ornament, symbol wyrzeźbiony na nicielnicy skrywają w sobie nie tylko pojedyncze obrazy z życia ludzi, ale całe sagi i światy.

A co, jeśli jedynym śladem są słowa?

Kiedy po raz pierwszy wiele lat temu spotkałam się z terminem „historia mówiona", odniosłam ją w pierwszym momencie do moich dziadków i ich pokolenia. Wychowałam się na ich opowieściach. Wszystko, o czym słyszałam i czytałam w wersji „oficjalnej" – uczonej w szkole – odruchowo odnosiłam właśnie do nich, weryfikowałam fakty, przypominając sobie opowiadane przez nich wątki. Do dzisiaj mam szczególny rodzaj zaufania do tego, co i w jaki sposób mówią ludzie. Czasem jest ono nawet większe niż do dokumentów notarialnych, zważywszy, że wiele osób urodzonych przed wojną, pytanych o datę urodzenia, podaje dwie: jedną „prawdziwą", drugą „zapisaną w papierach".

W POLSCE DZIAŁA NIEMAL 800 ARCHIWÓW SPOŁECZNYCH.
Zajmują się zbieraniem starych zdjęć, relacji historii mówionej oraz dokumentów dotyczących danej społeczności. Opracowują i udostępniają swoje zbiory, a Centrum Archiwistyki Społecznej wspiera je w tych działaniach.

Moje prababcie najprawdopodobniej nie umiały pisać, ich świat był mówiony. Pradziadkowie ze strony taty – być może, ponieważ obydwaj na przełomie XIX i XX wieku wyjechali do Ameryki za pracą. Musieli i pewnie chcieli się jakoś przygotować do spotkania z „wielkim" światem.

Słowa mają właściwość kreacji i komunikacji, żyją, kiedy są wypowiadane. Odpowiednio dobrane i ułożone – także w tekście pisanym stają się żywą opowieścią. „To są melodie wzięte z ludzkich ust" – mawiał legendarny klarnecista Stanisław Witkowski z Opatowa (1933-2022), opowiadając o granej przez siebie muzyce, odziedziczonej po poprzednich pokoleniach wiejskich muzyków i śpiewaczek. Ta kultura muzyczna nie była zbiorem anonimowych utworów. Nawet jeśli nie znano autora czy autorki pieśni bądź melodii, to wiedziano, kto ją poniósł w świat, w czyim wykonaniu brzmiała najpełniej, najlepiej.

Ludzka praca, twórczość, przekazy i rzeczy zasługują na udokumentowanie, chociaż w pewnym momencie naturalną koniecznością staje się wybiórczość. Nie jesteśmy w stanie opowiedzieć w całości każdej historii, nawet swojej własnej. Pamięć wybiera, odsiewa, skazuje na zapomnienie lub ocala, daje nowe życie.

W szczególny sposób dotyczy to wsi, jej dziedzictwa materialnego i duchowego – dorobku tysięcy ludzi, dziesiątek pokoleń. Po wielu z nich nie został najczęściej żaden ślad w postaci dokumentów czy w ogóle – odnotowanego gdziekolwiek istnienia (praca nad genealogią rodzin chłopskich w niektórych regionach Polski bywa zadaniem ponad siły nawet dla najbardziej zapalonego badacza).

Nie ma opowieści nieważnych, chociaż kiedy zaczynamy przeglądać archiwa (szczególnie cyfrowe), może ogarnąć nas znużenie. Wiele wątków jest do siebie bardzo podobnych, bywa, że narracje się urywają, plączą. Słuchamy ludzi mówiących gwarą albo językiem „niedzisiejszym", pełnym niezrozumiałych już metafor. To może nas zachwycać i zachęcać do dalszych poszukiwań, ale również skłaniać do poddania się, kiedy poznawany przez nas świat jest zbyt trudny do ogarnięcia wyobraźnią.

Dlaczego dwudziesta opowieść o dawnym wiejskim weselu jest tak samo ciekawa i godna uwagi jak pierwsza? Ponieważ nie tylko chronologia, detale i fakty etnograficzne są ważne, ale sam akt przekazu, emocje, zawahanie głosu, momenty ciszy. To one dają nam dostęp do jedynej i niepowtarzalnej wersji historii, jaka przydarzyła się wielu osobom.

A każdej z nich – w inny sposób. ©

Pełną wersję eseju znaleźć można na portalu **Zbiory Społeczne** w sekcji **„Zanurz się w źródłach"**, gdzie znajdują się autorskie materiały oparte na opowieściach ze zbiorów archiwów społecznych. Portal prowadzi Centrum Archiwistyki Społecznej. Więcej na **ZBIORYSPOLECZNE.PL**.

EWA GROCHOWSKA – *pieśniarka, skrzypaczka i słuchaczka opowieści o dawnym wiejskim świecie. Autorka tekstów, badaczka rytuałów, nauczycielka śpiewu tradycyjnego.*

centrum archiwistyki społecznej
zbioryspoleczne.pl
Instytucje współprowadzące Centrum Archiwistyki Społecznej:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Ośrodek Karta

NAUKA

CZEKAJĄC NA ZNIEBAZSTĄPIENIE

Wyrok już zapadł.
Firma SpaceX podpisała umowę na sprowadzenie Międzynarodowej Stacji Kosmicznej z orbity.
Największe kosmiczne laboratorium ludzkości ma zakończyć żywot pod koniec dekady.
Ale nie wszyscy się z tym godzą.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

NASA.GOV

W przebijaniu baloników jest coś z prostej, dziecinnej radości. A inżynierowie z firmy Sierra Space mieli na początku czerwca okazję przebić najbardziej osobliwy balon świata.

Biały, walcowaty twór o rozmiarach domu jednorodzinnego dzielnie opierał się, gdy zespół pompował w niego ogromne ilości powietrza. W końcu, gdy ciśnienie wewnątrz pięciokrotnie przewyższyło atmosferyczne, konstrukcja eksplodowała, podrywając tumany kurzu.

Wybuchający balon był prototypem kosmicznego modułu, który ma się stać kluczowym elementem stacji kosmicznej przyszłości. Sierra Space chce z podobnych, kevlarowych balonów zbudować stację, która będzie większa, tańsza i użyteczniejsza od wszystkich, jakie powstały do tej pory. Eksperymenty mają upewnić inżynierów, że umieszczenie astronautów w kosmicznym balonie jest bezpieczne. Pierwsi mogliby zamieszkać w nadmuchiwanej stacji już za trzy lata.

Akurat, żeby z orbity obejrzeć niezapomniany pokaz kosmicznych fajerwerków.

Śmierć wspomagana

Pokazem tym będą ostatnie chwile największego orbitalnego laboratorium, jakie stworzyła ludzkość. Licząca już 24 lata Międzynarodowa Stacja Kosmiczna (ISS) dobiega kresu swoich dni. Amerykańska Agencja Kosmiczna (NASA) podpisała właśnie umowę na budowę holownika, którego jedynym zadaniem będzie bezpieczne unicestwienie ogromnej konstrukcji.

Statek kosmiczny, na który firma SpaceX dostanie 843 mln dolarów, będzie wzmocnioną wersją od lat latającej na ISS kapsuły Dragon. Uda się on na stację wkrótce po przybyciu na jej pokład ostatniej załogi. Po zacumowaniu holownika i sprawdzeniu go przez astronautów, kontrolerzy ISS rozpoczną operację anihilacji stacji.

Będzie konieczna, choć ISS spadłaby na Ziemię sama. Stacja wbrew pozorom nie znajduje się całkiem poza ziemską atmosferą. Na wysokości 400 km cząsteczek powietrza jest wciąż dostatecznie dużo, by stale spowalniać ją i ściągać w stronę Ziemi. Dlatego raz w miesiącu astronauci odpalają silniki jednego z zacumowanych do niej pojazdów, by podnieść jej orbitę. Inaczej stacja spadłaby – gdzieś – w ciągu roku czy dwóch.

Międzynarodowa Stacja Kosmiczna od ćwierć wieku jest naszym głównym źródłem wiedzy na temat mikrograwitacji.

ISS porusza się po niemal kolistej orbicie, której rzut na mapę Ziemi przypomina sinusoidę sięgającą od środkowej Polski na północy po Patagonię na południu. Pozbawiona kontroli stacja mogłaby rozbić się w dowolnym punkcie tego zakresu. Kontrolowane zepchnięcie jej z orbity ma zmniejszyć ryzyko dla ludzi na Ziemi.

Zagrożenie wcale nie jest hipotetyczne. 8 marca tego roku cylindryczny obiekt przebił sufit i podłogę domu w Naples na Florydzie. Były to pozostałości palety pełnej starych baterii, trzy lata wcześniej wyrzuconej ze stacji. W 1978 r. szczątki radzieckiego satelity szpiegowskiego Kosmos 954 spadły na Kanadę, rozsypując znajdujący się na pokładzie uran. A w rok później kawałki amerykańskiej stacji Skylab spadły na australijskie hrabstwo Esperance. Nikt nie odniósł ran, ale władze ukarały NASA mandatem w wysokości 400 dolarów australijskich za zaśmiecanie terenu. Podobnych incydentów było zresztą znacznie więcej.

Rok 2030

Tym razem ma być inaczej. Po opuszczeniu stacji przez ostatnią załogę jej orbita będzie się naturalnie obniżać przez kolejnych 6 miesięcy. Dopiero wtedy kontrolerzy lotów odpalą zdalnie silniki holownika, który ma sprowadzić stację na Ziemię w wąskim korytarzu o długości około 2 tys. km, wyśrodkowanym na najbardziej oddalonym od lądu punkcie Pacyfiku, znanym jako „punkt Nemo". To astronomiczne cmentarzysko – na dnie oceanu leży już tam niemal 300 pojazdów kosmicznych, w tym szczątki radzieckiej stacji Mir, sprowadzonej na Ziemię tuż po uruchomieniu ISS.

Upadek Mira widzieli jedynie plażowicze na Fidżi. Tym razem mogą być ostatnimi ludźmi, którzy na własne oczy zobaczą cztery razy większą od niego ISS. Stacja wpadnie w atmosferę z prędkością 28 tys. km/h. Kiedy ta rozpędzona, 400-tonowa masa znajdzie się ok. 100 km nad Ziemią, metal zacznie się wyginać i rwać.

Większość z elementów ISS nigdy nie wróci na Ziemię. Ogromne temperatury towarzyszące wejściu stacji w atmosferę zmienią krzem i aluminium w plazmę. Ale około 10-20 proc. jej masy, czyli nawet 80 ton złomu, spadnie do oceanu.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, kontrolerzy lotów NASA, Europejskiej Agencji Kosmicznej (ESA) czy Japońskiej Agencji Kosmicznej zapewne będą czuli satysfakcję z dobrze wykonanej roboty. Choć wątpliwe, by czuli radość. ↦

Faktem jednak jest, że stacja wkrótce może się stać niebezpieczna dla astronautów. W swoim opracowaniu NASA podkreśla, że choć wiele z elementów stacji może zostać wymienionych, jej szkielet, czyli moduły znajdujące się na orbicie, dobiegają już końca swoich fizycznych możliwości. Stacja, poddawana wstrząsom, naprężeniom i zwykłemu zużyciu, jest po prostu stara. Jej dalsze naprawianie staje się coraz trudniejsze i coraz bardziej kosztowne.

Poważne sygnały ostrzegawcze pojawiają się od lat. Dotyczą zwłaszcza najstarszych, rosyjskich modułów, takich jak wystrzelona w 1998 r. Zaria stanowiąca trzon całej konstrukcji. Jeszcze w 2021 r. szef rosyjskiej agencji kosmicznej Roskosmos, Władimir Sołowiow, przestrzegał, że ponad 80 proc. systemów na rosyjskiej części stacji przekroczyło planowaną żywotność. Co gorsza, w kadłubie modułu Zaria odkryto pęknięcia, wskazujące na poważne zużycie materiału. „To zła wiadomość. Jest prawdopodobne, że szczeliny będą się rozszerzać" – mówił agencji RIA. Wicepremier Rosji Jurij Borisow zapowiadał już wtedy, że cała konstrukcja nie będzie zdatna do użytku po 2030 r.

Także w 2030 r. mogą się skończyć pieniądze. Właśnie wtedy minie okres rozliczeniowy budżetów ISS przegłosowanych przez amerykański Kongres oraz członków ESA. Możliwe, że Rosjanie porzucą stację jeszcze wcześniej. Kombinacja rosnących geopolitycznych napięć, rosyjskiego kryzysu finansowego i coraz gorszego stanu technicznego elementów ISS może sprawić, że Roskosmos wycofa się z projektu już za cztery lata. To skomplikuje ostatnie lata pracy ISS, bo rosyjskie kapsuły Sojuz i kosmiczne ciężarówki Progres były kluczowymi elementami logistyki stacji.

Dziecko zimnej wojny

Geopolityka była jedną z przyczyn, dla których ISS w ogóle powstała. Stacja, którą dziś znamy, jest dziwnym składakiem pozostałości z dwóch rywalizujących ze sobą zimnowojennych projektów. Amerykańskiej stacji Freedom, której budowę ogłosił jeszcze w 1984 r. Ronald Reagan, i radzieckiego Mir-2, którego budowę nawet rozpoczęto: jego centralnym elementem miał być wykorzystany później na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej moduł Zwiezda.

NASA uzależnia zamknięcie ISS od tego, czy pojawią się alternatywy – prywatne stacje, wynajmowane przez firmy i rządowe agencje na komercyjnych zasadach, jak kosmiczne biurowce.

Gdy zakończyła się zimna wojna, oba projekty skazano na finansową śmierć głodową. W 1993 r. Amerykanie podpisali jednak porozumienie, zgodnie z którym miały zostać scalone. Wymagało to przeprojektowania stacji, ale, poza oszczędnościami, dawało z punktu widzenia USA ogromną korzyść. Doświadczeni rosyjscy inżynierowie kosmiczni, którzy mogliby zaoferować swoje usługi np. Iranowi czy Korei Północnej, dostali coś, nad czym mogliby pracować w pokoju.

Oczywiście, tak złożony międzynarodowy projekt z geopolityką ścierał się przez całą swoją historię. To właśnie polityczne, a nie technologiczne obawy sprawiły, że do tworzenia ISS nigdy nie zaproszono Chin, które ostatecznie zbudowały własną stację. Poważne napięcia na linii Rosja–Zachód, zaognione po inwazji na Ukrainę sprawiły, że Moskwa kilkukrotnie groziła wycofaniem się z projektu i zabraniem Amerykanom możliwości podróżowania na stację na pokładzie kapsuł Sojuz. Ostatecznie jednak rozsądek – i amerykańska gotówka – przekonały ich, że współpraca po prostu się opłaca.

Nieziemskie technologie

Budowa stacji kosztowała wszystkich partnerów około 150 mld dolarów. Jej utrzymanie na orbicie to wydatek rzędu 3-4 mld rocznie. Drogo. Ale trudno dziś znaleźć w świecie nauki kogoś, kto by twierdzić, że te pieniądze zostały wyrzucone w kosmos.

NASA, Roskosmos, ESA, kanadyjska CSA i japońska JAXA zaczęły budowę ISS w 1998 r. W kolejnych latach gościła ona niemal 300 astronautów z 18 krajów (wkrótce do tej listy ma dołączyć Polak, Sławosz Uznański), którzy przeprowadzili niezliczone eksperymenty, przeszło 270 spacerów kosmicznych, a nawet nagrali w kosmosie płytę i teledysk.

Astronauci pracowali nad sposobami wytwarzania nowych leków, sprawdzali zachowanie w nieważkości pająków czy nasion roślin hodowlanych, rozpalali małe, kontrolowane ogniska, by ustalić, jak w kosmicznych warunkach zachowują się płomienie, testowali wreszcie technologie, które już dziś znajdują zastosowania na Ziemi. Czujniki klimatyczne zainstalowane na pokładzie stacji pozwoliły nam dopracować modele opisujące zmiany, jakie przechodzi nasza planeta, przyrządy astronomiczne pozwoliły badać gwiazdy neutronowe czy ciemną materię, a systemy podtrzymywania życia, dzięki którym astronauci mogą pracować we względnym komforcie w środowisku próbującym ich zabić na dziesiątki sposobów, zaowocowały m.in. stworzeniem nowych systemów filtrowania wody.

Najważniejszym z obiektów badań byli jednak sami astronauci. Mikrograwitacja to dla ludzkiego organizmu zjawisko ekstremalne. Bez grawitacji płyny gromadzą się w głowie (stąd napuchnięte twarze kosmicznych załóg), układ krążenia słabnie, kości kruszeją, geny zaczynają dziwnie się zachowywać. Obserwacja zmian w organizmach załogi – i opracowywanie sposobów na walkę z nimi – to coś, co nie tylko pozwoli nam lepiej planować misje w odległe rejony Układu Słonecznego, ale przede wszystkim lepiej zrozumieć nasze całkiem ziemskie choroby. Już dziś dzięki badaniom na ISS korzystamy z nowych terapii na osteoporozę, alzheimera czy choroby układu krążenia. Fakt, że załogi przebywały na stacji wiele miesięcy (rekordziści Mark Vande Hei i Piotr Dubrow spędzili na ISS po roku), pozwolił lekarzom obserwować negatywne zjawiska w czasie rzeczywistym i przez długi okres.

Lęk wysokości

Tym trudniej wielu ludziom pogodzić się z końcem stacji. Jean-Jacques Dordain, były dyrektor generalny ESA, który z ramienia europejskiej agencji nadzorował jej budowę, i były administrator NASA Michael Griffin opublikowali w lipcu list otwarty, w którym apelowali o ocalenie stacji tak, by przyszłe pokolenia mogły wciąż z niej korzystać.

Obaj twierdzą, że ten sam pojazd, który przypieczętuje los stacji, mógłby

zamiast tego wynieść ją na wyższą orbitę, z dala od ziemskiej atmosfery, gdzie stacja mogłaby pozostawać przez dziesięciolecia czy wieki.

„Wyniesienie ISS z jej obecnej wysokości 400 km na orbitę kołową o wysokości 800 km wymaga przyspieszenia jej do około 220 m/s, mniej więcej tyle samo, ile potrzeba do precyzyjnej deorbitacji – piszą administratorzy. – Na większej wysokości czas życia na orbicie wyniósłby wiele dziesięcioleci, dając przyszłym pokoleniom wystarczająco dużo czasu na podejmowanie dotyczących jej dalszego losu decyzji".

W swoim opracowaniu podkreślają jednak, że taki wariant był brany pod uwagę. I odrzucono go głównie ze względów bezpieczeństwa. Co prawda na wysokości 640-680 km stacja mogłaby czekać na nowych lokatorów przez stulecie, a na wysokości 835-875 km przez milenium, ale w praktyce jej żywotność bez załogi byłaby bardzo krótka.

Ryzyko katastrofalnego zderzenia stacji z kosmicznymi śmieciami rośnie drastycznie powyżej 415 km. Chociaż wyższe orbity zapewniają dłuższy teoretyczny czas życia stacji, średni przewidywany czas między katastrofalnymi zderzeniami zmniejsza się z 51 lat na obecnej wysokości operacyjnej do mniej niż czterech lat na dwukrotnie większej wysokości. Zatem prawdopodobieństwo zderzenia, które trwale okaleczy stację lub zmieni ją w kilkaset ton kosmicznego złomu, jest niedopuszczalnie wysokie. W ekstremalnych przypadkach rozpad ISS mógłby doprowadzić do kataklizmicznego zjawiska zwanego „kaskadą Kesslera", w której rozpędzone, metalowe odłamki dosłownie szatkują wszystko, co ludzkość wyniosła w kosmos, pozbawiając nas dostępu do orbity.

Biurowce na orbicie

Ostateczna data końca ISS nie jest jednak jeszcze przesądzona. Nie jest też przesądzone to, że po trzech dekadach ludzkość straci stałą przystań na orbicie. NASA uzależnia zamknięcie placówki od tego, czy w tym czasie pojawią się alternatywy – prywatne stacje stworzone przez korporacje, które mogłyby być wynajmowane przez firmy i rządowe agencje kosmiczne na komercyjnych zasadach, jak kosmiczne biurowce.

To ważne, bo jedyna istniejąca dziś alternatywa dla ISS – przypominająca Mira chińska stacja Tiangong – nie jest dziś łatwo dostępna dla badaczy z Zachodu. Amerykanie i Europejczycy pokładają więc nadzieję w opracowywanych już dziś placówkach, takich jak Orbital Reef, czyli Orbitalna Rafa, będąca projektem wspólnie realizowanym przez należący do Blue Origin Jeffa Bezosa, Sierra Space i Boeinga. Zakłada wyniesienie placówki, której trzon stanowiłyby nadmuchiwane moduły testowane dziś w Nevadzie, zapewniające mnóstwo miejsca dla laboratoriów, fabryk i kosmicznych hoteli. Rafa ma trafić na ziemską orbitę około 2027 r., choć na razie jej twórcy mają problem – podstawowym „autobusem" ją obsługującym ma być budowany przez Boeinga Starliner. A ten, choć po latach nieudanych prób dotarł w czerwcu na ISS, wciąż ma problemy. Dwuosobowa załoga już drugi miesiąc czeka na powrót, bo inżynierowie chcą się upewnić, że szwankujące w drodze na stację silniki manewrowe nie zawiodą po drodze.

Drugi z komercyjnych projektów jest bezpośrednio związany z ISS. Firma Axiom, dziś wożąca na stację komercyjnych astronautów, zamierza w 2026 r. zacząć dołączać do ISS własne moduły. Te, po zakończeniu pracy zasadniczej stacji, miałyby się odłączyć i stworzyć rdzeń nowego kosmicznego laboratorium.

Koniec legendy

Kres ISS będzie stanowić w historii podboju kosmosu ważną cezurę. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będzie wyznaczać moment, w którym orbita Ziemi przestanie być dzikim pograniczem podbijanym przez dzielnych astronautów, pracujących, jak kiedyś wielcy odkrywcy, na zlecenie bogatych rządów. Stanie się zwykłym miejscem pracy dla setek naukowców, inżynierów i pilotów, którzy, jak kiedyś pionierzy na amerykańskim Zachodzie, będą stopniowo zmieniali ją w tętniącą życiem kolonię.

A agencje kosmiczne, zwolnione z obowiązku utrzymywania kosmicznego laboratorium, będą mogły poświęcić swoje siły i środki na podbijanie kolejnych dzikich lądów. Marsa, Wenus, asteroid i jeszcze odleglejszych światów. Tylko najpierw ktoś musi być tym ostatnim, kto na legendarnej stacji wyłączy światło i zamknie śluzę. Być może ocierając łzę.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

NASA TV

Przeboje ISS

- **MUZYKA SFER NIEBIESKICH:** W 2013 r. kanadyjski dowódca stacji Chris Hadfield (na zdj.) wykorzystał czas wolny podczas pobytu na orbicie na nagranie pierwszej w historii płyty z muzyką napisaną i wykonaną w przestrzeni kosmicznej. Na koniec pobytu na stacji Kanadyjczyk opublikował w internecie nagrany na pokładzie teledysk do własnego coveru legendarnego przeboju „Space Oddity" Davida Bowiego.

- **PIĄTY STAN MATERII:** 25 lat temu naukowcy po raz pierwszy wytworzyli piąty stan materii o właściwościach całkowicie odmiennych od ciał stałych, cieczy, gazów i plazm. W 2018 r. astronauci na ISS zdołali wytworzyć tzw. kondensat Bosego-Einsteina (BEC). Może to zapewnić wgląd w podstawowe prawa mechaniki kwantowej.

- **KRYSZTAŁY BIAŁEK:** Eksperymenty z hodowlą kryształów białkowych dostarczyły danych kluczowych dla leczenia wielu chorób, od raka po choroby dziąseł. Obiecującym przykładem jest badanie białka związanego z dystrofią mięśniową Duchenne'a (DMD), nieuleczalną chorobą genetyczną. Terapia na DMD oparta na badaniach przeprowadzonych na stacji jest w trakcie badań klinicznych.

- **NIEWAŻKOŚĆ I ZDROWIE:** Przez cały czas istnienia stacji lekarze na Ziemi monitorowali stan zdrowia astronautów, by zmierzyć złożoność, nasilenie i czas trwania zmian fizjologicznych, które mają wpływ na zdrowie członka załogi w przestrzeni kosmicznej w warunkach mikrograwitacji i po powrocie na Ziemię. Roczny pobyt na orbicie astronauty Scotta Kelly'ego w 2015 i 2016 r. pozwolił naukowcom zmierzyć medyczny, psychologiczny i genetyczny wpływ nieważkości na ludzki organizm – „grupą kontrolną" był Mark Kelly, bliźniak Scotta (także astronauta), który pozostał na Ziemi.

ELIZA

Kącka:
Tu jest darmowo

Autobus 172, jazda powolna, marazmowa, opłotkami generalnego remontu miasta. Odbieram w końcu połączenie i niedyskretnie narzekam. Środowisko, kultura, edukacja, no i rozkopy. Przysłuchuje mi się czujnie staruszka z sąsiedniej pakamery. Ja w kolejną replikę, a ta na cały autobus: „Polska jest w pierwszej piątce". Zamarliśmy. Skończyłam gadkę. „Względem czego?" – pytam. „Polska jest w pierwszej piątce". Drążę: „No, ale że jakiej?". Staruszka na wkurzeniu: „Wszystko od Boga zależy". Gość spod okna: „Ale niech pani powie...". Staruszka zniecierpliwiona: „Po prostu, w piątce". „Nie ma czegoś takiego". Staruszka nachyla się ku niemu, konspiracyjnie: „Dowie się pan po śmierci".

Plac Unii, czekam na autobus. Warszawa w budowie, rozkopana, koczuje się bez gwarancji. Siedzę z plecakiem pełnym książek. Tuż za mną przystaje para. On, wskazując na mnie: „Idziemy, ta czeka na dalekobieżny". Ona: „Skąd wiesz?". „To widać". Pokręcili się, ona przycupnęła przy mnie. On: „Idziemy, to stary przystanek". „Zawsze tu był". „Nie mów »zawsze« w tym mieście". Włącza się staruszka z wiaty: „A co się panu nie podoba?". „Niech pani lepiej powie, czy coś tu jeździ". „Ja mam czas". „Ale po co pani tu siedzi?". „Bo tu jest przystanek". „Ale jeździ tu coś?". „Zawsze". „Jak »zawsze«, jak nic nie jedzie?". „Zawsze tu czekam".

Instytut Onkologii, konsultacje. Dosiadam się do matki z dziewczynką na oko siedmioletnią. „Może książeczkę pooglądaj" – podtyka dziecku. „Nie". „Mam flamastry. Te, co je ostatnio kupiłaś. I pisak z brokatem. Przyniosę krzesełko, będziesz mogła sobie rysować". Mała nie reaguje. Uśmiecham się do matki porozumiewawczo. Ta nie ustaje: „Maniaaa, a może byś mamie narysowała coś ładnego?". Mania wstaje, podchodzi do okna. Matka: „No, jak chcesz". Do mnie: „Pani ma dzieci?". „Aha". „No to pani wie, jakie to trudne". „Uhm". „I tak jest ciężko, a ta nie współpracuje". Podchodzę do małej. „Nie udaje mi się" – mówi. „Jasne". „Mama jest zła, ale obrazki sobie poszły". „?". „Uciekły, jak zaczęłam chorować". „Wiesz, gdzie zwiały?". Wyciąga rączkę: „Widzi pani? Tam, między blokami, przez chwilę była sowa". „Jej!". Posmutniała: „Pani udaje. Pani nie może widzieć moich rysunków. Tylko ja mogę je zobaczyć". Cofnęła się na krzesło.

Rozmowa z Rudą na czacie. „Chcę zobaczyć Kopenhagę" – pisze. Uśmiecham się: „No, mam nadzieję". Właśnie jej napisałam, że tam mamy przesiadkę. „Chcę zobaczyć centrum Kopenhagi". „Tak, układam trasę". „Tylko nie zbaczaj". Płoszę się: „Wiesz, mamy cztery godziny... Nie da się zboczyć". Milczy czatowo. Po chwili: „Dlaczego się nie da?". „No, w tak krótkim czasie i tak niewiele zobaczymy". Ruda: „Bo ty zboczysz". Panikuję: „Co masz na myśli?". Milczy długo. „Chodzi o to, że zgubię drogę?". Odpisuje: „Nie. Jak masz mało czasu, to tracisz". „Aha". „A ja chcę zobaczyć, co trzeba". „No dobra". „Postaraj się tym razem". Milczę. Pytam w końcu: „Masz radę dla mnie?". Myśli, wstukuje: „Nie bój się miejsca, a dostaniesz czas". Proste.

Dzwoni staruszka od ciśnienia: „Pani Elizo, żyje pani?". „Bodaj". „Bo jakoś tak pani nie spotykam". „A wychodzi pani?!". „Ja?! Nie". „Hm, no to jak miałyśmy się spotkać?". „Dobra, dobra, jednak częściej na panią wpadałam". „?". Milczymy obie. Po chwili ona z wyrzutem: „Spałam, gadałam do siebie – i co chwilę pani... A teraz nic". „Przepraszam". „Proszę się poprawić".

Biblioteka Instytutu Badań Literackich. Sama w czytelni, skwar, okno otwarte na Krakowskie Przedmieście. „Pszepani, ej!" – słyszę, ale nie dopuszczam. „Ej, ej, pszepani" – tym razem dociera. Podnoszę oczy: „Pszepani, co to za muzeum?". Z ulicy zagląda przez okno gość z grubsza w moim wieku. „Muzeum?". Wskazuje na gablotki: „No to". „A, to wystawka". „Z jakiej ery?". „Pisma, hehe, tu jest biblioteka". Cień zawodu na twarzy. „Mam jeszcze godzinę do pociągu, chciałem coś dzieckom pokazać". „Ech". Odchodzi. Po chwili znów słyszę: „Pst, pszepani!". Podchodzę. Stoi z synkiem na barana: „Wie pani co, ja bym może synka podsadził, byśmy se weszli. W sumie stary budynek". „No, niemłody". Zawahał się: „Ale jakby co: tu jest darmowo?".

Dzwoni przyjaciółka: „Pozdrowienia z rejsu z butelką!". „O, na spacerze?". „Tak, siedzimy sobie na ławce i ciągniemy". „Jest impreza". „A jak! Pierwsze pół roku za nami". „Ano". „Toastujcie". „Toastujemy w miłym towarzystwie" – chichra się. „?". „Mamy na lewej burcie panów z butelką". „Aaa". „I tak: my butelka – oni butelka, my łyczek – oni łyczek. To jak pływanie synchroniczne, wiesz". „Haha". „A przed nami morze piasku". „Y?". „Piaskownica czyli. Ale wiesz, na takim rejsie to się włączają skojarzenia... I tak jakby kontemplujemy". Melancholia stepów osiedlowych.

Noc późna, telefon. Numer matki, odbieram z lękiem. „Cześć" – ojciec w słuchawce. „Co się dzieje?". „Gdzie?" – pyta przejęty. „Myślałam, że u was". „U nas? A gdzie my jesteśmy?". „W Lidzbarku. A jestem w Warszawie, tato". „Możliwe". Pauza, szuranie, pogłos podwórka. Na Warmii lepiej słychać interior. „Wy mi tak ciągle mówicie – spoważniał – ale to nie tak". „Aha". „Zapamiętaj: wszyscy siedzimy tu przy stole". „Dobrze". „Ty też. Zapamiętaj, bo ja zaraz zapomnę". Zapłakał. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi" od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika" są niezależne, redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika"

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

KULTURA

CO ON SOBIE WYOBRAŻAŁ

John Lennon nie był prorokiem kontrkultury, ale jej błaznem. Nie był rewolucjonistą, ale dywersantem. Doprowadzenie Pentagonu do lewitacji? Nominacja dla prosiaka w wyborach prezydenckich? Proszę bardzo.

JERZY JARNIEWICZ

PENNY TWEEDIE / CORBIS / GETTY IMAGES

W marcu 1966 r. w wywiadzie prasowym John Lennon powiedział: „Jesteśmy popularniejsi od Chrystusa". I się zaczęło: w wielu miastach amerykańskiego Południa, na wezwanie pewnego dziennikarza, zapłonęły stosy płyt do niedawna wielbionego zespołu The Beatles. Lennona okrzyknięto antychrystem, a w Beatlesach rozpoznano agentów Kremla.

Kaznodzieja David Noebel, niewiele zresztą starszy od Lennona, wyrychtował dziełko „Komunizm, hipnoza i Beatlesi". Celem Beatlesów, ostrzegał, jest „doprowadzić nasze dzieci do obłędu, zrobić z nich moralnie zdegenerowanych Amerykanów, którzy sami wywieszą czerwoną flagę na naszym niebie".

Ironią historii jest to, że nie minęło dwadzieścia lat, a w Beatlesach ujrzano tych, którzy swoją muzyką komunizm obalili. Wypowiedź Lennona nie zrobiła wrażenia w Anglii, przedrukowana w Stanach wywołała skandal. Ze Stanami zjednoczyły się w oburzeniu tak świetliste państwa jak rasistowska Południowa Afryka i frankistowska Hiszpania; jakby dla przeciwwagi jezuickie pismo „America" ogłosiło, że to, co powiedział Lennon, jest prawdą dobrze znaną każdemu chrześcijańskiemu katechecie.

Lennon zmuszony został do wygłoszenia przeprosin, choć on tylko zdiagnozował świat, w którym bożyszcza pop-kultury zajmują miejsce po zanikających religiach – domy aukcyjne już wtedy wystawiały współczesne relikwie, takie jak kawałki ręcznika hotelowego, którym wycierali się Beatlesi. Zgódźmy się więc: awantura rozpętana po słowach Lennona więcej mówi o fundamentalistach, którzy poczuli się zagrożeni w swojej wierze – i to czym? Wypowiedzią muzyka rockowego. Trudno o dobitniejsze potwierdzenie, że Lennon miał jednak rację.

Kiedy stosy wygasły

Ale czas nie stał w miejscu. Minęło pięć lat, w sklepach pojawia się album Lennona, który otwierają słowa: „Wyobraź sobie, że nie ma raju". Przyznajmy, takie otwarcie – wizja świata, który jest idealny, bo brak w nim czegoś, co jest synonimem idealności – to mistrzowskie zagranie. W „Imagine" jesteśmy skutecznie wyrwani ze strefy komfortu. A to zaledwie początek: po raju, Lennon zaprasza do wyobrażenia sobie, że nie ma także piekła, państw, religii, własności, głodu, nie ma wreszcie nic, za co trzeba by zabijać i ginąć. A co jest w zamian: niebo nad głową, braterstwo ludzkości, ludzie żyjący w pokoju, ludzie żyjący dla chwili obecnej.

I co? Tym razem nikt nie wzywał do palenia płyt. Żaden kaznodzieja nie wypichcił broszury demaskującej komunistyczną opcję Lennona. Dopiero po latach utwór zaprzęgnięto do wojen kulturowych, bo tak właśnie – „Wojny kultur" – zatytułowała w 2010 r. swoją książkę Agnieszka Kołakowska, ogłaszając w niej, że „Imagine" to „wizja ostatecznego zwycięstwa totalitaryzmu na skalę światową".

To, że po słowach „Wyobraź sobie, że nie ma religii" nie zapłonęły jednak stosy, uznajmy za świadectwo tego, jak bardzo w ciągu pięciolecia przeobraził się świat. Powodem – coraz powszechniejsza świadomość różnic światopoglądowych i zgoda na ich publiczne artykułowanie. Słuchaniu „Imagine" towarzyszyło już przekonanie, że ktoś, kto śpiewa „Nie ma religii", korzysta z wolności wypowiedzi takiej samej jak ten, kto śpiewa „Chrystus królem" – z punktu widzenia społecznej prawomocności między statusem jednej i drugiej wypowiedzi nie ma różnicy. Jeśli można powiedzieć jedno, to można powiedzieć i drugie.

Temu, że świat w krótkim czasie tak bardzo się zmienił, przysłużyli się sami Beatlesi. Dwa lata po słowach o Chrystusie Beatlesi otwierają swój „Biały album" utworem „Wracamy do ZSRR", bo tam... moskwiczanki porywają do tańca. Naiwność? Opcja sowiecka? Kremlowska agentura? Nie, to oczywista prowokacja tricksterów z Liverpoolu, zważywszy, że utwór jest parodią przeboju Chucka Berry'ego „Wracamy do USA" sprzed dziesięciu lat.

Władza dla ludu

Po rozpadzie Beatlesów Lennon nagrywa swój najlepszy album, dzieło bez precedensu w historii muzyki rockowej, „Plastic Ono Band". Wygłasza swoje anty-credo, wyliczając wszystko, w co nie ↦

↦ wierzy: nie wierzę w magię, Biblię, tarota, Hitlera, Jezusa, Kennedy'ego, Buddę, mantrę, (Bhagavad) Gitę, jogę, Elvisa, Zimmermana (czyli Boba Dylana), a w końcu – w Beatlesów. Bulwersować może miejsce, w którym pada imię Chrystusa, w sąsiedztwie Hitlera i Kennedy'ego. Czy Lennon zrównuje te postaci? Nie sądzę, lista mówi o utraconej hierarchii i miszmaszu naszych bogów, o przypadkowości i homogenizacji współczesnej kultury. Można by się było spodziewać, że za ten song już nie płyty Lennona, ale sam pieśniarz trafi na stos. Tymczasem nic takiego się nie zdarzyło. Lennon zaśpiewał, album się sprzedał.

Na tej samej płycie znajdziemy balladę „Proletariacki bohater", w której Lennon przypomina, skąd się wywodzi. Jestem z klasy robotniczej, oświadcza, i jako proletariusz mówi do proletariusza: „odurzają cię religią, seksem, telewizją, aż wydaje ci się, żeś bystry, bezklasowy i wolny, choć wciąż z ciebie pieprzony burak". Ten ostatni epitet jest w oryginale silniejszym wulgaryzmem, ale nie o niego tu chodzi; obrazą mogłaby być ta służąca do odurzania, utrzymująca podziały klasowe religia, z tym, że – znowu – nikt przeciw tej pieśni wieców nie zwoływał.

Mimo że polityczności Beatlesów bliżej było do anarchistycznej błazenady, na przełomie dekad Lennon wyraźnie, choć na krótko, się radykalizuje. Wyłania się wtedy Nowa Lewica, krytyczna wobec radzieckiego komunizmu, w studentach widząca rewolucyjny potencjał, gotowa sprzymierzyć się z młodzieżowymi subkulturami, w tym z kulturą rocka. Jej bohaterami, obok Che Guevary, stają się na przykład Rolling Stonesi, których, głównie wskutek takich ich nagrań, jak „Street Fighting Man", winduje się na pozycje rewolucyjnych sprzymierzeńców (a Jean-Luc Godard kręci o nich film).

Lennon zbliżył się do niej towarzysko i politycznie, biorąc udział w protestach i nawiązując bliską znajomość z Tarikiem Alim, czołowym działaczem brytyjskiej Nowej Lewicy. W lewicowości Lennona nie było nic z koniunkturalizmu, była ona pochodną jego robotniczego rodowodu. To dlatego śledził z uwagą i wspierał strajk szkockich dokerów, to z tego powodu zainteresował się nacjonalizacją przemysłu (rozważał wyjazd do Jugosławii, by przyjrzeć się tamtejszemu systemowi).

Z Yoko Ono w apartamencie prezydenckim hotelu Hilton w Amsterdamie, 1969 r.

MARK AND COLLEEN HAYWARD / REDFERNS / GETTY IMAGES

Nagrany w tym samym czasie, co „Imagine", a zainspirowany rozmowami z Alim song Lennona „Władza dla ludu" był hymnem skomponowanym z myślą o demonstracjach. Tu Lennon nie odmalowywał utopijnego świata marzeń, ale szkicował scenariusz rewolucji, wzywał robotników do wyjścia na ulice, a „braci i towarzyszy" pytał o to, jak traktują w domu swoje kobiety. W następnym roku nagrał album złożony z samych politycznych songów, w których darował sobie poetyzowanie, waląc prosto z mostu, a to, że „Angole to łajdaki, dokonują w Irlandii ludobójstwa", a to znów, że „Angela Davis jest jedną z miliona więźniów politycznych na świecie". Płytę zdobi fotomontaż, na którym – „wyobraź sobie" – nagi Mao z nagim Nixonem szaleją w tańcu.

W lewicowości Lennona nie było nic z koniunkturalizmu, była ona pochodną jego robotniczego rodowodu. To dlatego wspierał strajk szkockich dokerów, to z tego powodu zainteresował się nacjonalizacją przemysłu.

Ukojenie

Na tym tle polityczne przesłanie „Imagine" zaskakuje łagodnością. Lennon nie wzywa do wyjścia na ulice w celu realizacji wyśpiewanej utopii. Jego głos kieruje nas w stronę krainy snów, którą symbolizują chmury nad jego głową z okładki płyty. W uroczystości otwarcia tegorocznych igrzysk olimpijskich scena z „Imagine" była bodaj najbardziej zachowawczym elementem widowiska. Jego zaśpiewanej na Sekwanie wizji daleko było do radykalizmu dionizyjskiej orgii, obrazoburczej wieczerzy, zgilotynowanej Marii Antoniny, nawet do Orlińskiego, żeniącego breakdance z muzyką baroku. „Imagine" oferował ukojenie.

Obraz świata bez religii, bez granic, bez własności jest w „Imagine" na tyle daleki od jakichkolwiek doktryn, by w jednym wywiadzie Lennon mógł przyznać, że „wzorcem dla niego był chrześcijański modlitewnik", gdzie indziej, że przesłanie pieśni „nie różni się od wymowy Manifestu Komunistycznego", a przy innej jeszcze okazji, że to jednak „pieśń dla dzieci".

W każdej z tych wypowiedzi miał rację, mówimy bowiem o literaturze, a nie o programie partyjnym. Aktywizm polityczny tamtej dekady uznawano często za przejaw działalności twórczej, do tego stopnia, że zacierała się granica między sztuką a polityką. Joseph Beuys mówił o swoich akcjach politycznych, że to

„rzeźba społeczna". Charakterystyczne, że pierwotną inspiracją dla „Imagine" była konceptualna poezja Yoko Ono, wiersze jak rękawica rzucona wyobraźni: „Wyobraź sobie, że skraplają się chmury. / Wykop dołek w ogródku, / niech się w nim pomieszczą", „Słuchaj dźwięku obracającej się Ziemi", „Postaw pod kapiącą wodą kamień. Dzieło jest ukończone, kiedy krople wyżłobią w kamieniu dziurę". Nie byłoby „Imagine" bez konceptualizmu.

Na pewno nie byłoby go też bez tego pobudzenia, jakim był rok 1968, a zwłaszcza wydarzenia w Paryżu – w słowach Lennona słyszę bowiem echa haseł wypisywanych wówczas na murach, które potem przejęła kontrkultura: „Moje pragnienia uznaję za rzeczywistość, bo wierzę w rzeczywistość moich pragnień", czy głośne „Bądź realistą, żądaj niemożliwego". Przypomnę, że w te majowe dni studenci, maszerując, skandowali przechwycone od leninowców hasło: „Cała władza w ręce wyobraźni". Stąd tylko krok do „Imagine".

Polityczność Lennona zawsze miała w sobie twórczy element gry, performansu, klaunady. Od zawsze cieszył się on reputacją najbardziej zrewoltowanego Beatlesa. Jego wypowiedzi były jednak podszyte kpiną, nie występował przeciw systemowi z programem politycznym, interesowało go rozsadzanie systemu błazeństwem. Na koncercie Beatlesów, na którym stawiła się brytyjska arystokracja, wyrzucił z siebie słynny komentarz: „Wy, którzy siedzicie w tanich rzędach, klaskajcie, reszta niech grzechocze biżuterią".

Dlatego nie można czytać wprost jego „All You Need is Love", tego hymnu dzieci kwiatów: absurdalne, bo tautologiczne słowa kolejnych zwrotek, a przede wszystkim zapętlona końcówka utworu odtwarzająca efekt zaciętej płyty, jest najjaskrawszym przykładem dystansu, jaki Lennon miał do powtarzanych bezmyślnie sloganów. Według podobnej formuły Lennon stworzył „Give Peace a Chance", z antywojennym przesłaniem, które, powtarzane do znudzenia, demaskuje własną banalność, ujawniając zarazem stadne zaślepienie idących za wodzem wyznawców. A gdyby ktoś tego nie dostrzegł, Lennon nafaszerował pacyfistyczną mantrę rapowaną logoreą: „wszyscy tu gadamy o rewolucji, ewolucji, masturbacji, flagellacji, regulacji, integracji, medytacji, Oenzecie, ecie-plecie".

Areszt dla prosiaka

Bo Lennon nie był prorokiem kontrkultury, ale jej błaznem. Nie był rewolucjonistą, ale dywersantem. Jego karnawałowa polityczność współgrała z działalnością post-hippisowskiego nurtu kontrkultury, zwanego yippies. Po przyjeździe do Ameryki Lennon zaprzyjaźnił się z dwoma jego liderami, z Jerrym Rubinem i Abbiem Hoffmanem, autorem książki pod wymownym tytułem: „Rewolucja dla hecy". To im przypisuje się autorstwo performansów, będących kamieniami milowymi amerykańskiej kontrkultury, takich jak próba doprowadzenia Pentagonu do lewitacji czy nominacja prosiaka na kandydata w wyborach prezydenckich.

W tej błazenadzie nie doszukujmy się radosnego eskapizmu – Rubin i Hoffman stanęli przed sądem, dostali po pięć lat więzienia. Strategia yippisów zakładała, że jakakolwiek dyskusja z systemem byłaby jego legitymizowaniem, oznaczałaby ↦

Przypadek modelowy

BYŁ W LITERATURZE anglojęzycznej pisarz niewątpliwie polityczny, którego dziedzictwo przejęli wszyscy: radykalna lewica, zachowawcza prawica i kwietystyczne centrum. To, że stał się bohaterem wojujących ze sobą obozów, wzięło się nie tylko z selektywnego czytania jego dorobku. Jego pisma długo poznawaliśmy w przekładach tłumacza identyfikującego się z prawicą, niedawno zaś dostaliśmy przekłady tych samych utworów dokonane przez tłumacza związanego z lewą stroną, który swój cel określił jasno: przywrócić George'a Orwella – bo o nim tu mowa – lewicy.

CHOĆ ORWELL uważał się za socjalistę, sposób, w jaki o socjalizmie pisał, pozwalał prawicowym odbiorcom przymykać oko na to trefne słowo i brać pisarza na sztandary. Mało tego, w Orwellu, który niejednokrotnie wyrażał swoją niechęć do religii, niektórzy – a wśród nich nie byle kto, bo choćby taki Auden – widzieli uosobienie chrześcijańskich cnót.

CASUS ORWELLA jest dla mnie dowodem na to, że polityczność nie jest trwałym wymiarem dzieła, ale jego lektury. Dopiero podczas aktywnego czytania dzieło wiąże się z konkretnymi kontekstami historycznymi i politycznymi: dlatego „Rok 1984" jest w Polsce powieścią antykomunistyczną, a na Zachodzie niekoniecznie. Tak jak „Jądro ciemności", w Polsce do niedawna uznawane za dzieło antykolonialne, widziane z perspektywy czytelnika afrykańskiego, np. Chinuy Achebego, jest przykładem rasizmu. Sam utwór tylko nakreśla w ogólnych zarysach pole interpretacyjnych możliwości, a jego konkretna wymowa jest aktualizacją tych możliwości, a więc czymś, co wynika ze zmieniających się historycznie uwarunkowań lektury. W ostatecznym rozrachunku polityczność jest wyborem – naszym, a nie autora.

W PRZYPADKU ORWELLA tak różnym odczytaniom przysłużyły się także nieostra terminologia i odrębne tradycje polityczne. Socjalizm w Anglii ma własną historię, rozwijał się w wysokim stopniu niezależnie od europejskiego. Był to socjalizm z gatunku bezdefinicyjnych, intuicyjnie rozumianych. To, co z naszej perspektywy miałoby być tożsamościową cechą socjalizmu, na przykład społeczna własność środków produkcji, rzadko kiedy się w tej odmianie pojawiała. Ważniejsze były tak precyzyjne kryteria, jak „zwyczajna przyzwoitość" – ulubiona definicja socjalizmu serwowana przez Orwella. Jeśli Orwell w ten sposób go definiował, to co się dziwić, że kochają go i z lewa, i z prawa, i ze środka? © JJ

PICTURES FROM HISTORY / GETTY IMAGES

↦ przejęcie języka polityki, którą się przecież po całości kontestuje. Wobec błazenady system mógł zastosować tylko przemoc, a przemoc walcząca z błazenadą sama stawała się błazenadą, jak wtedy, gdy policja zaaresztowała kandydującego na fotel prezydencki prosiaka.

Taka polityczność zawdzięczała wiele holenderskim provosom, anarchistycznej grupie, która postulowała pomalowanie rowerów na biało, by nikt się do swojego pojazdu za bardzo nie przywiązywał. Nietrudno dostrzec, że w innej epoce i w innym kraju stała się inspiracją działań Pomarańczowej Alternatywy. „Imagine" Lennona bez tych kontekstów traci sens, bo choć pozbawiony elementów zgrywy, jest – jak wiersze Yoko Ono, białe rowery provosów czy lewitacja Pentagonu – zaproszeniem wyobraźni do eksperymentu, nadzieję na rewolucję widząc w wytrąceniu nas z myślowych kolein.

Na Gwiazdkę 1971 r. Lennon wypuścił w świat antywojenną kolędę, w której śpiewał: „Wojna się skończy, jeśli tego chcesz". Spotyka się tu z George'em Orwellem [zob. ramka na poprzedniej stronie – red.], który ponad 30 lat wcześniej zapewniał, że „niesprawiedliwość ekonomiczna zniknie natychmiast, jeśli tego chcemy". Jeśli tego chcemy, możemy wyczytać z songu Lennona i pism Orwella treści mobilizujące nas do zmiany społecznego ładu. Jeśli tego chcemy, możemy też pozbawić ich teksty politycznego znaczenia, niech się kręcą jak zacięta płyta. Pacyfistyczną pieśń „Revolution" zaprzęgnięto do pracy w reklamie butów Nike, a Wielki Brat stał się tytułem jarmarcznego widowiska w komercyjnej telewizji. © JERZY JARNIEWICZ

Autor jest poetą, tłumaczem i literaturoznawcą. Laureat Literackiej Nagrody Nike w 2022 r. za tom „Mondo cane", opublikował także „All you need is love. Sceny z życia kontrkultury", ostatnio ukazał się „Frotaż".

RADIO 357
Najciekawsze tematy nowego numeru „Tygodnika" w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

Śpiewaj powietrzem

JAN BŁASZCZAK

Najnowszy album Antoniny Nowackiej nabrał kształtów podczas wizyty w peruwiańskim Paracas. Dalekie podróże wokalistki owocują wspaniałą muzyką. Najbliższą intuicji.

Aby śpiewać, nie potrzebuje sterylnego studia, absolutnej ciszy i specjalnych przygotowań. Przeciwnie, Antonina Nowacka lubi spontaniczność oraz dźwięki niespodziewanie wtrącające się do jej nagrań: – W Reggio Emilia, gdzie teraz mieszkam, jest bardzo dużo kościołów. Często stoją puste, więc chodzę tam ćwiczyć. I zdarza się, że ktoś mnie na tym przyłapie.

Choć obecnie na jej recital trafiają czasem Włosi, w przeszłości takie spotkanie mogło stać się udziałem meksykańskich wiernych z parafii rozsianych po południowym stanie Oaxaca, czy turystów odwiedzających jaskinie na Jawie. Kiedy podróżuje, Nowacka nie tylko stara się obcować z lokalnymi tradycjami i czerpać z ich wpływów, ale także otwiera się na dominujące w danym obszarze dźwięki.

– W Indonezji mieszkałam w wiosce, w której nieustannie słyszałam muzułmańskie salaty – wspomina artystka. – Byłam więc cały czas nastawiona na obecność tych modłów. To się jakoś koduje w umyśle, bo później dostrzegałam, że mój śpiew sam szedł w tym kierunku.

Sześciomiesięczne stypendium, na które Nowacka wyjechała do Indonezji na przełomie 2018 i 2019 r., zaowocowało wspaniałym wokalnym albumem „Lamunan". Miesiące spędzone na poznawaniu lokalnych kultur odegrały tu nie większe znaczenie, niż akustyka jawajskiej jaskini Seplewan, do której artystka powracała raz za razem, by nagrywać swój śpiew. Podobnych dźwiękowych wrażeń Nowacka poszukiwała dwa lata później w Meksyku. Efekty znów okazały się zaskakujące – z powodu pandemii rząd zamknął parki narodowe, a wokalistka zamiast śpiewać w tamtejszych grotach, rejestrowała swój głos w niewielkich meksykańskich kościółkach. W rezultacie ukazała się płyta „Vocal Sketches From Oaxaca", którą w 2021 r. wydał kultowy londyński klub Cafe OTO, zamieniony na czas pandemii w niezależną wytwórnię.

W przeciwieństwie do poprzednich albumów Nowackiej tegoroczny, zatytułowany „Sylphine Soporifera", został zarejestrowany w profesjonalnym studio nagraniowym pod okiem brytyjskiego producenta Adama Asnana, ale przecież i on nie powstałby bez dalekiej podróży.

– Miałam bardzo dużo podejść, nim nagrałam tę płytę. Dopiero podczas ostatniej podróży do Ameryki Południowej, kiedy zobaczyłam tamtejsze pustynie, zrozumiałam, co chciałabym zrobić. Jeżdżę po świecie, zbieram doświadczenia i inspiracje. W pewnym momencie pojawia się chwila oświecenia. Tak było w Paracas, gdzie spotkało mnie obezwładniające uczucie i zostało ze mną na długo.

W stronę piękna

Nowacka wcale nie musi ruszać w świat, by odczuwać uniesienie, które towarzyszyło jej na południe od Limy. Samo śpiewanie wprowadza ją momentalnie w błogostan, stan niemal upojenia. Nie jest to tajemnicą dla nikogo, kto choć raz wybrał się na jej koncert. Mnie zapadł w pamięć jej występ, wydawałoby się, zupełnie niepozorny. Wokalistka weszła na scenę warszawskiego klubu Pardon, To Tu jako jedna z kilkorga artystów występujących podczas urodzin radiowej audycji „HCH". Co istotne, wstęp na to wydarzenie był wolny, a wieczór – piątkowy. Niemałą część publiczności stanowili odbiorcy przypadkowi, kursujący pomiędzy barem a rozstawionymi na zewnątrz stolikami. Sala falowała więc w rytm tych wycieczek. Do czasu.

Kiedy swój koncert rozpoczęła Nowacka, ruch niemal ustał. Powstrzymał go nie tyle sam głos, co ogólny bło-

FILIP PREIS / UNSOUND FESTIVAL / MATERIAŁ PRASOWY

Antonina Nowacka podczas występu na festiwalu Unsound 2021. Synagoga Tempel, Kraków, październik 2021 r.

gostan, który emanował od artystki. Pozwalam sobie na taką hipotezę, bo dobrze pamiętam wyraz twarzy zebranych. „Wyraz", bo w swojej reakcji nie różniliśmy się między sobą. Idący do baru i z baru, i wszyscy pozostali – wyglądaliśmy tak, jakby ktoś niespodziewanie powiedział nam najmilszy komplement.

Nie dziwi mnie więc zupełnie, gdy artystka przyznaje, że jedną z jej pierwszych fascynacji była Meredith Monk, która z uzdrawiającego aspektu sztuki uczyniła swoje motto. Ale przecież nie zawsze u Nowackiej było tak lekko i przyjemnie. Na debiutanckim albumie WIDT – siostrzanego duetu, w którego skład wchodziła również Bogumiła Piotrowska odpowiedzialna za warstwę wizualną projektu – jej wokalizy docierały do słuchacza nierzadko w towarzystwie industrialnych bitów i mrocznych elektronicznych podkładów. Na płycie – bardzo szybko dostrzeżonej przez brytyjski „The Quietus" – rządził eksperyment, a wokalne frazy nie miały koić, przeciwnie – niosły niepokój rodem wprost z utworów Scotta Walkera.

Nie oznacza to, że w swojej późniejszej, solowej działalności Nowacka na dobre pożegnała się z eksperymentem. Ten jest wpisany w sposób jej pracy – zarówno nad kolejnymi nagraniami, jak i nad swoim głosem. I konsekwentnie dąży w stronę piękna. Jej wehikułem pozostaje improwizacja, więc na tej drodze możliwe są zaskoczenia: – W bardzo niewielkim stopniu wiem, co wydarzy się w studio. Nie sporządzam notatek, nie zapisuję nut, nie robię rysunków, mam tylko zrobione telefonem zdjęcia chwytające atmosferę, którą próbuję oddać w muzyce.

Wszystko staje się jasne

Nagranie staje się próbą uchwycenia charakteru ważnego dla niej miejsca lub emocji, jakie wywołało ono u wokalistki. I choć ta metoda jak dotąd się sprawdza, od początku zastanawiało mnie, jak artystka tak bardzo bazująca na intuicji, na tym, co niemierzalne, jest w stanie nagrywać z innymi twórcami. Przy czym nie mam na myśli jej gościnnych występów na płytach zespołu Lotto („Axolotl") czy Piernikowskiego („Beyond the Echo of Time"), ale pełnoprawny udział w zespole, taki od początku do końca.

Bo jak przełożyć takie osobiste rewelacje na pracę w grupie? Szukając konkretów, jakiegoś punktu zaczepienia, dopytuję artystkę, w jaki sposób wizyta w Paracas pomogła jej nagrać „Sylphine Soporifera"? Co właściwie uruchomiło jej wyobraźnię i pchnęło jej myśli na właściwy tor?

– Tym, co mnie tam najbardziej uderzyło, było światło, które padało w taki sposób, że cały ten krajobraz wyglądał zupełnie nierzeczywiście. Nie byłam w stanie go sobie zracjonalizować – odpowiada.

Cytuję te słowa Sofii Birch – duńskiej kompozytorce i producentce muzyki ambient, z którą Nowacka nagrała dwa lata temu bardzo dobrze przyjęty album „Languoria". Moje zagubienie budzi u niej jedynie wesołość: – Dla mnie to wszystko jest absolutnie zrozumiałe. Sama często działam w podobny sposób. Zdarza mi się pracować nad muzyką i zupełnie nie rozumieć, o co mi chodzi. A potem przeczytam jakieś zdanie w książce i doznaję objawienia. Albo w nieznanym mi wcześniej języku usłyszę emocję, którą chciałam oddać dźwiękiem. Choć te czynności nie są bezpośrednio związane z muzyką, to nagle uruchamiają coś w moim mózgu i wszystko staje się jasne.

Pewnie dlatego obie artystki wspominają swoją współpracę jako niezwykle łatwą i przyjemną. A przecież poznały się ledwie chwilę przed swoim pierwszym improwizowanym koncertem, który zagrały na warszawskim festiwalu Ephemera. Ich delikatna, liryczna muzyka ↦

nie ma wiele wspólnego z popularnym wyobrażeniem o muzyce improwizowanej.

– Obie uważamy, że muzyka to piękno i harmonia – twierdzi Birch. – Tego szukamy, eksplorując dźwięki. Czujemy, że muzyka może mieć uzdrawiającą moc. Kiedy występujemy na festiwalach z muzyką elektroniczną, improwizowaną, wielu artystów sięga raczej po hałas, agresję, radykalne formy ekspresji. Nie jest to coś, co by nas interesowało. Bardziej pociągają nas rzeczy kruche, minimalistyczne. Nie boimy się też terminu „new age". I słusznie, bo choć „Languoria" z pewnością nie jest dziełem przełomowym, odważnie nowatorskim, to piękno zebranych tu melodii i błogość, jaką niosą te – kruche przecież – kompozycje, wynagradza to wszystko z nawiązką. „Intensywne ambientowe produkcje kompozytorki Sofie Birch i niepowtarzalne melodie eksperymentalnej wokalistki Antoniny Nowackiej spotykają się na płycie, która przypływa i odpływa w sposób tak naturalny, jak oddychanie" – pisał o albumie Nowackiej i Birch recenzent opiniotwórczego amerykańskiego portalu Pitchfork.

Tym bardziej cieszy wiadomość, że duet nagrał niedawno materiał na następną płytę. Podobno prace znów postępowały lekko, choć toczyły się w spartańskich warunkach. Artystki spotkały się w zaimprowizowanym studio w lesie nieopodal Sokołowska. Jak sudecka przyroda wpłynie na charakter tych utworów? Tyle możemy powiedzieć: wpłynie na pewno.

Powietrze i piasek

Najnowszy album Nowackiej, „Sylphine Soporifera", to płyta bogato zaaranżowana. Obok utworów przykuwających uwagę wokalizami artystki pojawiają się kompozycje w pełni instrumentalne. Zachowują delikatny, lekki charakter, ale słyszymy tu cytrę, harfę, syntezator, okarynę, organy i flety. Na większości z nich gra sama Nowacka, na dwóch ostatnich – zaproszeni goście: Catia Lanfranchi i Oskar Karski.

Słychać, że jest to album nagrywany w profesjonalnym studio – nawet jeśli rodził się w nim spontanicznie – nowe utwory Nowackiej są wyraźniej zarysowane niż jej wcześniejsze solowe dokonania. Przy czym wciąż poruszamy się pomiędzy neoklasyczną wokalistyką, ambientem i muzyką new age. Choć instrumentalne „Light Light", którym artystka nawiązuje do poetyckich wizji Rudolpha Steinera na temat sylfów – istot powietrza, można potraktować jako centralny punkt albumu; Nowacka nie ukrywa, że to utwory wokalne mają dla niej znaczenie szczególne.

– Za każdym razem, kiedy je wykonuję, wchodzę w specyficzny stan podwyższonej koncentracji – tłumaczy. – Gra na syntezatorze to raczej zabawa: szukam ciekawych tekstur, melodii, ale ten proces nigdy nie jest dla mnie tak osobisty, jak praca z głosem.

Nowacka wsłuchuje się w swój głos tym chętniej, że jej śpiew nie był przez lata analizowany przez pedagogów. Podoba jej się sytuacja, w której nie ma swojego – jak to mówi – „flagowego głosu". Usilne trzymanie się określonych jego parametrów wydaje jej się mało sensowne, przeciwnie: fascynuje ją zmiana. Świadomość, że kilka lat temu śpiewała inaczej, bo wokalna praktyka, inspiracje, upływający czas, podróże – to wszystko wpływa na głos. Jeśli ma jakieś preferencje, to dotyczą one raczej sposobu śpiewania, które ma być przede wszystkim naturalne. Z tego powodu jeden z jej ulubionych utworów wokalnych to kompozycja napisana przez Wiaczesława Owczinnikowa do filmu „Andriej Rublow" Tarkowskiego, gdzie oprócz poruszającej melodii daje o sobie znać pewna brzmieniowa niedoskonałość: – Jakby ktoś nagrał swoim telefonem kobietę, która śpiewa sobie w pokoju obok.

Jej wdechy i wydechy sprawiają, że odsłuch płyty zamienia pokój w jaskinię z długim echem. Tłumaczy: – Tak działa głos – wciągasz i wypuszczasz powietrze. Reszta to dodatki. Z czasem zdałam sobie sprawę, że śpiewam z dźwiękiem powietrza. Kiedy wydaję wysokie tony, słyszę, że ono jest w tym dźwięku. I bardzo mi się to podoba. Dotyczy to zresztą nie tylko głosu, bo przecież dźwięki fletu to również powietrze. I to mi się połączyło w całość. Bo „Sylphine Soporifera" jest o tym, co poczułam w Paracas: pustynia to jest przecież tylko powietrze i piasek. Ale głównie powietrze. © JAN BŁASZCZAK

Ten Obcy

MICHAŁ WALKIEWICZ

„Producentom wystarczyło, że film rozgrywa się w kosmosie" – żartował Ridley Scott, twórca pierwszego „Obcego". Hollywood wciąż śniło o Gwiezdnych Wojnach. Jeszcze nie wiedziało, że w kosmosie zagnieżdża się właśnie wielki strach.

CHŁOPAK WBIEGA DO POKOJU, OTWIERA lodówkę, patrzy przez ramię na telewizor i rzuca: „O, to ten stworek z »Fortnite«". Jego stary, który do ślubu poszedł w t-shircie z Obcym, o cyklu rozrodczym monstrum pisał magisterkę, a ostatnie pieniądze wydał na replikę kosmicznego jaja, blednie: „Coś ty powiedział!?".

„Stworek" to ksenomorf, wyśnione przez reżysera Ridleya Scotta i zaprojektowane przez szwajcarskiego rzeźbiarza H.R. Gigera monstrum z cyklu filmów „Obcy". „Fortnite" to gra wideo, w której, dzięki lukratywnym umowom licencyjnym, szyku zadają ikony popkultury. Dla chłopca Obcy jest atrakcją tygodnia, kolejnym produktem z disnejowskiego taśmociągu. Dla ojca ma znaczenie symboliczne, żyje w delikatnej sferze sentymentów. Nostalgia może wygładzać krawędzie przeszłości, lecz w teraźniejszości jest marnym narzędziem komunikacji.

Twórcy wchodzącego właśnie na ekrany kin „Obcego: Romulusa" stoją przed wyzwaniem podobnej natury. Cykl liczy już sześć filmów, dwa spin-offy, niezliczoną ilość gier wideo, planszówek, komiksów i książek. Na Obcym zarobiła branża zabawkarska i odzieżowa, w swoje progi zaprosili go Simpsonowie i mieszkańcy South Parku. I choć jego status podwójnej legendy kina science-fiction oraz horroru pozostaje niezagrożony, to czy wciąż da się o nim zrobić dobry film? Podsycanie egzystencjalnego lęku jest trudne, jeśli Nieznane to nadruk

20TH CENTURY STUDIOS / MATERIAŁ PRASOWY

Kadr z filmu „Obcy: Romulus" z 2024 r. w reżyserii Fede Álvareza

na koszulce, budzik z gumowymi zębami i pluszowa poduszka. Naraz.

Typy spod „Ciemnej gwiazdy"

Na przełomie lat 60. i 70. wszechświat był nieco przytulniejszym miejscem. Afirmacyjna filozofia ery kosmicznego wyścigu pozwalała myśleć o nim jak o symbolu gwałtownego cywilizacyjnego rozwoju. Budowano tam parki rozrywki, kręcili się po nim filozofowie oraz pionierzy efektów specjalnych. Stanley Kubrick wracał do genezyjskiego mitu i szukał w gwiazdach Boga, twórcy „Star Treka" przynosili wizję międzygalaktycznego społeczeństwa, mierzącego wszechświat szkiełkiem i okiem. Oświeceniowe tendencje były odzwierciedlone w filmowej formie: zarówno aseptyczne wnętrza statków kosmicznych, jak i wewnątrzkadrowa symetria sugerowały dualizm naszych poznawczych potrzeb, równowagę między nauką i metafizyką.

Studiujący na Uniwersytecie Kalifornijskim scenarzysta Dan O'Bannon kochał fantastykę naukową, lecz coś mu się w tym obrazku nie zgadzało. Dostrzegał wielkie abstrakcje, ale nie widział konkretów. Wkurzały go czyściutkie stacje badawcze, irytowali zakochani w sobie naukowcy, brakowało mu brudu, znoju oraz błękitnych kołnierzyków w permanentnym konflikcie z chciwymi kapitalistami.

Uważana za duchowy prequel „Obcego – ósmego pasażera Nostromo" czarna komedia „Ciemna gwiazda" (1974) na podstawie scenariusza O'Bannona i w reżyserii Johna Carpentera była owocem tej frustracji. Jej bohaterowie, załoganci tytułowego statku, pracują od ósmej do szesnastej, niszcząc niestabilne, zagrażające kolonizacji kosmosu planety. Nie ma lekko: sprzęt nawala, z rur ciekną podejrzane substancje, przygarnięty na pokład obcy nie chce siedzieć grzecznie w ładowni, komputer-matka samoczynnie uzbraja ładunki wybuchowe.

Żeby komedię zamienić w horror, potrzeba było jedynie pomyślnej koniunkcji gwiazd. Dosłownie, gdyż przypisem w historii powstawania pierwszego „Obcego" w reżyserii Ridleya Scotta (1979) są dziś nazwiska „spadochroniarzy" z mitycznej, niezrealizowanej „Diuny" Alejandro Jodorowsky'ego. O'Bannon pracował przy projekcie, który miał połączyć w artystycznej komitywie Franka Herberta, Salvadora Dalego, Micka Jaggera, Orsona Wellesa oraz muzyków z zespołu Pink Floyd.

Ostatecznie „zadowolił się" współpracą z wybitnym grafikiem i komiksiarzem Jeanem „Moebiusem" Giraudem, który odpowiadał za pierwsze szkice koncepcyjne ekranowego świata, oraz rzeźbiarzem Hansem Rudolfem Gigerem, który razem ze Scottem zaprojektował potwora. Obła, lśniąca czaszka, ostry jak brzytwa ogon, podwójne szczęki, kwas molekularny zamiast krwi, kształt jednocześnie owadzi i humanoidalny...

Kino kocha takie historie: o kumulacji pokoleniowej, artystycznej energii, zazwyczaj z pikantnym twistem. Giger był opiumistą, mieszkał w średniowiecznym zamku i cierpiał na paraliże przysenne; o uzależnieniu O'Bannona od narkotyków krążyły legendy, a nad projektem – za sprawą „Ciemnej gwiazdy" – unosił się duch Johna Carpentera, wówczas ojca chrzestnego wszystkich niezależnych filmowców.

Zarówno współscenarzysta Roland Shusett, jak i brytyjski reżyser Ridley Scott nie pasowali do tej ferajny, choć pewnym łącznikiem była tradycja literacka. Zaledwie dwa lata wcześniej Scott nakręcił świetny „Pojedynek" na podstawie prozy Josepha Conrada, a do „Obcego" – ku uciesze Gigera – podchodził z głową pełną lovecraftowskich obsesji.

„Producentom wystarczyło, że film rozgrywa się w kosmosie" – żartował Scott po latach, nawiązując do gwiezdnowojennej rewolucji w Hollywood. Na pewno nie zaszkodził również fakt, że, na fali popularności pierwszego letniego blockbustera w historii, promowano go jako „»Szczęki« w kosmosie".

Duchy Nostromo

Poszukiwanie źródeł fenomenu „Obcego – ósmego pasażera Nostromo" Scotta w twórczości H.P. Lovecrafta wydaje się ryzykowne. Coś jednak jest na rzeczy. W końcu to opowieść o bezradności w starciu z nieznanym. Słynny monolog z filmu, o „istocie, której wrogość równa jest jedynie strukturalnej doskonałości", odsyła właśnie do tej literatury. Z kolei miejsce akcji – frachtowiec „Nostromo", ↦

20TH CENTURY FOX / MATERIAŁ PRASOWY

Kadr z filmu „Obcy– decydujące starcie" z 1986 r. w reżyserii Jamesa Camerona

↦ przywodzący na myśl zawieszoną w kosmicznej próżni gotycką katedrę – to jedna z nawiedzonych posiadłości Edgara Allana Poego. Joseph Conrad też się załapał – w górniczym miasteczku Sulaco (okrętem o tej nazwie latają żołdacy w sequelu „Obcego") rozgrywa się akcja jego powieści „Nostromo".

Załoganci statku to urobieni po łokcie przedstawiciele klasy pracującej, ich rozmowy dotyczą głównie kiepskich zarobków i jeszcze gorszego jedzenia. „Nostromo", choć na tle zimnego kosmosu przypomina upiorny monolit, jest tylko statkiem górniczym. Wąskie korytarze serwisowe, wilgotne hale, w których przechowywana jest ruda, skąpane w trupim świetle jarzeniówek ambulatorium – wszystkie te miejsca obnażą swój mroczny majestat dopiero wtedy, gdy pasażer na gapę zacznie dziesiątkować załogę. Znamienne, że naprzeciw zła, które u Lovecrafta wymykałoby się wszelkim narzędziom poznania, staje żywioł bezwzględnego racjonalizmu. Choć z perspektywy jej dalszej popkulturowej kariery łatwo o tym zapomnieć, porucznik Ellen Ripley (Sigourney Weaver) to w „Ósmym pasażerze Nostromo" zimna jak głaz służbistka.

Pająkowaty stwór, penetrujący gardło pierwszego oficera Kane'a, oraz falliczna kijanka, rozrywająca jego klatkę piersiową; zły android Ash, duszący bohaterkę zwiniętą w rulon gazetą w otoczeniu plakatów z roznegliżowanymi kobietami; ogon kosmicznego drapieżcy wsuwający się między nogi przerażonej nawigatorki Lambert; wreszcie scena, w której szykująca się do kriogenicznego snu bohaterka, w samej bieliźnie, musi stawić czoło potworowi... Przesycająca „Obcego" erotyczna symbolika była dla O'Bannona zapalnikiem atawistycznego lęku. Wykraczała poza płeć i kulturę – ksenomorf „gwałcił" bez wyboru, zaś jego cykl życiowy był metaforą przemocy seksualnej.

W salce konferencyjnej studia 20th Century Fox James **Cameron napisał na tablicy tytuł filmu:„Alien".** Potem dopisał „s", a następnie dwa razy przekreślił literkę, czyniąc z niej symbol dolara. Proroczo, jak to on.

O elastyczności konwencji oraz pojemności metaforyki najlepiej świadczył fakt, że tak łatwo było z nich zrezygnować. W kolejnych filmach Obcy stał się zwierzęciem żyjącym w pszczelim roju („Obcy – decydujące starcie" z 1986 r.), apokaliptyczną „bestią z morza" („Obcy 3" z 1992 r.), groteskowym eksponatem z gabinetu obrzydliwości („Obcy: Przebudzenie" z 1997 r.) oraz dzieckiem daenikenowskich proto-ludzi z gwiazd („Prometeusz" z 2012 r. i „Obcy: Przymierze" z 2017 r.). Czym będzie w nowym filmie, którego twórcy obiecują „powrót do pierwotnej grozy"?

A więc wojna!

W salce konferencyjnej studia 20th Century Fox James Cameron napisał na tablicy tytuł filmu:„Alien". Potem dopisał „s", a następnie dwa razy przekreślił literkę, czyniąc z niej symbol dolara. Był to koniec jego prezentacji biznesowej i zarazem początek jednej z najważniejszych serii w historii science-fiction i horroru.

Tyle legenda. Rzeczywistość była dla Camerona boleśniejsza. Wyjątkowo trudny proces realizacji „Obcego – decydującego starcia" (1986) zamienił Kanadyjczyka oraz jego żonę, producentkę Gale Ann Hurd, w parę najtwardszych graczy w Hollywood. Efektem ich pracy, podobnie jak w przypadku starszego o dekadę „Ojca chrzestnego II", był sequel dorównujący oryginałowi (a w opinii niżej podpisanego przewyższający go). Cameron wszedł z butami w wizję Scotta, poprzestawiał gatunkowe klocki, a zamiast gotyckiego horroru zaproponował wysokooktanowe kino akcji. Z plakatów krzyczało hasło: „Tym razem to wojna!"

Dociekliwym, którzy pytali, o jaką wojnę chodzi, Cameron odpowiadał, że o Wietnam. Mówił, że to rzecz o konflikcie lepiej wyposażonych najeźdźców z wyszkolonymi w walce partyzanckiej autochtonami. Tymi pierwszymi byli na ekranie kosmiczni marines, którzy – wraz z cierpiącą na syndrom stresu pourazowego Ripley – próbowali uratować gwiezdnych kolonistów przed Obcymi. W rolę tych drugich wcieliły się Ksenomorfy – tym razem w hurtowych ilościach. Symbolizowany przez chciwą firmę Weyland Yutani, antykorporacyjny wątek z „Ósmego pasażera" został podbity w klasycznej Cameronowskiej narracji, której punktem szczytowym stał się kilka lat później „Terminator 2" („Nie wiem, który gatunek jest gorszy? – pytała Ripley. – Te potwory przynajmniej nie zabijają się dla pieniędzy").

Z kolei zamiłowanie reżysera do futurystycznego sprzętu oraz wojskowego drylu rymowało się z technofobicznymi nastrojami dekady lat 80. Podobnie jak seria o „Terminatorze", „Głębia", czy „Avatar", „Decydujące starcie" opowiadało również o zrodzonej w ogniu konfliktu patchworkowej rodzinie. Finałowy pojedynek Ri-

pley z Królową Obcych stał się w obiektywie Camerona walką dwóch samic, broniących swojego potomstwa. To właśnie za rolę w filmie Camerona Sigourney Weaver zdobyła oscarową nominację, a jej Ripley trafiła na kubki do herbaty i do gry „Fortnite".

Potwór w słoiku

Niewiele serii w historii kina powtórzyło sukces „Obcego" jako projektu komercyjno-autorskiego. Blisko był cykl o Harrym Potterze, w którym filmy realizowane przez Alfonso Cuarona oraz Mike'a Newella odpowiadały estetycznie i narracyjnie reżyserskim wrażliwościom. „Obcy 3" (1992) Davida Finchera i „Obcy: Przebudzenie" (1997) Jeana Pierre'a Jeuneta to słabsze filmy, ale sporo zyskują w towarzystwie arcydzieł. Są w końcu konsekwentną realizacją znajomej strategii: „Pokaż mi swojego Obcego, a powiem ci, kim jesteś".

Debiutancki obraz Finchera powstawał tak długo i był polem tak gwałtownych, wielowektorowych konfliktów, że dziś myśli się o nim jak o filmowym Frankensteinie, pozszywanym ze sprzecznych potrzeb, interesów i koncepcji. Fatalistyczny w wymowie, skąpany w obrzydliwych żółciach i brązach, napakowany po brzegi biblijną symboliką, „Obcy 3" pozostaje jednak filmem arcyciekawym. Jego akcja rozgrywa się na więziennej planecie, której rezydenci – gwałciciele, mordercy i pedofile – próbują odkupić winy dzięki gorliwej wierze. Odratowana z rozbitej kapsuły i ogolona na łyso Ripley staje się dla nich Chrystusem, na jakiego zasłużyli – umęczonym, przetrąconym, zmierzającym w stronę zasłużonego odpoczynku, czyli śmierci. Weaver też była zmęczona. Zgodziła się na występ pod warunkiem, że Ripley wreszcie dokona żywota.

Horror, kino akcji, biblijna alegoria, wreszcie – francuska makabreska. W „Obcym: Przebudzeniu" (1997) Jean Pierre-Jeunet zrobił to, co udało mu się wcześniej w „Delikatesach" i później w „Amelii". Uwięził Obcego i Ripley w popkulturowej hiperrzeczywistości. Połączył ich geny, obcałowywał kamerą ich mutujące ciała, zaś w słojach z formaliną umieścił nieudane klony głównej bohaterki. Niektórzy dostrzegli w tychże słojach dzieła „epigońskie" względem Obcego. Większość widziała tylko filmowe monstrum, które zeżarło już własny ogon.

Gdzie się podziali jego ojcowie

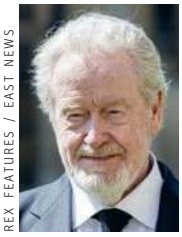

REX FEATURES / EAST NEWS

RIDLEY SCOTT (86 lat)

„Łowca androidów", „Thelma i Louise", „Gladiator"... Trudno wyobrazić sobie kino bez Ridleya Scotta, zaś porównanie ilości do jakości mówi, że to najrówniejszy współczesny reżyser. Gdyby tylko dał sobie spokój z „Obcym" i przestał niszczyć własne dziedzictwo...

BERZANE NASSER / ABACA / / EAST NEWS

JAMES CAMERON (69 lat)

W latach 90. Cameron, twórca „Terminatora" i „Prawdziwych kłamstw", przejął od Spielberga miano naczelnego pieszczocha Hollywood. Po sukcesie „Titanica" okrzyknął się „królem świata", a potem zszedł pod wodę na 15 lat. Gdy wrócił na powierzchnię, zaczął taśmowo kręcić „Avatary" i w pojedynkę zdominował listę najbardziej kasowych filmów wszech czasów.

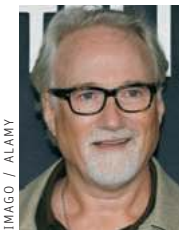

IMAGO / ALAMY

DAVID FINCHER (61 lat)

Na planie „Obcego 3" odebrał dyplom szkoły życia. W porównaniu do tego koszmaru, reszta kariery przypominała spacerek po parku. „Siedem", „Gra", „Podziemny krąg", „The Social Network". Co film, to inne oblicze kultu. Dziś, jako nestor kina, nic już nie musi. Ale wciąż mu się chce.

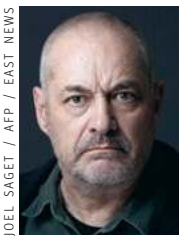

JOEL SAGET / AFP / EAST NEWS

JEAN-PIERRE JEUNET (70 lat)

Zapowiadał się na żywego klasyka. Skończył, mimo sukcesu „Amelii" oraz kapitalnego dyptyku „Delikatesy" – „Miasto zaginionych dzieci", w peletonie zdolnych rzemieślników. Szkoda. Dzikiej wyobraźni i popkulturowej wrażliwości mogli mu pozazdrościć najwięksi.

Mamo, coś jest w pawlaczu

Android o imieniu David ogląda na holograficznym ekranie „Lawrence'a z Arabii" Davida Leana. „Cała sztuka w tym, by zlekceważyć ból" – powtarza za bohaterem, który gasi palcami zapałkę. David próbuje pojąć sens tych słów, choć sam ból jest dla niego czymś abstrakcyjnym. Pytania o człowieczeństwo maszyny i ludzkie zafiksowanie na celu wypełniają „Prometeusza" i „Przymierze". Obcy to jedynie dziki lokator.

Obydwa filmy wyreżyserował powracający do uniwersum Ridley Scott. Obydwa są też owocami cynicznej kalkulacji. Obcy jest teraz u Scotta zaledwie marketingowym haczykiem i fotogenicznym straszakiem, reżysera interesuje raczej kosmogonia nowego-starego świata. Nasze miejsce we wszechświecie, boskie uzurpacje prowadzące do zguby, język jako przestrzeń agresji oraz kulturowy azyl. Wszystko to wielkie tematy dla kina. Szkoda tylko, że na ich ołtarzu złożono tak fascynującą istotę. W pewnym sensie Scott przyspieszył proces popkulturowej degradacji Ksenomorfa. Rozjaśniając ciemność pierwszego „Obcego", wypełniając fabularne luki, zamieniając potwora w dziecko zaawansowanej inżynierii genetycznej, odarł z tajemnicy swój najlepszy film.

Wracając do „stworka z »Fortnite«" oraz międzypokoleniowego dialogu. Biorę głęboki oddech i zaczynam: „Słuchaj, stary... to jest – młody. Nie ma w historii kina drugiej takiej serii; nie ma cyklu, w którym każdy film należałby do innego gatunku, był świadectwem odmiennej autorskiej wrażliwości....". „Okej, nie ma takiej serii – słyszę w odpowiedzi. – A jest jakaś cola?".

Raczej się nie dogadamy, ale trzeba próbować. W przeciwieństwie do innych kosmicznych bestii, które próbowały przepędzić nas z sali kinowej złowrogim sykiem, na Obcego wciąż możemy projektować własne lęki. Jest dokładnie tym, co w nim dostrzegamy i jeśli czegoś oczekuję po wchodzącym właśnie do kin „Romulusie", to właśnie wykładu na temat pojemności tej metafory. Kto wie, być może kolejne pokolenie widzów przekona się na własnej skórze, że nawet w pawlaczu może być ciemno i strasznie.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

Karawaną przez piekło

ANITA PIOTROWSKA

Co należałoby zrobić, aby Sahara i Morze Śródziemne nie stały się wielkim cmentarzem? Reżyser filmu „Ja, kapitan" odpowiada na to pytanie przejmująco: „Nie wiem".

Mówi się, że ten film kończy się tam, gdzie rozpoczynała się „Zielona granica" – opowiada jednak o zupełnie innym szlaku migracyjnym, tym wiodącym przez Morze Śródziemne, i skupia się na jego afrykańskim odcinku. W filmie Agnieszki Holland pojawiła się scena (być może życzeniowa, ale przecież możliwa), w której trzech nastolatków z Afryki, przedostawszy się na polską stronę, znajduje gościnne schronienie w podlaskim domu. I tam, po wspólnej kolacji, rapują po francusku z polskimi rówieśnikami. Wśród tych gości mógł być Seydou (Seydou Sarri) i Moussa (Moustapha Fall), gdyby wybrali inną trasę z Senegalu do swojej „ziemi obiecanej". Też śpiewają i marzą o karierze w międzynarodowym show-biznesie. Tyle że Matteo Garrone wraz ze współscenarzystami, Massimem Ceccherinim i Massimem Gaudioso, relacjonują ich odyseję zupełnie innym niż polska reżyserka językiem. Albowiem „Ja, kapitan", jakkolwiek niestosownie to zabrzmi, jest raczej angażującym kinem przygodowym aniżeli oskarżycielską interwencją humanitarną. W taki sposób daje swoją lekcję empatii i zarazem ostrzeżenie dla tych, co dopiero ruszają w drogę – o ile kiedykolwiek będzie im dane zobaczyć ten film w swojej ojczyźnie.

„Ja, kapitan" dostarcza w pierwszej kolejności fabularyzowanej i uatrakcyjnionej filmowo lekcji poglądowej, jak może wyglądać droga do Europy. I dlaczego ktoś decyduje się zostawić za sobą wszystko i jechać w nieznane. Charakterystyczne, że twórcy filmu zrazu nie przedstawiają afrykańskiej rzeczywistości w strasznie ciemnych barwach. Chłopaki uciekają od biedy, ciasnoty, braku perspektyw, lecz dopóki nie opuszczą macierzystego Dakaru, są przynajmniej u siebie. Otacza ich rodzinne ciepło, ojczysty język i swojska, pokazana z biglem kultura. Nie bardzo wiedzą, w co się pakują, kiedy przez pół roku odkładają po kryjomu zarobione pieniądze na daleką podróż i snują swoje fantazje rodem z telewizji czy internetu. Gdyby oczyma wyobraźni zobaczyli siebie w morderczej trasie, a potem (i nie byłby to scenariusz najgorszy) jako bezdomnych, ściganych czy sprzedających chińskie badziewie na ulicach zachodnich miast, być może zmieniliby plany. Namawia ich do tego miejscowy czarownik, wyjazd odradza pośrednik pierwszego kontaktu, ostrzega matka, kiedy wreszcie dowiaduje się o zamiarach Seydou i jego kuzyna.

„Ja, kapitan" to więc rzecz zarówno o determinacji, desperacji, jak i o naiwności. „Ahoj, przygodo!" chciałoby się razem z nimi zawołać, gdy ruszają autobusem przez Saharę, filmowaną bajecznie przez Paola Carnerę, z daleka wyglądającą niczym turystyczne safari. Zabawnie jest nawet wtedy, gdy chłopcy zmuszeni są ukryć resztki gotówki w intymnych częściach ciała. Lecz chwilę potem nie będzie już miejsca na awanturnicze perypetie dwóch czarnoskórych wyrostków w podróbkach znanych marek – scenarzyści zafundują im bolesne zderzenia z każdym możliwym ryzykiem.

Spiętrzenie horrorów bywa w filmie tak ogromne, że wywołuje pragnienie: „niechaj to wreszcie się zakończy, niech lepiej wracają do domu!". Ale od pewnego momentu odwrotu nie ma i emigrancki los coraz bardziej sypie bohaterom piaskiem w oczy. Kiedy wędrują długą uchodźczą karawaną przez Mali, Niger, Libię, by przedostać się do upragnionych Włoch, na każdym kroku padają ofiarą oszustów, szantażystów czy lokalnych mafii przemytniczych. Zmusza się ich do zmiany tożsamości, są przetrzymywani w nielegalnych obozach, poddawani torturom, sprzedawani na targu niewolników. Mimo to, a może właśnie dlatego, Garrone tak łapczywie chwyta się nielicznych gestów solidarności czy troski o tych, którzy dzielą z Seydou podobny los. Zalękniony wyrostek staje się tu postacią wręcz heroiczną i w tym samym stopniu, co o jego przetrwanie, toczy się nieustanna walka o jego człowieczeństwo. I łatwo się domyślić, za jakimi sterami będzie musiał stanąć małoletni *capitano*. A włoski reżyser wie, jak podkręcić napięcie, byśmy trzymali kciuki za tytułowego bohatera aż do końca.

Ktoś powie, że Garrone również prezentuje perspektywę naiwną wobec

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

AURORA FILMS / MATERIAŁY PRASOWE

JA, KAPITAN
(„Io capitano”) – reż. Matteo Garrone. Prod. Włochy/Belgia/ /Francja 2023. Dystryb. Aurora Films. W kinach od 16 sierpnia.

Matteo Garrone to jeden z najważniejszych współczesnych włoskich reżyserów. Międzynarodowy rozgłos przyniosła mu „Gomorra” (2008, Grand Prix w Cannes) na podstawie reportażu Roberta Saviano. Potem było „Reality” (2012), „Pentameron” (2015), „Dogman” (2018) czy „Pinokio” (2019). Najnowszy film, „Ja, kapitan”, był nominowany do Oscara i obsypany wieloma nagrodami.

Kadr z filmu „Ja, kapitan”.

tego, co eufemistycznie nazywa się dziś kryzysem uchodźczym i co w ojczyźnie reżysera jest problemem na ogromną skalę. Nie idźmy jednak śladem niektórych widzów „Zielonej granicy”, traktujących ją niczym łże-dokument. Tego rodzaju kino ma przede wszystkim uruchamiać wyobraźnię i wrażliwość, przytępione przez klikbajtowe nagłówki, propagandowe wrzutki, suche statystyki, przez kolejne anonimowe zwłoki. Na pytanie, co należałoby zrobić, ażeby Sahara i Morze Śródziemne nie stały się jednym wielkim cmentarzem, reżyser „Ja, kapitan” mówi „nie wiem”. Po prostu opowiada przykładową, mocno zagęszczoną, szarpiącą emocjami historię, bo tylko tyle jako filmowiec może zdziałać.

Tak, jest to jeszcze jeden film robiony „w sprawie” i wcale się tego nie wstydzi. Wybór takiego właśnie bohatera – ufnego, prostolinijnego, nieznającego życia – narzuca zarówno optykę, jak i styl. Mamy za nim podążać, przeżywać razem z nim, doświadczać emigranckiej gehenny, ale też od czasu do czasu oderwać się od ziemi. Chociaż „Ja, kapitan” nie ma tej onirycznej finezji, którą miał „Atlantyk” (2019) Mati Diop czy „Berlin Alexanderplatz” (2020) Burhana Qurbaniego, pozwala sobie na małe odloty. Nawet w dosłownym tego znaczeniu, jakkolwiek wizje lewitacji nad pustynią czy nad dakarskim domem Seydou mogą być niczym innym, jak obrazami zrodzonymi w malignie, wywołanej podróżnym wycieńczeniem. Nie zmienia to faktu, iż włoski film również nie udaje dosłownej rekonstrukcji i zdecydowanie woli konwencję brutalnej baśni, w czym zresztą twórca „Dogmana” zdążył się wyspecjalizować.

Częściej niż o chłopackiej brawurze oglądamy film o strachu, samotności i próbach ich przezwyciężenia w ekstremalnych okolicznościach. Zaś podejrzany dla niektórych filmowy rozmach, z jakim odbywa się ta podróż, służy nie olśniewaniu widza czy eksploatowaniu tematu, a prostej identyfikacji. Bardzo klasycznymi środkami daje odczuć na własnej skórze pustynny i morski bezkres, zagubienie w miejskiej dżungli, bezradność wobec przemocy, a do tego powolny upływ czasu i wielką niewiadomą na horyzoncie. Bo przecież tułaczy koszmar Seydou, którego historia jest kompilacją co najmniej kilku autentycznych losów, zdaje się nie mieć końca. Powstają nowe filmy, wzruszamy się na nich, stawiamy mądre diagnozy, a karawana idzie dalej. ©

Lektor:
Tajemnice Herzoga

▪ *Werner Herzog*
NOWELE FILMOWE: AGUIRRE, GNIEW BOŻY; KAŻDY DLA SIEBIE I BÓG PRZECIW WSZYSTKIM; STROSZEK; NOSFERATU; TAM, GDZIE ŚNIĄ ZIELONE MRÓWKI; COBRA VERDE *– przełożyła Monika Muskała.* **FITZCARRALDO** *– przełożyła Barbara Tarnas. Posłowie Monika Muskała. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2024, ss. 560*

Czy wielkie przeżycie kinowe może się przełożyć na wielkie przeżycie lekturowe? Jako wielbiciel filmów Herzoga, dla którego „Zagadka Kaspara Hausera” (pod takim tytułem wyświetlano u nas film „Każdy dla siebie, a Bóg przeciw wszystkim”) była jak odkrycie nowego świata, a „Nosferatu wampir” pozostaje jednym z najważniejszych dzieł sztuki nie tylko filmowej, nie jestem właściwym adresatem tego pytania.

Czy tekst pozbawiony demonicznej twarzy Klausa Kinskiego i postaci Brunona S., którego Herzog odkrył dla kina, nie traci siły? Pewnie tak – co nie znaczy, że nie warto sięgnąć po tę książkę. Zwłaszcza że nie zawiera ona – może z wyjątkiem „Zielonych mrówek” – typowych scenariuszy. A prozaikiem Herzog też jest świetnym. Jak pisze Muskała, „okazuje się mistrzem dramaturgii i narracji, każda scena podprowadza do kolejnej”. Napięcie wynika już zresztą z samego doboru bohaterów, marzycieli przekraczających granice szaleństwa, jak konkwistador Aguirre czy budujący operę w dżungli Fitzcarraldo, jak straceniec Jonathan Harker wkraczający do transylwańskiego zamku – który może wcale nie istnieje? – wchodzi na drogę bez powrotu. Bo u Herzoga nie będzie szczęśliwego zakończenia i nie pomoże ani ofiara Lucy, ukochanej Jonathana, ani pokruszone hostie, upiorny hrabia zwycięży...

Tak więc – czytajcie, a najlepiej czytajcie i oglądajcie; do listy filmów dorzuciłbym jeszcze przynajmniej jeden, nieobecne w tomie „Szklane serce”. W księgarniach jest też „Zmierzchanie świata” w przekładzie Małgorzaty Łukasiewicz, powieść Herzoga o japońskim żołnierzu, który przez blisko trzy dziesięciolecia żyje w filipińskiej dżungli, przekonany, że wielka wojna nadal trwa.

Na koniec, za posłowiem, wspaniała anegdota. Kiedy przyjaciółka Herzoga Lotte Eisner, badaczka ekspresjonizmu i autorka „Ekranu demonicznego”, ciężko zachorowała, reżyser odbył w jej intencji pieszą wędrówkę bez ekwipunku i pieniędzy z Monachium do Paryża. Działo się to po zakończeniu zdjęć do filmu o Kasparze Hauserze. „Jak głosi legenda, po ośmiu latach zadzwoniła do Herzoga i poprosiła, by zdjął z niej zaklęcie, bo jest już zmęczona życiem”. Zrobił to – i po kilku dniach umarła. ©℗

OLGA

Drenda:
Pożytki z nielubienia

Być może każdy pasjonat muzyki (filmu, literatury itp.) zetknął się kiedyś na swojej drodze z człowiekiem stosującym metodę rozmyślnej ignorancji. Taki ktoś udaje, że nie wie, ale przede wszystkim udaje z tezą. „A kim jest w ogóle ten artysta? Pierwsze słyszę". Nie chodzi tylko o to, że obecnie mamy luksus sięgnięcia po informację nawet bez ściągania z półki Encyklopedii Powszechnej PWN. Chodzi o kwestię dobrej lub złej woli. Bardzo łatwo odróżnić takiego spryciarza od kogoś, kto naprawdę nie wie, ale nie ma nic przeciwko, żeby się dowiedzieć. Rozmowa z tym drugim to sama przyjemność dzielenia się i wymiany. Wspaniale jest również słuchać kogoś, kto umie treściwie wyjaśnić, z jakich przyczyn jakaś książka czy płyta jest jego zdaniem niedobra – kogoś, kto nie boi się pytania „dlaczego". Rozmyślny ignorant natomiast pozoruje ciekawość, żeby w rzeczywistości zademonstrować: „nie wiem i nie chcę wiedzieć, nie będę się zniżać do twojego poziomu, kmiotku".

Demonstracyjna i złośliwa ignorancja psuje relacje międzyludzkie, zapaskudzając je podstępem i lekceważeniem. Oczywiście, bywa, że ktoś wprost nie może sobie odmówić takiej satysfakcji, wszak jest ekspresowa i darmowa. Podobno jednak – tak twierdzi psychologia – prawdziwa, sycąca przyjemność pojawia się wtedy, gdy decydujemy się mierzyć z jakąś trudnością.

Dlatego rzadko zdarza mi się mówić, że nie chcę czegoś znać, i już. Nie pojawiło mi się to od razu, wprost przeciwnie, kto znał mnie w młodych latach, ten mógł zapamiętać moje politowania godne akty zadzierania nosa (co mieściło się w standardzie ówczesnych rozmów o gustach, ale nie sądzę, żeby mnie to specjalnie rozgrzeszało). Po drodze – za sprawą szczęśliwie napotkanych na mojej drodze ludzi – nauczyłam się słuchać, czytać i oglądać inaczej, przede wszystkim zadając sobie pytanie: co komuś może się w tym podobać? Albo: co da się z tego wyciągnąć, zapamiętać? Pewien człowiek zwrócił uwagę, że prawie w każdym utworze, nawet naprawdę złym, mogą trafić się dwie sekundy godne przeobrażenia w świetnego sampla. Od tamtej pory świat stał się jakby bogatszy, a ja zanurkowałam w nim niczym Wuj Sknerus w skarbcu monet.

OLGA DRENDA

Kotek może niełatwej urody, lecz ja go polubiłam.

Najciekawiej bywa jednak moim zdaniem wtedy, gdy próbujemy się skonfrontować z takim zakątkiem kultury, który jest nam zupełnie obcy, a może wręcz działa na nerwy. Tak uczynił kanadyjski dziennikarz muzyczny Carl Wilson, który postanowił odkryć w sobie wewnętrznego fana Céline Dion, co opisał w niewielkiej książeczce. Wilson nie znosił swojej słynnej rodaczki, zresztą jak typowy dziennikarz rockowy tamtych czasów. Dzisiaj w artystce tej, po głośnym dokumencie i występie na ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich, jesteśmy skłonni dostrzegać cierpiącego człowieka o pięknym głosie, i doceniać powściągliwą elegancję jej pożegnalnego występu. W 2007 r., gdy Wilson przekonywał się do płyty „Let's talk about love", Dion miała złą sławę piosenkarki pasującej do świata niedrogich wzruszeń, telenowel i romansów z kiosku (dla jasności – uważam, że i w takich produkcjach można znaleźć coś potencjalnie interesującego i szanuję fakt, że mają zaangażowane grono oddanych pasjonatów). Uznał jednak, że świat nie kończy się na jego koneserskim niesmaku i że za tą barierą kryje się coś znacznie ciekawszego – próba odkrycia, co tak wielu ludzi unosi i wzrusza w tej muzyce, ale i to, co jego samego tak denerwowało. Wybrał się nawet na koncert w Las Vegas, gdzie może nieco odstawał od płaczących ze wzruszenia fanów, ale starał się uczciwie poczuć, o co im chodzi. Pozwalając sobie zdradzić finał jego poszukiwań – Carl Wilson nie polubił w końcu Céline Dion, ale też przestał się na nią zżymać i przyznał, że nie jest przecież taka zła; nie polubił, lecz zrozumiał fenomen.

Brzmi to oczywiście trochę jak odcinek „Troskliwych misiów", w których któryś bohater musi przejść przez ważną życiową lekcję, żeby na koniec ją wygłosić w gronie rysunkowych przyjaciół. Nie ma się co jednak tego bać. Nie ma potrzeby, by bać się „pozytywnych wibracji" i cieszenia się radością innych. Może jedną z najtrudniejszych konfrontacji – to niech już sobie każdy sam rozważy w cichości ducha – jest zastanowienie się nad tym, dlaczego malkontenckie postawy uchodzą czasami za zbieżne z byciem inteligentnym, interesującym człowiekiem, a entuzjastyczne, albo po prostu akceptujące, „OK, niech będzie" – wprost przeciwnie? ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo:
Tylko krytyków żal

Trzydzieści sześć dań muszę skubnąć po troszku, zanim powstanie choćby pierwsza linijka o knajpie – wyznawał krytyk gastronomiczny „New York Timesa" Pete Wells w tyleż dowcipnym, co smutnym artykule zapowiadającym dobrowolny koniec kariery ze względu na zdrowie. Matematyka jest prosta – trzeba zabrać ze sobą trzy osoby (bo posiłek we czwórkę to taki typowy dość format, gdzie za stołem dużo się dzieje, ale nie robi się kakofonia i chaos), każdy i każda zamawia na ogół po trzy rzeczy i wizytę powtarza się w sumie trzy razy z różnym towarzystwem, żeby przelecieć większość karty.

Strawa w restauracjach jest od domowej bogatsza we wszystko, nawet gdy kuchnia nie używa smakowych dopalaczy. Skoro jest więcej bodźców, cały układ trawienny musi pracować na wyższych obrotach. Taki szok, jeśli przechodzi się go na co dzień, powoli rozwala ciało. Wells redagował coroczną listę najlepszych stu adresów w mieście, robił więc sobie taką krzywdę codziennie (bo przecież oprócz miejsc opisanych, trzeba też zaliczyć szarą liczbę tych ani wybitnych, ani paskudnych, których nie warto recenzować).

Teraz lekarze doprowadzą go z powrotem do jako takiej wagi i równowagi, może nawet odzyska kiedyś radość z jedzenia do syta, a mi, no trudno, zostanie czytanie czasem kawałków z archiwów. Bo była to dla mnie radość czysto umysłowa, lizanie przez szybkę: ani w NY nie byłem, ani się nie wybieram np. zbadać, które z setek okienek z tacosami na Roosevelt Avenue jest najlepsze (Wells miał plan, żeby zaliczyć je wszystkie). Lubiłem jego pióro, moc wywoływania obrazów, smaków, skojarzeń, tęsknot za czymś nigdy niewidzianym ani niewąchanym. Umiał mi wmówić, że to najbardziej apetyczne miasto na Ziemi, niekoniecznie tylko dla bogatych i snobów. Doceniałem solidność roboty, za którą stała też solidność gazety płacącej za to wszystko bez żadnych mętnych układów o „współpracy". Rzecz coraz rzadsza w tradycyjnych mediach. Zresztą może po prostu już nie potrzeba starego typu gazetowych krytyków. Ostatnie pokolenie powoli odchodzi; będą pisać, aż im wątroba nie trzaśnie, a potem basta.

Ci młodsi, nowego typu, na pewno nie mają lepszych wątrób, ale za to wielkie zasięgi – i mnóstwo czasu. Analogicznie do tego, co pisze Jakub Dymek w tym numerze o geopolitykach z YouTube'a. Najlepszy z naszych żyjących oldskulowych krytyków Maciej Nowak, choćby ubierał się jeszcze bardziej kolorowo i robił jeszcze większe prowokacje, przez całe życie nie uzbiera tylu odbiorców, ilu ma jeden odcinek filmu-recenzji na kanale Książula. Młody, niczym się z wyglądu i mowy niewyróżniający mężczyzna o tym pseudonimie jest dziś największym autorytetem gastronomicznym narodu. Testuje przeważnie to, co tenże naród jada, gdy wychodzi na miasto: kebab, pizza, tzw. chińczyk, ale też inne dowolne warianty street foodu (np. czebureki czy langosze).

Przecież kebab smakuje wszędzie tak samo – powiecie – a od wnętrza takich przybytków oczekiwać należy tylko, żeby nie bardzo w nich śmierdziało. Cóż tu testować i oceniać? Parametry ocenne Książulo ma nieliczne: soczystość mięsa, świeżość sałatki, sprężystość placka, „chrupkie i nie wali olejem". Konkluzja zwykle nie może wyjść poza prosty podział: dobre-niedobre. Jeść albo omijać. Ale lubię go za to, że sprawdza rzetelność lokali – jego ludzie kupują najpierw *incognito*, potem wkracza z kamerą, zamawia to samo, a następnie wszystko jest ważone i porównane. Porcja „influencerska" okazuje się nieraz większa i lepsza. Gdyby tylko te filmy nie były aż tak rozwlekłe... Pół godziny powtórzeń, ględzenia o niczym, pustych przebiegów. Błagają o montaż i nożyczki. To zresztą dotyczy większości nowego rodzaju mediów, również najpoważniejszych. Rozrzedzają naszą uwagę, rozgadując tematy do oporu.

Ale z drugiej strony, równie jałowo i nijako wygląda większość naszych rozmów przy stole. Może Wells musiał skończyć, bo dobiła go też nuda.

Wytrawny cornbread

Myśląc czule o tych, którzy poświęcają się za nas i chwilowo muszą uważać na jedzenie, zróbmy podkręconą cholesterolowo wersję amerykańskiego chlebka kukurydzianego.

180 g masła 100 ml syropu klonowego 450 ml maślanki 3 jajka 200 g mąki kukurydzianej 100 g mąki pszennej płaska łyżeczka proszku do pieczenia

FOTOHELIN / STOCK.ADOBE.COM

Podgrzewamy i lekko palimy masło (musi się zapienić i nieco ściemnieć, ważne, żeby nie przesadzić). Kiedy trochę przestygnie, w misce łączymy je z syropem oraz z maślanką, dodajemy rozbełtane jajka, potem suche składniki. Ogrzewamy w piecu brytfankę 20x30 cm wysmarowaną szczodrze masłem, przelewamy masę, pieczemy w 180 stopniach ok. 40 minut, aż środek będzie suchy. Syrop możemy zastąpić ok. 80-100 g cukru. ©℗

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

ZMYSŁY

MIT SIĘ RODZI

DARIUSZ KOSIŃSKI

Kibicując polskim siatkarzom, oklaskujemy też siebie samych. Odnajdujemy siebie w ich wielkości. Całkiem nieźle nam idzie, a nawet się powodzi. Złoto zawsze mamy w zasięgu.

ADAM WARŻAWA / PAP

Polscy kibice siatkówki podczas meczu ćwierćfinałowego ze Słowenią. Paryż, 5 sierpnia 2024 r.

Polscy siatkarze zajęli na igrzyskach w Paryżu drugie miejsce, przegrywając finał z wyraźnie lepszą Francją. Ale to, co najważniejsze, wydarzyło się trzy dni wcześniej, w czasie meczu półfinałowego z drużyną Stanów Zjednoczonych. To wtedy w zawody sportowe przeniknął ożywczy mit.

W środę 7 sierpnia, podczas pojedynku z USA, wydarzyło się coś, czego siła jest podobna do legendarnego meczu polskich piłkarzy na Wembley 17 października 1973 r. Czy dla tamtego mitu ma dziś jakiekolwiek znaczenie, że polscy piłkarze na Mistrzostwach Świata w 1974 r. zajęli ostatecznie trzecie miejsce?

Pamiętne popołudnie

Jeśli mecz z Amerykanami jest „historyczny" (a mówi się tak od chwili jego zakończenia), to trzeba zapytać: co to za historia? Co właściwie nam się opowiedziało i co sami sobie opowiadamy, gdy gorączkowo pytamy: „wiesz, co się stało?". A zatem: co się właściwie stało po południu 7 sierpnia 2024 r. w South Paris Arena?

Odpowiedź najprostsza brzmi: odbył się tam mecz siatkarski, którego stawką był awans do finału igrzysk olimpijskich. Odpowiedź równie oczywista, co oczywiście niewystarczająca, choć pierwsze dwa sety można by w ten sposób spokojnie opisać. Dwie bardzo dobre drużyny walczyły o skuteczne przebicie piłki na drugą stronę siatki w taki sposób, by przeciwnik nie był w stanie odpowiedzieć tym samym. Polscy zawodnicy wygrali seta pierwszego, Amerykanie drugiego. W trzecim pojawiły się sygnały słabości naszej reprezentacji – sporo błędów własnych, i to w sytuacjach całkiem klarownych, za dużo chaosu i nerwowości. Siatkarze USA wyglądali tymczasem na spokojnych i pewnych siebie – grali sprawnie i skutecznie. Któryś z komentatorów użył nawet określenia: „amerykańska maszyna". Ale wciąż można było mieć nadzieję, że – jak to nieraz już bywało – Polacy w trzecim secie „odpalą".

Nastąpiło jednak coś zupełnie innego: katastrofa. Przy stanie 9:13 Marcin Janusz zderzył się z Pawłem Zatorskim, który upadł na parkiet i długo się nie podnosił. W końcu wrócił do gry, ale było widać, że wiele go to kosztuje. Amerykanie mieli świadomość swojej przewagi. Nie poganiali sztabu medycznego, spokojnie czekali na rozwiązanie sytuacji, bo wiedzieli, że nie ma potrzeby wykonywania żadnych akcji specjalnych. Po prostu robili swoje i dość szybko zamknęli seta w kompromitującym dla nas stosunku 14:25. Co tu dużo mówić: wydawało się, że jest po meczu i po marzeniach o finale.

Początek seta czwartego potwierdzał te obawy: Polacy nadal grali niezbyt pewnie, a Amerykanie spokojnie zdobyli prowadzenie. Na dodatek zaraz na początku – kolejna katastrofa: z boiska z powodu urazu pleców zejść musiał rozgrywający, wspomniany już Marcin Janusz. Ma na szczęście świetnego zastępcę, Grzegorza Broniarza, ale nagła zmiana rozgrywającego to zawsze źródło problemów. Amerykanie uciekli na cztery punkty.

Coś się jednak zaczęło zmieniać. Mimo wyjątkowo niesprzyjających okoliczności, polscy siatkarze grali coraz lepiej i doprowadzili do remisu 13:13. Wprawdzie nie wyszli na prowadzenie, ale można było mieć nadzieję, że przetrwali najgorsze. Po kilku wymianach znów wyrównanie: 16:16, a potem prowadzenie 17:16, strata – remis, i znów prowadzenie, i znów, i tak już do końca, gdy po zupełnie niespodziewanym powrocie do względnie normalnej walki sportowej Polacy wygrali czwarty set 25:23 i doprowadzili do tie-breaka. A w nim szybko zdobyli przewagę i nie oddali jej do końca, wygrywając ostatni set 15:13, a całe spotkanie 3:2.

Może jakiś wysokiej klasy specjalista po dokładnych analizach będzie w stanie ustalić, kiedy nastąpił ten przełom, który sprawił, że drużyna, niemal dosłownie powalona na ziemię, podniosła się i zwyciężyła. Bezpośrednio po meczu nikt nie umiał go wskazać. Niektórzy wymieniają słynną już „przemowę motywacyjną" Tomasza Fornala w czasie przerwy, o którą poprosił Nicola Grbić przy stanie 18:20, ale przy całym ↦

↦ jej łobuzerskim uroku (i niebezpiecznej dwuznaczności, jaką zaraz może się okleić, stawszy się memem), wydaje mi się ona raczej efektem czegoś, co nastąpiło wcześniej i co zadecydowało, że mecz, który mógł być skazany na gorzkie zapomnienie, stał się mitem. To „coś" jest nieuchwytne: nie było wydarzeniem, jakąś spektakularną akcją, ani osobą, która „natchnęła" innych.

Mówi się, że Polacy wygrali „sercem", albo „duchem", a więc mówi się, że nie wiadomo, co przemieniło klęskę w tryumf. Tak, oczywiście – nie byłoby na niego szans, gdyby nie miesiące i lata pracy, gdyby nie technika, siła, szybkość i wszystkie te cechy, jakie po prostu muszą mieć zawodnicy grający na najwyższym poziomie. Ale przecież ta historia, która nam się opowiedziała 7 sierpnia, nie jest o tym. Jest o owym tajemniczym „czymś", co najpierw sprawiło serię katastrof, a potem – cud.

Z pomiędzy do ponad

Nie, nie – nie mam zamiaru wpadać w jakąś mistykę sportową. Ale też nie chcę osuwać się w te wszystkie banały, jakich już pojawiło się mnóstwo w odpowiedzi na pytanie: „czego nas uczy ten mecz?". Na pewno jakiś coach użyje kiedyś tej historii jako motywacyjnego uzasadnienia wpajanej podopiecznym tezy, że nigdy nie należy się poddawać. Podejrzewam nawet, że znajdzie się kaznodzieja, który zrobi z niej egzemplum do opowieści o sile pozornie irracjonalnej wiary. Ale choć moce, które objawiły się w South Paris Arena i objawiają najjaśniej właśnie w sporcie, nie wydają się podlegać ludzkiej kontroli, to są jak najbardziej ludzkie.

Sprawa jest ważna, nie tylko dla sportu, lecz dla naszego „zwykłego" życia. Chodzi bowiem o sytuacje, w których stajemy się współuczestnikami procesów niezaplanowanych (choć zazwyczaj jesteśmy dobrze przygotowani do działań, które je współtworzą) i nie przebiegających według rozporządzeń i pod kontrolą jakiegokolwiek jednego ośrodka władzy. Są to stany społecznego wzmożenia, niekoniecznie o wielkim zasięgu, często wręcz mocno lokalne, ale przebiegające w sposób, który opisuje się jako szczególną mobilizację, czasem nawet uniesienie.

Każda z osób, które znalazły się w takim stanie, którą porwał ów proces, ma wrażenie, że wie, co ma robić, i że robi, „co należy". Nikt też nie aspiruje do pozycji bohatera, nawet jeśli odegrał jakąś znaczącą rolę. Zwykle nie da się wskazać precyzyjnie momentu, w którym wydarzyło się coś, co spowodowało, że ten proces się rozpoczął, ani przyczyn, które przekształciły „zwykłe" współdziałanie w tę szczególną formę aktywności.

Takie stany zdarzają się wbrew pozorom całkiem często i wcale nie muszą się wiązać ani z katastrofami, ani z sytuacjami wyjątkowymi. Niekoniecznie też opisuje je do końca popularne w psychologii motywacyjnej zjawisko *flow*. Chodzi bowiem raczej o coś, co pojawia się we współdziałaniu, szczególnie w sytuacji, gdy nie możemy liczyć na nikogo poza sobą – czyli ludźmi, którzy są tu oto, i w tym miejscu i momencie muszą zmierzyć się z jakimś zadaniem.

Mecz Polska–USA pokazuje taką właśnie sytuację w sposób modelowy, oczyszczony z wielu zasłaniających ją szczegółów i przydatków, które w codziennym życiu często nie pozwalają jej dostrzec. Dwa zespoły, które stanęły naprzeciwko siebie, działały początkowo według tego samego modelu efektywnego wykonu – robiły w najlepszy z możliwych sposobów to, do czego się przygotowały. To on właśnie stanowi podstawę współczesnego racjonalnie efektywnego performansu, dominującego w zarządzaniu, w swym niezakłóconym przebiegu odbieranego czasem jako „nieludzki" (stąd „amerykańska maszyna").

Proces, który możemy uchwycić dzięki tamtemu meczowi siatkarzy, stanowi poniekąd jego przeciwieństwo. Gdy „maszyna" zawodzi, pojawia się inna międzyludzka moc, która pod wpływem niedających się przewidzieć i kontrolować czynników przechodzi w siłę odczuwaną jako ponadludzką, jako owo tajemnicze „coś". Jej źródłem jest konieczność „radzenia sobie" ponad procedurami, efektami treningu, technologią i innymi racjonalnie zarządzanymi czynnikami. Ponad, a nie poza, bo wszystkie one nadal są obecne, tylko przestają wyznaczać sposoby działania. Nie rządzą, nie mają zwykłej władzy, bo okazały się niewystarczające i „musimy sobie radzić sami".

Damy radę!

„Radzenie sobie" to pojęcie, które kluczem do zrozumienia funkcjonowania społeczeństw współczesnych ustanowił Michel de Certeau, francuski myśliciel swobodnie przekraczający granice „dyscyplin", bo zajmujący się tym, co naprawdę ważne – życiem żytym. We wspaniałej książce „Wynaleźć codzienność" stworzył całą serię równie naukowych, co poetyckich opisów i analiz sytuacji, w której ludzcy aktorzy wymykają się procedurom, regułom, mapom i prawom, by „radzić sobie" w sposób, który zapewnia im lokalny, niekiedy nawet prywatny sukces: ocalenie tego, co dla nich ważne. Sposoby owego radzenia sobie nazwał „taktykami" i odróżnił od „strategii", czyli praw, reguł i procedur, jakimi dysponuje władza.

W sporcie ten podział jest dobrze widoczny: strategie narzucają przepisy dotyczące poszczególnych dyscyplin i rozgrywek, często ustalane z powodów pozasportowych przez „działaczy". Taktyki opracowywane są w odniesieniu do konkretnych zawodów i uwzględniają setki czynników, a co najważniejsze – ulegają zmianom w zależności od sytuacji. Te zmiany niekiedy są częściowo zaplanowane (trener i zawodnicy przygotowują różne warianty rozwiązań odnoszące się do prawdopodobnych scenariuszy wydarzeń), ale często uruchamiają się w sposób spontaniczny, właśnie wtedy, gdy sportowcom przychodzi „radzić sobie" z bardzo konkretnymi sytuacjami. Gdy w długodystansowym biegu „szalony" finisz zapewnia zwycięstwo słabszej teoretycznie zawodniczce, gdy pada „nieprawdopodobna" bramka w ostatniej minucie doliczonego czasu, a szpadzistka niespodziewanym ruchem ciała unika sztychu przeciwniczki i w ostatniej sekundzie wyprowadza decydującą kontrę – wtedy zazwyczaj działają siły „taktyczne".

Jedno ważne zastrzeżenie: De Certeau wiązał taktyki przede wszystkim z dostosowaniem się do sytuacji, korzystaniem ze sposobności. Według niego taktyka „kłusuje" w lukach systemu. „Zastawia pułapki. Może się znaleźć tam, gdzie nikt jej się nie spodziewa" (przekład Katarzyny Thiel-Jańczuk). Taktyczne siły radzenia sobie, takie jak te, które skutecznie przeciwstawiły się potędze amerykańskich siatkarzy, miały inny charakter. Nie kłusowały, ale galopowały. Nie zastawiały pułapek, tylko wywoływały maksymalną intensyfikację wspólnych działań, wyprowadzając je na taki poziom, że z perspektywy racjonalności procedur wydawały się „szaleństwem".

FEDERICO PASTELLINI / AFP / EAST NEWS

Tomasz Fornal (na pierwszym planie) podczas meczu półfinałowego ze Stanami Zjednoczonymi. Paryż, 7 sierpnia 2024 r.

W półfinałowym meczu polskich siatkarzy ujawniła się moc, która nie podlega władzy, a może spowodować, że zostanie ona lokalnie i czasowo unieważniona. Tą siłą jest zdolność do „radzenia sobie" ponad wszystkim, co władza ma pod swoją kontrolą. Podlegające jej działanie nie oznacza i nie prowadzi do obalenia i przejęcia władzy. Skutkuje raczej wytworzeniem trudno uchwytnej, ale skutecznej i realnej sieci alternatywnych relacji i koniunktur, których podstawą nie jest nieustanna rywalizacja, ale stała, choć przebiegająca w zmiennych i płynnych układach współpraca. Wiedzie ona do osiągnięcia sukcesu, czyli poczucia względnego zadowolenia i bezpieczeństwa ograniczonego do sieci najbliższych, najsilniejszych relacji.

„Radzić sobie" trzeba więc czytać dosłownie – jako działanie nastawione na powodzenie grupy własnej. Jej precyzyjne opisanie nastręcza liczne trudności, ale pewne wydaje się, że jej granic nie wytyczają dominujące narracje, łącznie z partyjnymi, wytwarzającymi i podtrzymującymi skrajnie odmienne poglądy na znajdujące się w danej chwili na „agendzie" konfliktogenne kwestie społeczne.

Sen o dolinie

Mówiąc wprost i odnosząc się do sytuacji rodzimej: „radzenie sobie" nie ma nic wspólnego z wojną polsko-polską, której fronty wyznaczają kolejne linie sporów ideologicznych i politycznych. Działa nie między grupami identyfikującymi się z określonymi zestawami przekonań, ale między konkretnymi ludźmi, którzy zawiązują sojusze, by sobie wzajemnie poradzić z tym, w czym się znaleźli.

Zamiast powtarzać slogany o koniecznym porozumieniu ponad podziałami, ludzie ci w określonych sytuacjach niemal natychmiast zaczynają współdziałać, nie tylko ze względu na przekonanie, że to właśnie jest skuteczne, ale też dla przyjemności, jaka się z tym wiąże, i radości, jaką daje rezygnacja z konkurencji. Ta radość, siła zapomniana przez polską politykę i wręcz wygnana z jej spektakli, działa na poziomie życia, które nazywamy codziennym, choć właśnie dzięki niej bywa ono prawdziwie świąteczne. Widać ją było na twarzach polskich siatkarzy i to raczej ona niż chęć „nap...lania" przeciwników zapewniła im nieprawdopodobne zwycięstwo.

Ośmielę się zapytać, czy to nie ona właśnie sprawia, że mimo szalejącej i podgrzewanej wciąż przez aktorów politycznego spektaklu wrogości, od ćwierć wieku tak dobrze dajemy sobie radę w świecie, w którym procedury i reguły co rusz zawodzą? Bo przecież mimo wszystkich katastrof, wojen, kryzysów, pandemii, niemożności zapewnienia przy przyzwoitych nawet zarobkach tak podstawowego dobra jak mieszkanie, przy całym świadomie podtrzymywanym przez graczy politycznych kursie na nienawiść, „my", czyli ludzie tworzący doświadczaną codziennie wspólnotę połączoną realnymi relacjami, radzimy sobie całkiem dobrze.

Całkiem nieźle nam idzie, a nawet się powodzi. Kibicując polskim siatkarzom i krzycząc z radości po ich zwycięstwie, oklaskujemy też siebie samych – potrafiących sobie poradzić mimo wszystko w Racocie, Kozielicach, Dąbrowie Górniczej, Tychach i innych, wcale nie metropolitalnych miejscowościach, których nazwy pojawiały się na polskich flagach wznoszonych na trybunach w Paryżu. Czy sama obecność osób dumnie je trzymających w jednej ze stolic świata nie dowodzi tego, że mamy z czego być zadowoleni, a może nawet dumni?

Tak, wiem: nie zostaliśmy mistrzami. Zagraliśmy w finale słabiej od Francji. Cud mniemany się nie powtórzył. Ale może jest tak, że radosny sukces radzenia sobie wcale nie musi prowadzić na sam szczyt. Zadowala się spokojnym domem w dolinie, skąd góry wysokie, owszem, dobrze widać, ale ważniejsze, że obok jest miejsce na ogród, ławkę i huśtawkę dla dzieci. Wcale nie trzeba być mistrzem, by poczuć się szczęśliwym? © DARIUSZ KOSIŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński: *Horror, horror!*

Na pięć zapowiedzi wyświetlanych przed seansem „Kodu zła" Osgooda Perkinsa (z tych Perkinsów, a jakże) w pewnym warszawskim multipleksie cztery to horrory w najróżniejszych odmianach. Od całkiem klasycznych po jakieś perwersyjne wariacje na temat, gdzie duchów wprawdzie nie ma, ale dawka serwowanej widzom makabry i okrucieństwa przybiera iście nadnaturalne rozmiary. Nie muszę tu chyba dodawać, że i sam „Kod zła" (czyli w oryginale „Longlegs") to rzecz z tego gatunku. Obwołana przez wielu krytyków i fanów hitem co najmniej tego sezonu. Czy faktycznie tak znakomita, jak można gdzieniegdzie przeczytać – nie mam przekonania. Z pewnością jednak modelowa – nie tylko dla współczesnej popkultury, ale i dla epoki, z której się ona rodzi.

Powiedzmy najpierw, że skokowy wzrost zainteresowania kinem i literaturą grozy to w zasadzie fenomen ostatnich dziesięciu-piętnastu lat. Nie trzeba głębinowych analiz, żeby powiązać to z intensyfikującym się w zachodnich społeczeństwach poczuciem obcości, nieprzewidywalności i nieprzyjazności – świata, ale także innych ludzi. Jest to naturalnie wątek obecny w horrorze od początku: lęk przed obcym, który, choć wygląda i zachowuje się jak człowiek, w istocie człowiekiem nie jest. A przynajmniej nie posiada już ludzkich cech. Na tym właśnie wrażeniu – że bliźni jest niebezpieczny i nie-ludzki – bazuje choćby całe uniwersum zombie, od klasycznej „Nocy żywych trupów" (1968) George'a A. Romero poczynając.

Współcześnie to wrażenie przyjmuje niezliczoną ilość ekranowych form. W „Kodzie zła" – ale i w zapowiadanym przed wspomnianym seansem „Speak no evil", amerykańskim remake'u duńskiego „Gæsterne" (2022) – odzwierciedla się w specyficznym interpersonalnym paraliżu, w którym pogrążeni są bohaterowie. Zachowują się oni tak, jakby na głębokim poziomie nie rozumieli, co się do nich mówi, jakby niewiele do nich docierało, jakby język nie działał.

Ale najważniejsze i najbardziej symptomatyczne w tym horrorowym boomie ostatnich lat zdaje mi się coś innego. Mianowicie: z jednej strony fundamentalna bezradność wobec zła, z drugiej strony osobliwa nim fascynacja. To pierwsze cechuje bohaterów, to drugie – mam wrażenie – raczej twórców i widownię.

Zacznijmy od drugiego. Nic w tym – znowu – dziwnego, że w świecie, w którym dominuje poczucie bezradności i zależności, a zarazem zagrożenia, zło wydaje się ostoją sprawczości. Zarazem jednak w „Kodzie zła" (i nie tylko) okazuje się być ono jedyną dostępną formą transcendencji. To zło właśnie – i tylko ono – wskazuje na jakiś inny wymiar, inny sens, choćby przerażający do szpiku kości. Słowem, Szatan jest metafizyczną realnością, ale Boga nie ma tam wcale.

Co do pierwszego natomiast – skoro zło jest realne, sprawcze i nadaje sens, dobro, w najlepszym razie nudne i płytkie, jest wobec niego całkowicie bezbronne. O ile w takich choćby filmowo-literackich traktatach o złu, jak „To!" czy „Milczenie owiec", siła przyjaźni czy kompas moralny były w stanie w sposób jednoznaczny złu się przeciwstawić i przynajmniej częściowo je pokonać, o tyle we współczesnych produkcjach brakuje takiego kontrapunktu. Czasami skuteczny bywa rewolwer lub nóż, ale sukces jest zawsze najwyżej połowiczny.

Jeśli rację mają ci, którzy w popkulturze widzą emanację zbiorowej nieświadomości czy kondycji epoki – nie nastraja to wszystko zbytnim optymizmem. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

REKLAMA

Jedna książka mądrym nie czyni.

Ale pudło książek już tak.

PROSTA SPRAWA NA DOWODY.COM

1. Wejdź na stonę **Dowody.com**
2. **Stwórz swój własny pakiet** w jednym z trzech rozmiarów
3. Czekaj, aż książki przyjadą **pod Twoje drzwi**
4. Usiądź wygodnie **i już tylko czytaj.**

Nagradzane **reportaże, eseje** oraz **seria książek czeskich** w wyborze Mariusza Szczygła

SKOMPONUJ SWÓJ ZESTAW KSIĄŻEK!

M
5 KSIĄŻEK
75 ZŁ

L
10 KSIĄŻEK
100 ZŁ

XL
15 KSIĄŻEK
126 ZŁ

Dowody

REKLAMA

Kopalnia Soli Bochnia

Podziemny Skarb Małopolski

Kopalnia Soli Bochnia, najstarsza kopalnia soli kamiennej w Polsce, jest wyjątkowym zabytkiem kultury i techniki, położonym zaledwie 40 km od Krakowa. Założona w 1248 roku, stanowiła przez wieki jedno z głównych źródeł bogactwa Królestwa Polskiego. Dziś, wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, zachwyca nie tylko historycznym znaczeniem, ale także unikatowym pięknem podziemnych korytarzy i komór.

BOCHNIA 1248 KOPALNIA SOLI

www.kopalnia-bochnia.pl